

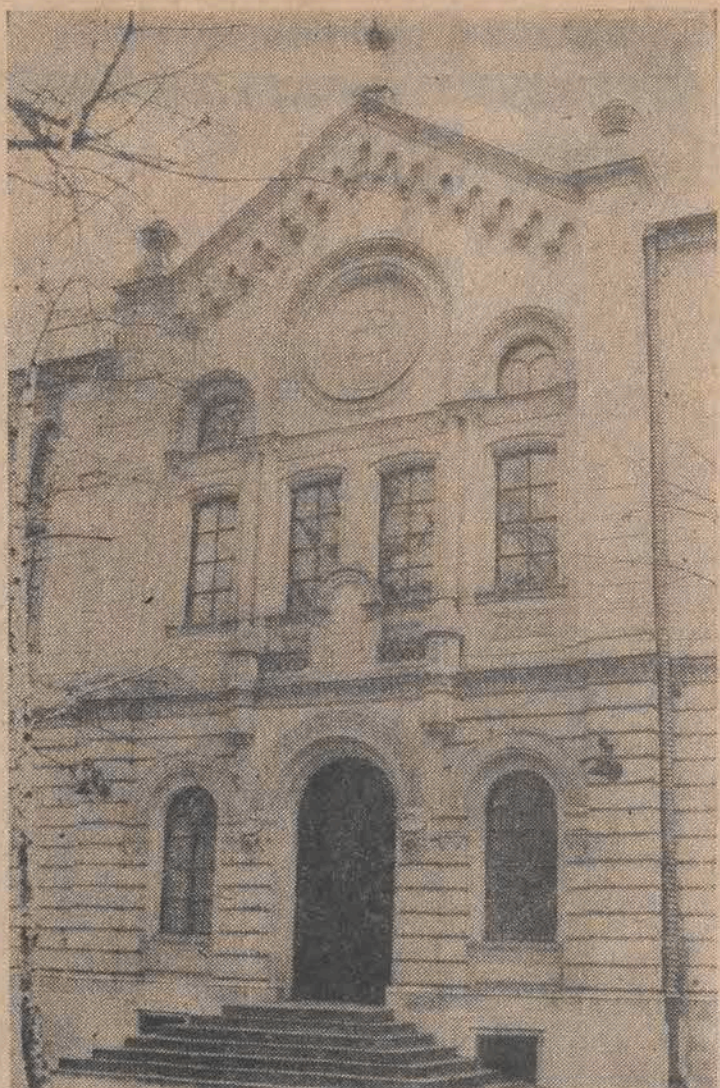
Odgłosy

NUMER 5 (1557)

ROK XXXI

30 STYCZNIA 1988 ROKU

CENA 25 ZŁ



Kto jest Żydem?

Rozmowa z prezesem Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego w Polsce — **MOZESEM FINKELSTEINEM**

Patrz — strona 5

- **Błędny rycerz czy realista?** — str. 3
- **Życie za więziennym murem** — str. 4
- **Dlaczego nie lubimy kontrolerów?** — str. 7
- **W tamtych latach sam fakt aresztowania przesądzał o losie człowieka** — str. 13

„Dar Młodzieży”

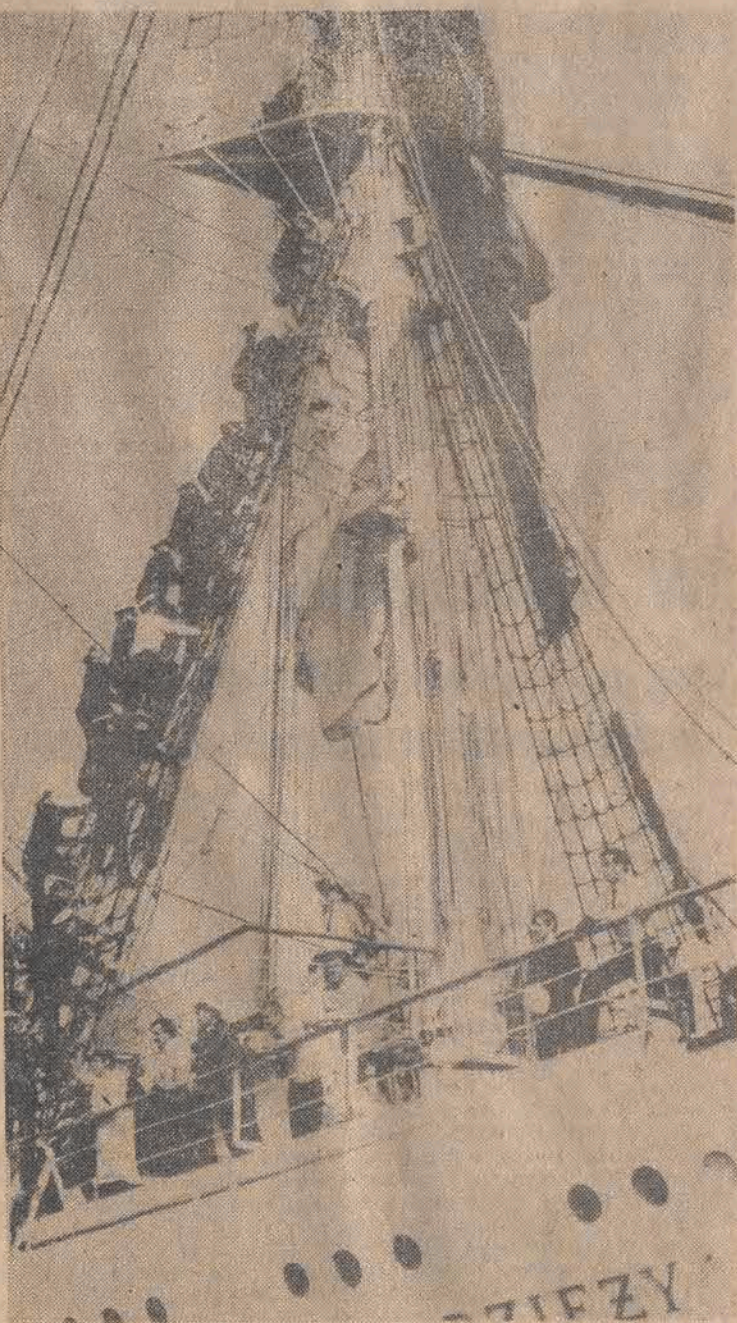


Foto: Włodzisław Kozłowski

„Dar Młodzieży”, w podróży dookoła świata, osiągnął już wybrzeża Australii i przebywa na jej wodach, biorąc udział w uroczystościach dwusetnej rocznicy kolonizacji.
„Dar Młodzieży” opuścił Gdynię we wrześniu 1987 roku. Przypominamy chwilę pożegnania.

Coraz więcej wędkarzy, coraz mniej ryb.

Pstrągi w Grabi

Rozmowa z dr hab. **MACIEJEM ZALEWSKIM** — ekologiem z Uniwersytetu Łódzkiego

— Jest pan współtwórcą nowej, oryginalnej teorii wyjaśniającej zależność między stanem zarybienia rzek a panującymi w tych rzekach warunkami...

— Tak. Wspólnie z amerykańskim ekologiem, prof. Robertem Naimanem stworzyliśmy taką teorię.

— Na czym ona polega? Co w niej jest nowego?

— Do tej pory w ekologii rzek dominowała teoria, w myśl której wszelkie zjawiska w życiu ryb można wyjaśnić po zbadaniu relacji, jakie zachodzą między poszczególnymi ich gatunkami, zasiedlającymi dany odcinek rzeki.

Prowadząc badania w Polsce i Ameryce Północnej, gdzie zetknąłem się z nowymi dla mnie gatunkami ryb i ich siedliskami, doszedłem do wniosku, że takie podejście jest niewystarczające, aby odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie stawia współczesna ekologia, i zacząłem poszukiwać nowego, pełniejszego sposobu spojrzenia na ten problem. Zadanie ułatwiała mi możliwość zapoznania się z wynikami badań Roberta Naimana, jakie prowadził na Labradorze oraz w rzekach pustynnych. W rezultacie zaproponowałem mu, aby zamiast na strukturę gatunków, główny nacisk położyć na funkcjonowanie organizmów ryb, czyli na te czynniki środowiskowe, które oddziałują na każdy gatunek ryb w każdych warunkach, a więc także, jak temperatura i natlenienie wody, szybkość prądu, ukształtowanie dna i brzegów rzeki...

W ten sposób powstał model, klasyfikujący wszystkie typy rzek w świecie na poszczególne ich odcinki w odniesieniu do występujących czynników środowiskowych. Na jednym jego krańcu decydująca rolę odgrywa tzw. czynniki abiotyczne, z których kilka przed chwilą już wymieniliśmy. I tu mieszczą się głównie rzeki arktyczne oraz pustynne. Natomiast na drugim krańcu modelu decydują czynniki biotyczne, jak na przykład konkurencja ze sobą gatunków, drapieżnictwo, itp. Tu z kolei mamy rzeki tropikalne — bogate w pokarm i ustabilizowane.

— Myślę, że specjaliści wiedzą już, o co dokładnie chodzi. Mnie jednak bardziej interesowałoby, jakie są możliwości praktycznego wykorzystania pańskiej teorii?

— Otóż wbrew wrażeniu, jakie może odnieść laik, bardzo duże. Jeśli bowiem, przykładowo, na modelu odczytamy, że dana rzeka w swym górnym biegu charakteryzuje się przewagą oddziaływania czynników abiotycznych, to chcąc chronić w niej ryby, musimy zwrócić uwagę głównie na temperaturę, czystość wody, zawartość w niej tlenu, itd., i starać się poprawić przede wszystkim te właśnie parametry, gdyż to one, a nie rywalizacja gatunków, są decydujące.

Przy przewadze czynników biotycznych niewiele z kolei zrobimy, zmieniając ukształtowa-



Foto: Grzegorz Gajdański

W kwietniu 1937 roku specjalny Korespondent „Prawdy” — Michaił Kołcow, został wezwany z Hiszpanii do Moskwy. Już około dziesięciu miesięcy — od 18 lipca 1936 roku, gdy zabrzmiał złowieszczy sygnał radiowy: „nad całą Hiszpanią jest bezchmurne niebo”, wzywający do faszystowskiego puczu — przebywał Michaił Kołcow w Hiszpanii. Miliony czytelników „Prawdy” z zapartym łchem śledziło korespondencje Michaiła Kołcowa z Barcelony, Madrytu, Toledo, Guadalajary, Bilbao. Korespondent „Prawdy” był wszędzie, szalał po frontowych drogach, ziewał się w okopach, punktach dowodzenia w sztabach, poznawał różne organizacje obronne, komitety wojskowe i partyjne, ministerstwa. Wysoce oceniali pracę Michaiła Kołcowa nasi wybitni wojskowi, uczestnicy wojny w Hiszpanii: R. Malinowski, K. Mieriejkow, P. Batow i inni.

Ernest Hemingway w usta głównego bohatera powieści „Kochu bije dzwon” wkłada opis Michaiła Kołcowa jako najmądrzejszego z ludzi, których miał okazję spotkać, pełnego godności, odwagi i humoru...

SPOTKANIE NA KREMLU

Na dworcu Białoruskim wezwany na majowe święto 1937 roku Michaił Kołcow witał najwybitniejsi dziennikarze i pi-

Brat znanego radzieckiego dziennikarza Michaiła Kołcowa — popularny karykaturzysta — opisuje okoliczności aresztowania i swoje starania, aby dowiedzieć się o losie brata.

Działo się w latach trzydziestych

BORYS JEFIMOW

sarze. Na Kremlu otrzymał rzadko jeszcze w tych czasach nadawany Order Czerwonego Sztandaru. W sali Georgijewskiej Pałacu Kremlowskiego, na tradycyjnym przyjęciu, wśród wielu wzniesionych toastów znalazł się też jeden poświęcony korespondentowi „Prawdy”.

— Wiecie towarzysze — powiedział Klimient Woroszyłow — że w Hiszpanii trwa wojna. Wojna zacięta, nie na żarty. Różne tam walczą narody. Weśniali się też nasi. Rosjanie. Proponuję, towarzysze, wnieść kielichy za przedstawiciela naszych w Hiszpanii, obecnego tutaj towarzysza Michaiła Kołcowa.

Michaił Kołcow był rozrywany. O swoich wrażeniach z Hiszpanii opowiadał w różnych środowiskach. Najpoważniejszym audytorium było najmniej liczne, składające się z pięciu ludzi: byli to Józef Stalin, Władimir Łenin, Łazarz Kaganowicz, Klimient Woroszyłow, Nikołaj Jeżow. Ponad trzy godziny zadawano pytania, na które Michaił Kołcow odpowiadał wyczerpująco. Dotyczyły one sytuacji wojskowej i politycznej w Hiszpanii. Wreszcie rozmowa zbliżyła się do końca.

— I wtedy — opowiadał mi tego wieczoru brat — on zaczął cudacznie. Stał koło mnie, przyłożył rękę do serca, uklonił się.

— Jak zwracać się do was po hiszpańsku, Miguel?

— Miguel, towarzyszu Stalin — odpowiedziałem.

— No więc tak, don Miguel. My szlachetni Hiszpanie, dziękujemy serdecznie za wasz interesujący referat. Do widzenia, don Miguel. Wszystkiego najlepszego.

— Ku chwale Ojczyzny, towarzyszu Stalin!

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu:

literackiego: Henryk

Pustkowski

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Doroszyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,

Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska,

Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,
Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadamowski,
Grzegorz Gązda, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl

Kocznów (Iwanowo),
Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy.

Panasewicz, Karol J.
Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewód-
zkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach —
instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 3. Osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych
i nadawczo-odbiorczych właściwych
dla miejsca zamieszkania prenumera-
tora. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 3. Prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 28,
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045-139-11. Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenumeraty
krajowej o 50 proc. dla zleciotodawców
indywidualnych i o 100 proc. dla zleci-
otodawców instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenumerat
na kraj i za granicę — do dnia 10
listopada na I kwartał i półrocze roku
następnego oraz cały rok następnny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 167. S-10.

Przegląd prasy

Począwszy od końca lat siedemdziesiątych upowszechnia-
no pogląd, że płace rosną w
Polsce szybciej niż dochód na-
rodowy. Przekonywano nas, że
to jest główna przyczyna infla-
cji, czyli ruchu cen w górę.
Z tego wynikał wniosek, że trze-
ba koniecznie ograniczyć tem-
po wzrostu wynagrodzeń.

Oble tezy są jednak niepra-
wdziwe. Tak twierdzi na łamach
„POLITYKI” (nr 3) prof. dr
hab. Wiesław Krencik. Udowa-
dnia on, że zarabiamy raczej
za mało, co osłabia motywację
do pracy i hamuje rozwój spo-
łeczno-gospodarczy kraju.

„Oto w ostatnich 16 latach
dynamika plac — w cenach sta-
tych — jest niższa niż dynami-
ka dochodu narodowego wy-
tworzonego — o prawie 50
proc. A dochodu narodowego
podzielonego — aż o ponad 50
proc. Nie ma więc w sumie
podstaw do twierdzenia, że
tempo wzrostu plac jest zbyt
szybkie. Raczej można mówić,
że jest ono zbyt wolne w sto-
sunku do tempa dochodu naro-
dowego. Również porównanie
dochodu narodowego w cenach
bieżących z płacami nominal-
nymi — za ostatnich 7 lat — po-
kazuje podobną tendencję:
wzrost plac nominalnych był
niższy niż dochodu narodowego
(wytworzonego i podzielonego);
różnica wynosi 12 proc. W sto-
sunku do dochodu narodowego
wytworzonego i 9 proc. — po-
dzielonego”.

JEST TO ZASKAKUJĄCE.

Nie pierwszy raz okazało się,
że prawdy naukowe są paradok-
salne. W rzeczywistości jest
inaczej niż można sądzić na
podstawie tzw. zdrowego roz-
sądku.

Wiesław Krencik wskazuje
dalej na zasadniczą zmianę w
podziale pierwotnym dochodu
narodowego (na płace i dochody
przedsiębiorstw), która nastąpi-
ła w wyniku regulacji plac i
cen z 1982 roku. Otóż udział
plac w tym podziale zmalał z
64 proc. do 38 proc., natomiast
udział dochodów przedsiębiorstw
wzrósł z 36 do 64 procent. W
sumie płace wzrosły o 41 proc.,
a dochody przedsiębiorstw aż
o 359 procent.

Nie znaczy to, że ludzie są
biedni a przedsiębiorstwa bogate.
W istocie przedsiębiorstwa są
ubogie. Dlaczego? Ponieważ zbyt
szybko rosną tzw. pozapłacowe
koszty niematerialne produkcji
(podatki od plac, składki na u-
bezpieczenia społeczne i inne
narzucone na plac oraz odpisy
na fundusze zakładowe i spe-
cjalne usługi bankowe, podró-
że służbowe, podatki i inne u-
slugi niematerialne).

„Wszystkie dane statystyczne
dotyczące niebezpieczeństwa
złoty, szczególnie naszej gospodarki
i trudności jej rozwoju nie jest
zbyt szybkie tempo wzrostu
plac, lecz zbyt szybkie tempo
wzrostu kosztów niematerial-
nych. To ono właśnie, a nie pla-
ce, przyczynia się do groźnego
obniżenia skali akumulacji
przedsiębiorstw, pozbawiając co-
raz większą część ich dochodów”.

Tu również, a nie po stronie
plac, należy szukać głównej
przyczyny szybkiego wzrostu
cen. Produkcujemy drożej i pod-
nosimy ceny w dużej mierze
wskutek nadmiernej dynamiki
kosztów niematerialnych, a przede
wszystkim podatków, odpisów
na ubezpieczenia społeczne i
innych narzutów na plac oraz
odpisów na fundusze specja-
lne.

Pod koniec artykułu Wiesław
Krencik podkreśla, że sztuczne
ograniczanie wzrostu plac przy-
nosi negatywne skutki. Między
innymi przyczynia się do zwal-
niania lub wręcz zahamowania
rozwwoju gospodarczego.

W innym tekście — opubli-
kowanym na łamach miesięcz-
nika „PRACA I ZABEZPIECZE-
NIENIE SPOŁECZNE” (nr 10
— 11) — ten sam autor podaje,
że w latach 1981—1986 prze-
ciętne płace nominalne w go-
spodarce społecznej wzrosły

prawie czterokrotnie, natomiast
w latach 1981—1980 tylko 3,5-
krotnie. Oznacza to, że w cię-
gu ostatnich 6 lat zanotowano
większy wzrost niż w okresie
poprzednich 20 lat. Nie to je-
dnak zdecydowało o skali
wzrostu kosztów produkcji o-
raz inflacji.

Zycie społeczne zależy nie
tylko od stanu gospodarki. O-
gromne znaczenie ma również
system prawny. Specjaliści u-
ważają, że mamy obecnie zbyt

SUROWE PRAWO KARNE.

Pracuje już specjalna komi-
sja do spraw reformy tego pra-
wa. Z jej przewodniczącym
prof. dr hab. Kazimierzem Bu-
chala przeprowadził rozmowę
Teresa Zagajewska. Zaintere-
sowanym polecam ostatnie wy-
danie „GAZETY PRAWNICZEJ”
(nr 2).

Komisja weźmie pod uwagę
wszystkie zgłoszone dotąd pro-
pozycje. Przede wszystkim
chodzi o racjonalizację polityki
karnej i złagodzenie represyj-
ności. Na ile innych krajów
stan przestępczości w Polsce nie
usprawiedliwia istniejącej po-
lityki kryminalnej? W 1986 ro-
ku wymierzono u nas 36 proc.
kar bezwzględnej pozbawienia
wolności, podczas gdy w RFN
zaledwie 8 proc., w Szwecji 10
proc., Austrii — 12 proc. Ak-
tualnie na świecie dominuje po-
gląd, że więzienie nie jest do-
brym miejscem resocjalizacji.
Kazimierz Buchala mówi:

„To, że sprawca popełnił
przestępstwo jeszcze wcale nie
oznacza, że wymaga on resoc-
jalizacji. Badania wykazały
również, że czas przebywania
w więzieniu nie ma wpływu
na resocjalizację, tzn. że wo-
lności do przestępstwa po
średnio i długoterminowych ka-
rach jest podobna. Z tym, że
jeśli kara trwa 15 lub 25 lat,
to sprawca najczęściej nie po-
wraca do przestępstwa nie
dlatego, iż został resocjalizo-
wany, lecz dlatego, że jest już
wzrostem życiowym. Skoro w
stwierdzeniu nie jest w stanie
resocjalizować, to trzeba wymie-
rzyć taką karę, która pełniłaby
rolę tzw. prewencji ogólnej —
powstrzymującej ogół. Kara po-
winna być sprawiedliwa, ale
to nie znaczy, że surowa. (...)
Długa kara powoduje zerwanie
więzi rodzinnych i środowisko-
wych, utratę pracy, a zakład
pracy niejednokrotnie traci do-
brego fachowca. Pytanie, czy
ponoszenie tych kosztów jest
uzasadnione, jeżeli weźmiemy
się pod uwagę współczynnik prze-
stępstwa u nas wynoszący o-
biecnie ok. 1400 osób na 100
tys. mieszkańców, który jest w
innych krajach od 3 do 6 razy
większy, przy czym ilość spra-
wców przebywających w wię-
zieniach 3 do 5 razy mniejsza.
Nasuwa się więc oczywisty
wniosek, że nie ma niezbędnej
potrzeby, aby tylu ludzi prze-
bywało w więzieniu. Przy tym
średnia kara pozbawienia wol-
ności u nas wynosi 2 lata 3
miesiące, a w wielu krajach
poniżej roku, co również rodzi
pytanie, czy tak długie kary
są konieczne. (...) Trzeba zmie-
szczać ilość orzekanych kar po-
zbawienia wolności w ogóle oraz
obniżać średnią orzekanych kar
i dolną ich granicę. Należy o-
graniczyć stosowanie aresztów
tymczasowych oraz zmniejszyć
liczbę zastępczych kar pozbawie-
nia wolności za orzekanie
grzywny”.

Przewidywane zmiany prze-
pisów naszego kodeksu mają
umożliwić zmianę filozofii po-
lityki karnej w Polsce. Musimy
część orzeczek warunkowe za-
wieszenie kary. Ale do tego
potrzeba odpowiedniej liczby
kuratorów, którzy będą kon-
trolować wykonanie nałożonych
obowiązków.

OD WAŻNYCH SPRAW KRAJOWYCH PRZECHODZĄ DO MIĘDZYNARODOWYCH.

Bardzo skomplikowana i
trudna z wielu względów do
rozwiązania jest dziś

W kwietniu tego roku przy-
pada 10 rocznica przewrotu le-
wicowego, który później nazwa-
no Rewolucją Kwieciową. Już
osiem lat przebywają w Afga-
nistanie oddziały radzieckie. W
toku dotychczasowych walk
zginęły setki tysięcy Afganczy-
ków, a pięć milionów udało się
na emigrację.

SITUACJA W AFGANISTANIE.

Jak doszło do wojny domowej
w Afganistanie? Jak się szan-
se jej zakończenia? Na pyta-
nia te próbuje odpowiedzieć w
„TYGODNIKU KULTURAL-
NYM” (nr 4) Mirosław Gło-
gowski. Jego zdaniem, lewica
afgańska wciąż jeszcze nie ma
poparcia najprawdopodobniej
większości społeczeństwa. A o-
becność wojsk radzieckich ten
dumny naród przyjął zdecydo-
wanie nieprzychylnie.

Paradoks polega na tym, że
Związek Radziecki od samego
początku miał bardzo dobre
stosunki z wszystkimi monar-
chami afgańskimi. Rewolucja
Kwieciowa dopiero wszystko
zepsuła. Była zresztą zaskocz-
eniem dla ZSRR i wcale nie od-
powiadała jego interesom. Mi-
chail Gorbaczow nazwał nieda-
wno wojnę w Afganistanie
„krwawiącą raną ZSRR”. Po-
legło w niej wielu żołnierzy ra-
dzieckich.

W dwudziestu sześciu opera-
cjach wojskowych na terenie
Afganistanu uczestniczył Alek-
sander Buczyński. Pojechał
tam w wieku 18 lat i przeby-
wał przez półtora roku. Shi-
żył w oddziale desantowym. Z
jego plutonu zginął jeden żoł-
nierz radziecki; lecz tylko nie-
wielu nie było rannymi.

Rozmowę z Aleksandrem Bu-
czyńskim przeprowadził dla
tygodnika „ITD” (nr 3) Ewa
Kluczkowska. Kiedy zapytano
go, czy pojechałby do Afgani-
stanu, odpowiedział: „twierdząc”.
W nielicznych przypadkach
młodzi żołnierze radzieccy od-
mawiali. Wyjeżdżali przeważnie
w wieku 18 lat. Starsza była
tylko kadra oficerska.

Aleksander Buczyński kon-
wojował transporty i brał u-
dział w regularnych walkach.
Został odznaczony Orderem
Czerwonej Gwiazdy. Obecnie
jest studentem II roku filii mo-
skiewskiego Instytutu Energetyki
w Smoleńsku. Ożenił się z
dziewczyną, która czekała na
jego powrót. Ze strony spo-
łeczństwa radzieckiego spoty-
ka się przede wszystkim z sza-
cunkiem. Z polityki w Afgani-
stanie najbardziej zapamiętał
biedę, upał i niezwykle pra-
cowitych ludzi. Na życie pa-
trzy dziś spokojnie, z dystan-
sem: docenia prawdę i rozumie
pokój. Nikomu nie życzy podo-
bnych przeżyć.

Krwawe walki toczą się ró-
wnież od wielu lat w Nikara-
gui. Rewolucja wybuchła tam w
1979 roku. W sprawy politycz-
ne mocno uwikłany jest mię-
dzy innymi

KOŚCIÓŁ
RZYMSKOKATOLICKI

Episkopat, część księży i
wiernych nie popiera przemian
rewolucyjnych. W związku z
tym doszło do powstania „Kościo-
ła ludowego”, który sprzeciwia się
papieżowi i władzy biskupów.
Opowiada o tym w „TYGO-
DNIKU POLSKIM” (nr 4) Jose
Arquello — redaktor naczelny
nikaraguańskiego pisma teol-
ogicznego.

Podkreśla on, że rewolucja w
Nikaragui nie jest ateistyczna.
Wynika ideologicznie z mar-
kizmu i chrześcijaństwa. W
rządzie rewolucyjnym są ate-
iści i chrześcijanie, lecz żadna z
tych grup nie ma przewagi. O-
becnie przedstawiciele episko-
patu chcą już rozmawiać z wła-
dzą, ale nie rozmawiają z księ-
żmi, zakonnikami i wiernymi
z „Kościoła ludowego”.

Jose Arquello reprezentuje
chrześcijan opowiadających się
po stronie rewolucji. Przypu-
szcza on, że papież Jan Pa-
wel II zbyt słabo zna sytuację
w Nikaragui i zbyt łatwo po-
równuje ją z warunkami pol-
skimi. A faktycznie podobień-
stwa są pozorne.

Na zakończenie tego prze-
glądu czasopism podaje za „TY-
GODNIKIEM POWSZECHNYM”
(nr 3) najnowsza statystyka du-
chowieństwa w Polsce. Otóż po-
d koniec 1987 roku (stan z 20
października) Kościół rzymsko-
katolicki miał 23 432 kapłanów.
W tym było 17 728 księży die-
cezalnych oraz 5 708 zakon-
nych. W seminarzach duchow-
nych znajdowało się 9 038 alu-
mników. W ubiegłym roku po-
raz pierwszy wyświęcono po-
nad tysiąc (1 009) kapłanów. W
latach 1979—1987 liczba księży
wzrosła o 3 234 osoby (16 proc.),
a liczba seminarzystów aż o 55
procent!

NA WŁASNY RACHUNEK

Gorzka miłość

Jeśli już komuś zdarza się czytać to moje pisanie (a jesz-
cze do tego — pamiętać), ten mógł zauważyć, że jestem zdecy-
dowanym przeciwnikiem uprawiania tzw. kultu jednostki, co roz-
ciągam ze specjalnym naciskiem na osobę Józefa Piłsudskiego.
Nie będę tu po raz kolejny swojego stanowiska wobec Marszał-
ka Polski uzasadniać, wspomnę tylko, że oprócz jego z gruntu
błędnej orientacji na mocarstwa centralne przeciwko entencie,
uważam także za szkodliwy dla kraju jego antydemokratyczny,
dyktatorski model sprawowania władzy i okazywanie pogardy
Sejmowi.

Oczywiście był Piłsudski żarliwym patriotą, osobicie bezwzględ-
nie uczciwym, bezinteresownym materialnie, indywidualnością
nieprzeciętną i niezmiernie „malowniczą”.

Muszę wyznać, że z największym uznaniem i podziwem dla
trafności obserwacji, a także dla publicystycznych talentów Pi-
sudskiego przeczytałem zamieszczony w nr 2 „Polityki” z tego
roku nieznaną dotychczas w kraju list marszałka do Romana
Dmowskiego, przywódcy Narodowej Demokracji, który przewo-
dził Narodowemu Komitetowi Polskiemu w Paryżu. Dmowski,
autor ważnego dzieła politycznego: „Niemcy, Rosja i kwestia
polska”, nad którym i dziś jak uważam warto się zastanowić
(choć nie kocham „endeków”) brał udział wraz z Ignacym Pa-
darewskim w rokowaniach paryskich, decydujących o politycz-
nym kształcie Europy po zakończonej dopiero co I wojnie świa-
towej (zwanej wówczas „wojną europejską”), a list z Polski do
Francji, pisany był w styczniu 1919 r., choć nie wiadomo na pew-
no czy wysłany.

List wyraża troskę Piłsudskiego, żeby nad polską racją stanu
nie wzięły góry koteryjne interesy różnych polskich ugrupowa-
nia, w związku z czym daje on dosadną i okrutną charakterystykę
polskiej mentalności politycznej i postaw obywatelskich. Pozwo-
le sobie przytoczyć co celniejsze wypowiedzi marszałka o rodak-
kach.

„Masa społeczeństwa polskiego (...) nie posiadająca żadnych
właściwości przekonań, jest masą bez kości i fizjonomii. O tę ga-
wiedź politycznie bezmyślną, o przyciągnięcie jej choćby na je-
den moment w te lub drugą stronę chodzi w pierwszym rzędzie
tym wszystkim, którzy robią politykę (...). A ponieważ ogół spo-
łeczństwa jest politycznym niemowleciem, więc konkurencja
musi dostosować swe metody do tego poziomu. Stąd spekulacja
na najbardziej prymitywne i naturalne odruchy mas (...). (...)”
skłonność do politycznych mrzonek nie pozostaje do dziś udziałem
znacznej części polskiego społeczeństwa, do czego dostosowują
swoją propagandę antypolskie ośrodki (...).

I dalej: „Każde normalne państwo strzeże polityki zagranicz-
nej i spraw armii zazdrośnie, jako monopolu państwowego. W
państwach normalnych nikomu się nie śni prowadzenie tych
spraw poza państwem czy obok państwa. W państwach normal-
nych stronnictwa czy ludzie znają granice, do której w tych
dziedzinach mogą pójść (...) i nie uważa się poza te granice ani
kroku zrobić”. (Czyż nie nasuwają się nam skojarzenia z pro-
wadzoną na własną rękę polityką kresowych magnatów w daw-
nej Rzeczypospolitej szlacheckiej lub niektórych liderów opozycji
w latach 1980—81?)

W dalszym ciągu pisze Piłsudski: „Każda grupka, każdy Pola-
czek (...) czuje się w obowiązku (...) przed każdym koresponden-
tem zagranicznego piśmiennictwa meldować się pokornie i wyłuszczać
swoje plany i kwestie polityki zagranicznej, jakie mu (...)”
do łba strzelą (...). Sprawy podobne należałyby traktować jako
zdradę stanu i trzeba byłoby tych i podobnych im panów roz-
strzelać jak psów”. (Czyż nie znamy nazwisk osób, które ponad
władzą państwową prowadzi politykę za pośrednictwem obcych
pism i rozgłośnia?)

I wreszcie: „W takich warunkach wszystkie interesy Polski są
tanie, bo przecież z każdym tańczącym i bijącym ogonem o ziemie
piśmiennictwa łatwo dać sobie radę”. (Czy milion dolarów raz na
jakis czas to droga?)

Józef Piłsudski nie był pierwszym i jedynym polskim patrio-
tą, który boleśnie przeżywał i jak najostrej piętnował nieczyste
postawy wśród rodaków. Nie inaczej ksiądz Piotr Skarga, nie
inaczej Słowacki czy Zeromski, a nawet Maria Dąbrowska w
przedwojennym tomie publicystycznym pt. „Rozdroże”. Oprócz
bowiem patriotyzmu zadufanego, skłonnego do idealizacji narodu
i sprzyjającego — na zasadzie zmywu obłudy — uspieniu moral-
nemu, istniał i nadal istnieje patriotyzm bolesny i gorzki, rozdra-
żniający rany, żeby się nie zabiłymi błoną podłości”, pobudzający
do walki ze złem we własnym narodzie.

Ale też, jak wskazuje przykład Piłsudskiego, tak bezlitośnie
krytyczne widzenie własnego narodu, podkopujące wiarę w jego
możliwości intelektualne i moralne, może politykowi nasuwać
pokusę rządów despotycznych, nie liczących się z głosem opinii,
opierających się społecznej kontroli. Potwierdził to przewrót
majowy, proces brzeski, obóz w Berezie...

Więc choć zgadzam się z Józefem Piłsudskim w jego do dziś,
jak myślę, w znacznej mierze aktualnych ocenach społeczeństwa,
to nie zgadzam się z politycznymi wnioskami. To przecież brak
tradycji parlamentarnych, przerwanych wskutek zaborów i nie-
dostatek urządzeń samorządnych były winowajcami słabego wy-
robienia politycznego i nie dość zdyscyplinowanych postaw oby-
watelskich wśród Polaków.

Rozwijanie socjalistycznej demokracji, umacnianie praworząd-
ności — ot, co nam (poza reformą gospodarki) pozostaje...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Wczoraj, w święta, a także w każdy, najbardziej po-
wzedni dzień, na Krupówkach jest ponuro i ciemno jak w gro-
bie. Bary i restauracje, których kiedyś było bez liku, teraz za-
mykane są już o godzinie szóstej czy siódmej. Nawet prywatne
lokale i kramy nie chcą pracować, nikt nie chce zarabiać, tu
urlop, tam remanent, ówdzie znów przeczucie towaru — reportaż
ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO z Zakopanego.

— W rodzinie jak w soczewce skupiają się wszystkie problemy
społeczne. Jeżeli jest chore społeczeństwo, następuje degradacja
rodziny — tak zaczyna swój artykuł STEFANIA DZIĘCIELSKA-
MACHNIKOWSKA.

— Jerzy Kosiński jest autorem mało znanym wśród polskiej
publiczności. Nawet w kręgach tzw. znawców przedmiotu funk-
cjonuje często jako postać bardziej anegdotyczna aniżeli rzeczy-
wista. Urodził się w Polsce, w Łodzi studiował socjologię —
szkie MACIEJA ŚWIERKOCKIEGO.

— Pewnego razu w drodze do Warszawy znalazłem się na prze-
jeździe kolejowym w Łowiczu. Szlaban zamknięty. Po obu stro-
nach torów na szosie sznur różnego rodzaju pojazdów. Minuty
płyną. Czekaający ludzie niecierpliwią się. Co się stało? — ma-
teriał WŁADYSŁAWA STRZELECKIEGO.

— Mamę uratował Feliks Dzierżyński, ale niestety żył krótko
— ciekawe zwierzenia JEKATERINY MIESZCZERSKIEJ.

— Przecież nie o to chodzi, że dziś w całym handlu istnieje
luki, niedobory, braki, opóźnienia. Nie można tylko narzekać —
mówi SŁAWOMIR JABLONSKI, naczelny dyrektor Przedsiębior-
stwa Handlu Artykułami Papierniczymi i Sportowymi ARPS w
Łodzi.

„Może być ważną wskazówką, że myśliciel, którego moglibyśmy o to nie podejrzewać, był zarazem gorącym wielbicielem Don Kichota. Był to Karol Marks”.

Stanisław Vincenz

Podstawowe odkrycie historyczno-filozoficzne Karola Marksa streszcza się w pozornie prostym twierdzeniu, że ludzie muszą przede wszystkim zaspokajać potrzeby materialne, żeby mogli uprawiać działalność polityczną, prawną, moralną, naukową, religijną, artystyczną. Marks stanowczo odrzucał poglądy, że sfera ideologiczno-kulturalna stanowi niepodległą krainę ducha, determinującą kształt życia społeczno-ekonomicznego i polityczno-prawnego. Jego zdaniem:

„Nie świadomość ludzi określa ich byt, lecz przeciwnie, ich byt społeczny określa ich świadomość” (MED 13.9).

Teza ta jest powszechnie znana i często cytowana. Każdy, kto ją głosi, jest materialistą socjologicznym. Oznacza ona, że prawo, moralność, nauka, religia, sztuka zależą od realnego sposobu życia, który ludzie prowadzą w danym ustroju ekonomicznym i politycznym. Zasadniczym elementem bytu społecznego jest system realizacji potrzeb materialnych (żywienie, ubiór, mieszkanie, komunikacja itp.). Tworzą go instytucje zapewniające reprodukcję społeczeństwa ludzkiego: rodziny i gospodarstwa domowe, zakłady produkcyjne i usługowe, placówki oświatowo-wychowawcze i służby zdrowia.

Wymienione typy instytucji składają się na tzw. społeczeństwo obywatelskie. Stanowi ono podstawę (bazę) wszelkich innych form życia społecznego ludzi. Baza ta „produkcyjna i reprodukcyjna rzeczywistości życia” — jak pisał F. Engels w ostatniej instancji decyduje o biegu procesu historycznego.

W całości społecznej poszczególnie nadbudowy (polityka, prawo, moralność, nauka, religia, sztuka) mają względną autonomię i wzajemnie oddziałują na siebie i na bazę. Nie mają jednak absolutnej samodzielności, lecz w ogólności i w dłuższym okresie zależą od bazy społeczno-ekonomicznej. Najmniej uwarunkowane są religia i sztuka.

Po opublikowaniu w 1859 roku pracy „Przyczynki do krytyki ekonomii politycznej” postanowiono Marksowi zarzut, że zasada materializmu w historii jest trafna jedynie w odniesieniu do dzisiejszego świata, w którym dominującą rolę odgrywają interesy materialne. Nie można natomiast odnieść jej do Aten i Rzymu, gdzie panowała polityka, a nie do średniowiecza, w którym dominował katolicyzm.

Co na to Karol Marks?

Zarzut ten pojawił się w pewnym dzienniku niemieckim ukazującym się w Ameryce. Karol Marks odpowiedział nań w jednym z przypisów do pierwszego tomu „Kapitału”. Czytamy tam między innymi:

„Jedno jest oczywiste: ani średniowiecze nie mogło żyć z katolicyzmem, ani świat starożytny — z polityką. Wzręcz odwrócić sposób, w jaki w epokach tych ludzie zdobywali to, co potrzebne do życia, wyjaśnia, dlaczego w jednym wypadku polityka, a w drugim katolicyzm odgrywał główną rolę. Niewątpliwie trzeba zresztą mieć wiadomości np. z historii republiki rzymskiej, aby wiedzieć, że sekret jej historii kryje się w historii własności ziemskiej. Skądinąd już Don Kichot odpowiadał za mylny pogląd, jakoby błędne rycerstwo uważało się za jednakoowo pogodzone z wszystkimi ekonomicznymi formami społeczeństwa” (MED 23.94-95).

Jak widać, Karol Marks nie zaprzecza temu, że główną rolę w społeczeństwie antycznym spełniała polityka, a w średniowieczu europejskim — religia katolicka. Ale podkreśla, iż o dominacji tych pozaekonomicznych czynników zadecydowała w obu przypadkach specyficzna baza społeczno-ekonomiczna.

To znaczy, że jeśli baza (społeczeństwo obywatelskie) nie warunkuje w sposób bezpośredni rozwoju historycznego, to określa ten proces pośrednio. W ostateczności zawsze społeczeństwo obywatelskie wpływa na charakter państwa i prawa oraz moralności nauki, religii, sztuki, ideologii.

W liście do Konrada Schmida z 17 października 1890 roku Fryderyk Engels zwraca uwagę, że w pracy „Osiemnasty brumaire’a Ludwika Bonaparte” Marks pisze prawie wyłącznie o „szczególnej roli”

polityki, ale w ramach jej „ogólnej zależności” od warunków społeczno-ekonomicznych. Twórca marksizmu nigdy nie uważał ekonomiki za jedyny czynnik decydujący w historii. W tej kwestii nie byli monistami, lecz esencjalistami.

W cytowanym wyżej przypisie do pierwszego tomu „Kapitału” Karol Marks powołuje się na literacki przykład Don Kichota. Pragnie podkreślić, że błędne rycerstwo jest zjawiskiem historycznym, ściśle związanym z określonym ustrojem ekonomicznym.

Nie ulega wątpliwości, że Marks bardzo dobrze znał i wysoko cenił dzieło Miquela de Cervantesa. I znakomicie rozumiał dramat Don Kichota. Ale jego kontynuatorzy nie byli w stanie wyzwolić się z donkichotyzmu. Pisze o tym Stanisław Vincenz:

„Nikt może tak nie cenił „Don Kichota”, jak Karol Marks. Można by sądzić, że udział w nim ostrzeżenie dla socjalistów, którzy podejmie trudne dzieło zwolnienia ludzkości od kapitalizmu. Don Kichot bowiem to wieczne ostrzeżenie o niekongruencji między naszymi wyobrażeniami o rzeczywistości, zabarwionymi pragnieniami, a samą rzeczywistością. Ostatecznie ktoś więcej popchnął donkichotyzmu jak właściwie marksizm? Bądź ortodoksyjnie wierząc w książkę swego mistrza, bądź ignorując jej ostrzeżenia i nawet zadradzając ją dla zaspokojenia gorących pragnień ziszczenia ideału socjalistycznego”.

Najprawdopodobniej początkowo wcale nie poglądy naukowe, lecz ideały moralne zadecydowały o przystąpieniu Marksa do ruchu robotniczego. Maximilien Rubel twierdzi, że już w maturalnym wypracowaniu Karola Marksa o wyborze zawodu zawarta jest główna zasada całej jego drogi życiowej.

Idealizm siedemnastolatka

Karol Marks urodził się 5 maja 1818 roku w Trewirze nad Mozela, dopływem Renu. Jego rodzice byli Żydami. Ojciec, Henryk, pochodził z rodziny rabinackiej. Na krótko przed urodzeniem Karola przeszedł z judaizmu na chrześcijaństwo w wersji luteranckiej. Później przyjął również chrzest jego żona, Henrietta Pressburg, i wszystkie dzieci.

W latach 1830-1835 młody Marks uczył się w królewskim gimnazjum Fryderyka Wilhelma w Trewirze. Miasto liczyło wówczas około 15 tys. mieszkańców (dziś ma ponad 100 tysięcy). Karol był uczniem dobrym, lecz nie wybitnym. Zachowywał się trzy prace maturalne, które ukazywały ówczesny poziom intelektualny i światopogląd.

W wypracowaniu z religii pt. „Zespolenie się wierzących z Chrystusem według Ewangelii św. Jana” siedemnastolatkę chłopiec stwierdza, że człowiek z natury dąży do prawdy i dobra. Lecz dzieje ludzkości uczą, że tylko poprzez obcowanie z Chrystusem można przezwyciężyć egoizm i żyć naprawdę moralnie. Istnieją bowiem popędy i uczucia spychające nas z uczciwej drogi.

„Niskie dążenie do dóbr ziemskich wypiera dążenie do poznania, tęsknota do prawdy jest zagłuszana przez pieszczotliwy głos kłamstwa, i w taki sposób stoi tu człowiek — jedyna istota w przyrodzie, która nie spełnia swego zadania, jedynie człowiek w całym wszechświecie, niegodny Boga, który go stworzył”.

Na tytułowe pytanie drugiego wypracowania gimnazjalnego — „Czy należy zaliczać panowanie Augusta do najszczęśliwszej epoki historii Rzymu?” — autor odpowiedział twierdząco. Jego zdaniem, były to lata szczęśliwe, choć jeden człowiek zagarnął całą władzę i zniknęły nawet pozory wolności. August odznaczał się jednak rozsądkiem i łagodnością. Rzymianie nie zauważyli nawet, że odebrano im wolność i myśleli, że sami rządzą. Ten typ ustroju najbardziej odpowiadał potrzebom ówczesnych czasów. Przy zwichniętym państwie, zniewieszczeniu obywateli i zaniku prostoty obywateli cesarz lepiej niż wolna republika mógł zapewnić wolność ludowi.

Trzecie wypracowanie pisał z języka niemieckiego. Zatytułowano je bardzo praktycznie: „Rozważania młodzieńca przy wyborze zawodu”. Jest to najciekawsza praca Karola Marksa z sierpnia 1835 roku, jednego z najmłodszych abiturientów gimnazjum królewskiego w Trewirze. Na wstępie siedemnastolatek oświadcza:

„Zwierzęcia sama natura wyznacza krąg działania, w którym ma się ono obracać i zwierzę spokojnie pozostaje w nim, nie dążąc do niczego ponad to,



Jenny von Westphalen

Błędny rycerz czy realista?

EDMUND LEWANDOWSKI

(1)

nie przezwyciężając nawet czegoś innego. Człowiekowi także kuto Bóstwo cel ogólny, by ludzkość i siebie uszlachetniał, ale jemu, samemu powierzyło wyszukanie środków, dzięki którym zdola to osiągnąć; powierzyło mu wybór pozycji społecznej; najodpowiedniejszej dla wznieśienia siebie i społeczeństwa jak najwyższej. Wybór ten stanowił o wielkim uprzywilejowaniu człowieka wobec pozostałych istot stworzenia, lecz zarazem jest czynem, który może zlamać całe jego życie, zniweczyć wszystkie jego plany, uczynić go nieszczęśliwym”.

W dalszym ciągu autor stwierdza, że wybór zawodu powinien być zgodny z wewnętrznym powołaniem i zamiłowaniem, a nie oparty na ambicji i dążeniu do wielkości. Radzić należy się tu nie rozumowi, zaślepieniu uczuciem i fantazją, lecz rodzicom, którzy zasnali już surowości losu. Wybrany zawód musi sprzyjać osiągnięciu doskonałości i godności, co nie zawsze idzie w parze z wysoką pozycją w hierarchii społecznej. Nasza doskonałość da, się natomiast pogodzić z działaniem dla dobra ludzkości.

„Historia nazywa największymi tych ludzi, którzy uszlachetniali siebie, działając na rzecz ogółu; doświadczenie pozwala uznać za najszczęśliwszego, człowieka, co w największej mierze uszczęśliwia innych; sama religia uczy nas, że ident, do którego wszyscy dążą, złożył

siebie w ofierze ludzkości, i ktoś osmiał się podobne orzeczenia podawać? Jeśli wybrałbyś zawód, w którym możemy dokonać największej dla dobra ludzkości, nie ugniemy się pod jego ciężarem, widząc w nim tylko ofiarę na rzecz uszczęśliwienia. W każdym razie żaden z tych czarnych obrazów Madonny nie był tylekroć całownym, oglądany i adorowany jak Twoja fotografia, która nie jest co prawda czarna, ale za to zastępną i wcale nie odzwierciedla Twego miłego, czarującego, ujmującego, „dobre” (słotkiego — E.L.) oblicza. (...) Mam Cię oto przed sobą jak żywą, i noszę Cię na rękach, i całuję Cię od głowy do stóp, i padam przed Tobą na kolana, i wzdycham: „Madame, Kocham Cię”. I Kocham Cię naprawdę, bardziej niż kochał kiedykolwiek ów Murzyn wenecki (Otello — E.L.). (...) Chwilowa rozłąka jest dobra, gdyż przebywanie blisko siebie sprawia, że rzeczy wyglądają zbyt jednakowo, by je można było odróżnić. (...) Wielkie namiętności, które przez bliskość swego przedmiotu przybierają charakter drobnych przyzwyczajęń, urastają i wracają do swoich naturalnych rozmiarów pod czarodziejskim wpływem oddalenia. I tak jest z moją miłością. Wystarczy, że tylko we śnie znikniesz z moich oczu, a już od razu wiem, że czas był dla mojej miłości jedynie tym, czym słońce i deszcz są dla roślin — źródłem rozwoju. (...) Na świecie jest oczywiście wiele kobiet, a niektóre z nich są piękne. Ale gdzie znaleźć jeszcze, oblicze, którego każdy rys, nawet każda zmarszczka budziłaby znowu we mnie najsilniejsze i najmiłsze wspomnienia mojego życia? Nawet moje bezmierne cierpienia, niepowetowane moje straty (śmierć dzieci — E.L.) wyczułbym z Twojego miłego oblicza i scalony mógł być całując Twoją słodką twarz. (...) Do wczelania, Kochanie! Całuję Ciebie i dzieci, wiele, wiele razy. Twój Karol” (MED. 20, 628-632).

Wybór młodego Marksa

W 1835 roku Karol Marks wstąpił na uniwersytet w Bonn, aby studiować prawo. Poszedł więc w ślady ojca, który był zdolnym adwokatem i pracował w Wyższym Sądzie Apelacyjnym. Matka zaś była kobietą raczej prostą, gospodynią domową. Wychowywała dziewięć dzieci. Karol miał trzech braci i pięć siostr.

Po dwóch semestrach Karol Marks przeniósł się na lepszy uniwersytet w Berlinie. Przed wyjazdem zaręczył się z najpiękniejszą dziewczyną Trewiru, królową balów, 22-letnią Jenny von Westphalen. Pochodziła z rodziny arystokratycznej. Ojciec jej był tajnym radcą stanu, a brat został później ministrem pruskim.

Jednakże rodzina Jenny nie

chciała zgodzić się na meza-lans. Córka szlachecka miała przecież wyjść za syna przechrzty. Dlatego młodzi pobrali się dopiero siedem lat później. W momencie ślubu on miał 25 lat, a ona już 29. Małżeństwo to nie zawsze chyba było szczęśliwe, lecz na pewno zgodne i trwałe. Karol Marks był wzorowym mężem i ojcem. Jenny urodziła siedmioro dzieci, z których pozostali przy życiu tylko trzy córki: Jenny, Laura i Eleonora. Wielkim ciosem dla małżonków była śmierć 9-letniego syna Edgara.

Karol Marks był dumny i szczęśliwy, że poślubił piękną Jenny, którą znał od dzieciństwa i kochał od dawna. Kiedy dwadzieścia lat później (grudzień 1883 r.) odwiedził Trewir, pisał do żony w Londynie:

„Kochana Jenny, serce moje! (...) To żałobna rajda dla mężczyzny, kiedy jego żona żyje tak w wyobraźni całego miasta jako „zaklęta księżniczka”.

Stary dom rodziny Westphalenów przypominał 45-letniemu mężczyźnie najszybsze lata młodości. Ten dom — jak pisał w liście — ukrywał kiedyś jego „największy skarb”. W następnym roku jeden z listów do żony zakończył słowami: „Tysiąc całunów Tobie i dzieciom. Twój Karol”.

Najpiękniejszy chyba list miłosny do swej żony napisał Karol Marks 21 czerwca 1856 roku z Manchesteru do Trewiru. Było to w trzynastym roku ich małżeństwa. Oto wybrane fragmenty:

„Moje Ty Ukochanie! Znałem Cię pisząc, bo jestem sam, bo mam już dość tego ustawicznego prowadzenia z Tobą, dialogu w myślach, gdy Ty nie o tym nie wiesz, nie słyszysz mnie i odpowiedzieć nie możesz. Twój portret, mimo że marny, to jednak oddaje mi najlepsze usługi i teraz rozumiem, dlaczego nawet „czarne Madonny”, nawet najbardziej szpetne wizerunki Matki Boskiej mogą znaleźć nieomal wszystkich wielbicieli — i to liczniejszych niż wizerunki dobre. W każdym razie żaden z tych czarnych obrazów Madonny nie był tylekroć całownym, oglądany i adorowany jak Twoja fotografia, która nie jest co prawda czarna, ale za to zastępną i wcale nie odzwierciedla Twego miłego, czarującego, ujmującego, „dobre” (słotkiego — E.L.) oblicza. (...) Mam Cię oto przed sobą jak żywą, i noszę Cię na rękach, i całuję Cię od głowy do stóp, i padam przed Tobą na kolana, i wzdycham: „Madame, Kocham Cię”. I Kocham Cię naprawdę, bardziej niż kochał kiedykolwiek ów Murzyn wenecki (Otello — E.L.). (...) Chwilowa rozłąka jest dobra, gdyż przebywanie blisko siebie sprawia, że rzeczy wyglądają zbyt jednakowo, by je można było odróżnić. (...) Wielkie namiętności, które przez bliskość swego przedmiotu przybierają charakter drobnych przyzwyczajęń, urastają i wracają do swoich naturalnych rozmiarów pod czarodziejskim wpływem oddalenia. I tak jest z moją miłością. Wystarczy, że tylko we śnie znikniesz z moich oczu, a już od razu wiem, że czas był dla mojej miłości jedynie tym, czym słońce i deszcz są dla roślin — źródłem rozwoju. (...) Na świecie jest oczywiście wiele kobiet, a niektóre z nich są piękne. Ale gdzie znaleźć jeszcze, oblicze, którego każdy rys, nawet każda zmarszczka budziłaby znowu we mnie najsilniejsze i najmiłsze wspomnienia mojego życia? Nawet moje bezmierne cierpienia, niepowetowane moje straty (śmierć dzieci — E.L.) wyczułbym z Twojego miłego oblicza i scalony mógł być całując Twoją słodką twarz. (...) Do wczelania, Kochanie! Całuję Ciebie i dzieci, wiele, wiele razy. Twój Karol” (MED. 20, 628-632).

Tak pisał 38-letni mąż do 42-letniej żony. On przebywał wówczas w Fryderyka Engelsa w Manchesterze. Ona zaś wyjechała z trzema córkami do Trewiru, aby odwiedzić swoją chorą matkę, która miesiąc później zmarła.

Jakim był człowiekiem?

W latach sześćdziesiątych XIX wieku ulubioną zabawą towarzyską w Anglii były „Confessions” czyli Wyznania. Powszechnie znaną była Marksa, Laura i Jenny, przedstawiły ojców kwestionariusz i zanotowały odpowiedzi w swoich albumach. Okazało się, że z cnot najbardziej cenił prostotę, u mężczyzny — siłę, u kobiety — słabość. Za główną cechę swego charakteru uznał konserwatywne dążenie do celu, za wadę, która usprawiedliwiała — łatwowierność, wadę, którą się brzydził — luzusstwo.

Ulubionym zajęciem Marksa było szperanie w książkach; ulubionymi poetami byli Dante, Ajschylos, Szekspir, Goethe, ulubionymi pisarzami — Diderot, Lessing, Hegel, Balzac, W rodzinie Marksów prawdziwą biblią był Szekspir. Jego utwory wszystkie trzy córki znały na pamięć.

Jako swą ulubioną mąksym podał Marks słowo Terencjusza: „Nihil humani a me alienum puto” (Nic, co ludzkie, nie jest mi obce). Natomiast ulubione jego motto stanowiła kartezjańska zasada: „De omnibus dubitandum” (O wszystkim wątpię).

Ze wspomnień o Marksie wiemy, że chętnie czytał opowiadania awanturnicze i humorystyczne. Siegał po książki Cervantesa, Balzaca, Henry Fieldinga, Paula de Kocka, Aleksandra Dumasa (ojca). Miał dużą wyobraźnię. W dzieciństwie swoim siostrą, a potem własnym dzieckiem lubił opowiadać różne historie. Córkom czytał na głos całego Homera, „Księgę tysiąca i jednej nocy”, „Pieśń o Nibelungach”, przegady Gundera oraz Don Kichota. Może dlatego nazywano go „rycerzem walki klasowej”?

Czy jednak dojrzały Karol Marks miał coś z błędnego rycerza? Czy jak Don Kichot nabił sobie wyobraźnię tym wszystkim, co wyczytał w książkach? Czy tak samo, jak bohater Cervantesa, pragnął włączyć na swe barki „obrócone królestwo, ochronę dzievic i nagradzanie pokornych”? Cytowany już wyżej dwukrotnie Stanisław Vincenz pisze:

„Marksistowski punkt widzenia twierdzi, że zerwał na zawsze z tym samym wyobrażeniem o piekle, raju i życiu pogrzebowym. Lecz marksizm wielce jest dostępną kategorią nadziei, o ile są one możliwosciami realizowanymi w historii. Tak więc historia stała się misją dla turniejów nowych rycerzy i może będziemy mieli szczęście, że jakiś drugi Cervantes uwarzy nas opisem nowych wojów błędnych rycerzy i społeczeństwa nowych Sancho Pansów”.

Stanisław Vincenz przypomina słowa Marksa, że człowiek jest wiecznym Don Kichotem, ponieważ ma skłonność do czuowania samego siebie. Ale zarzut donkichotyzmu kieruje nie tyle, pod adresem Marksa, co jego uczniów. Warto wobec tego podkreślić, że sam Marks dystansował się od tzw. marksizmu. Już wtedy powoływali się na niego ludzie, którzy nie rozumieli jego nauki.

Nie ulega jednak wątpliwości, że Karol Marks wierzył w postęp. Był przekonany, że zmiana bytu społecznego, zniesienie ustroju kapitalistycznego i klas społecznych, uczyni ludzi lepszymi i szczęśliwymi. Niektórzy widzą w tym naiwność i łatwowierność Don Kichota.

Twórca nowoczesnej etologii Konrad Lorenz powiada: „Marks wierzył, że wystarczy człowiekowi dobrze traktować, nie wysyskując go, a zmieni się automatycznie w anioła”. Zapytany następnie — dlaczego nie miało się to udać? — uczony wyjaśnia: „Bo ludzie to dranie. Człowiek nie jest zły. W sam raz nadaje się do grzecznych polowań, w których sprawdzał się tysiące lat, od wczesnej epoki kamiennej. Im większa stawiała się ta gromada, tym bardziej zatwardziały ludzka przywrotność”.

Marksowska wiara w postęp jest niewątpliwa, ale mamy przecież do czynienia z materialistą historycznym i dialektykiem. Prawdziwy materialista nie może być idealistą i błędnym rycerzem. Karol Marks nie zatrzymał się przecież na etapie marzeń maturalnych. Już w listopadzie 1837 roku pisał do ojca, że przeszedł od idealizmu Kanta i Fichtego do „szukania idei w samej rzeczywistości”.

Po śmierci ojca (maj 1836 r.) Marks definitywnie porzucił studia prawnicze na rzecz filozofii. Bardzo duży wpływ na jego poglądy miała odtąd koncepcja Hegla. Rewolucyjny charakter tej myśli polegał na tym, że „rozprawiła się raz na zawsze z przeświadczeniem o ostatecznym charakterze jakiegokolwiek wyników myślenia i działania ludzkiego” (MED 21.299). Hegel uczył filozofów przede wszystkim pokory wobec rzeczywistości historycznej. I w tym sensie uczył realizmu.

Ulubionym zajęciem Marksa było szperanie w książkach; ulubionymi poetami byli Dante, Ajschylos, Szekspir, Goethe, ulubionymi pisarzami — Diderot, Lessing, Hegel, Balzac, W rodzinie Marksów prawdziwą biblią był Szekspir. Jego utwory wszystkie trzy córki znały na pamięć.

Jako swą ulubioną mąksym podał Marks słowo Terencjusza: „Nihil humani a me alienum puto” (Nic, co ludzkie, nie jest mi obce). Natomiast ulubione jego motto stanowiła kartezjańska zasada: „De omnibus dubitandum” (O wszystkim wątpię).

Ze wspomnień o Marksie wiemy, że chętnie czytał opowiadania awanturnicze i humorystyczne. Siegał po książki Cervantesa, Balzaca, Henry Fieldinga, Paula de Kocka, Aleksandra Dumasa (ojca). Miał dużą wyobraźnię. W dzieciństwie swoim siostrą, a potem własnym dzieckiem lubił opowiadać różne historie. Córkom czytał na głos całego Homera, „Księgę tysiąca i jednej nocy”, „Pieśń o Nibelungach”, przegady Gundera oraz Don Kichota. Może dlatego nazywano go „rycerzem walki klasowej”?

Czy jednak dojrzały Karol Marks miał coś z błędnego rycerza? Czy jak Don Kichot nabił sobie wyobraźnię tym wszystkim, co wyczytał w książkach? Czy tak samo, jak bohater Cervantesa, pragnął włączyć na swe barki „obrócone królestwo, ochronę dzievic i nagradzanie pokornych”? Cytowany już wyżej dwukrotnie Stanisław Vincenz pisze:

„Marksistowski punkt widzenia twierdzi, że zerwał na zawsze z tym samym wyobrażeniem o piekle, raju i życiu pogrzebowym. Lecz marksizm wielce jest dostępną kategorią nadziei, o ile są one możliwosciami realizowanymi w historii. Tak więc historia stała się misją dla turniejów nowych rycerzy i może będziemy mieli szczęście, że jakiś drugi Cervantes uwarzy nas opisem nowych wojów błędnych rycerzy i społeczeństwa nowych Sancho Pansów”.

Stanisław Vincenz przypomina słowa Marksa, że człowiek jest wiecznym Don Kichotem, ponieważ ma skłonność do czuowania samego siebie. Ale zarzut donkichotyzmu kieruje nie tyle, pod adresem Marksa, co jego uczniów. Warto wobec tego podkreślić, że sam Marks dystansował się od tzw. marksizmu. Już wtedy powoływali się na niego ludzie, którzy nie rozumieli jego nauki.

Nie ulega jednak wątpliwości, że Karol Marks wierzył w postęp. Był przekonany, że zmiana bytu społecznego, zniesienie ustroju kapitalistycznego i klas społecznych, uczyni ludzi lepszymi i szczęśliwymi. Niektórzy widzą w tym naiwność i łatwowierność Don Kichota.

Twórca nowoczesnej etologii Konrad Lorenz powiada: „Marks wierzył, że wystarczy człowiekowi dobrze traktować, nie wysyskując go, a zmieni się automatycznie w anioła”. Zapytany następnie — dlaczego nie miało się to udać? — uczony wyjaśnia: „Bo ludzie to dranie. Człowiek nie jest zły. W sam raz nadaje się do grzecznych polowań, w których sprawdzał się tysiące lat, od wczesnej epoki kamiennej. Im większa stawiała się ta gromada, tym bardziej zatwardziały ludzka przywrotność”.

Marksowska wiara w postęp jest niewątpliwa, ale mamy przecież do czynienia z materialistą historycznym i dialektykiem. Prawdziwy materialista nie może być idealistą i błędnym rycerzem. Karol Marks nie zatrzymał się przecież na etapie marzeń maturalnych. Już w listopadzie 1837 roku pisał do ojca, że przeszedł od idealizmu Kanta i Fichtego do „szukania idei w samej rzeczywistości”.

Po śmierci ojca (maj 1836 r.) Marks definitywnie porzucił studia prawnicze na rzecz filozofii. Bardzo duży wpływ na jego poglądy miała odtąd koncepcja Hegla. Rewolucyjny charakter tej myśli polegał na tym, że „rozprawiła się raz na zawsze z przeświadczeniem o ostatecznym charakterze jakiegokolwiek wyników myślenia i działania ludzkiego” (MED 21.299). Hegel uczył filozofów przede wszystkim pokory wobec rzeczywistości historycznej. I w tym sensie uczył realizmu.

Ulubionym zajęciem Marksa było szperanie w książkach; ulubionymi poetami byli Dante, Ajschylos, Szekspir, Goethe, ulubionymi pisarzami — Diderot, Lessing, Hegel, Balzac, W rodzinie Marksów prawdziwą biblią był Szekspir. Jego utwory wszystkie trzy córki znały na pamięć.

Jako swą ulubioną mąksym podał Marks słowo Terencjusza: „Nihil humani a me alienum puto” (Nic, co ludzkie, nie jest mi obce). Natomiast ulubione jego motto stanowiła kartezjańska zasada: „De omnibus dubitandum” (O wszystkim wątpię).

Ze wspomnień o Marksie wiemy, że chętnie czytał opowiadania awanturnicze i humorystyczne. Siegał po książki Cervantesa, Balzaca, Henry Fieldinga, Paula de Kocka, Aleksandra Dumasa (ojca). Miał dużą wyobraźnię. W dzieciństwie swoim siostrą, a potem własnym dzieckiem lubił opowiadać różne historie. Córkom czytał na głos całego Homera, „Księgę tysiąca i jednej nocy”, „Pieśń o Nibelungach”, przegady Gundera oraz Don Kichota. Może dlatego nazywano go „rycerzem walki klasowej”?

Czy jednak dojrzały Karol Marks miał coś z błędnego rycerza? Czy jak Don Kichot nabił sobie wyobraźnię tym wszystkim, co wyczytał w książkach? Czy tak samo, jak bohater Cervantesa, pragnął włączyć na swe barki „obrócone królestwo, ochronę dzievic i nagradzanie pokornych”? Cytowany już wyżej dwukrotnie Stanisław Vincenz pisze:

„Marksistowski punkt widzenia twierdzi, że zerwał na zawsze z tym samym wyobrażeniem o piekle, raju i życiu pogrzebowym. Lecz marksizm wielce jest dostępną kategorią nadziei, o ile są one możliwosciami realizowanymi w historii. Tak więc historia stała się misją dla turniejów nowych rycerzy i może będziemy mieli szczęście, że jakiś drugi Cervantes uwarzy nas opisem nowych wojów błędnych rycerzy i społeczeństwa nowych Sancho Pansów”.

Księga Rucienia

JACEK MACIASZEK

I.

1. Kiedy pierwszy raz pojechał na wieś, do rodziców żony (do teściów), gdy wszyscy skoro świt poszli w pole Krzysztof Rucień wziął gitarę i udał się do obory. Grał na gitarze i śpiewał. Potem opowiadał wszystkim śmieszności — te boże zwierzątka (dwie krowy i jeden koń) rozumiały jego muzykę.

Czy grał im wtedy pieśń Cohena? Dokładnie nie wiadomo.

2. Dawno, dawno temu w niezbyt dużym mieście przyszedł na świat chłopiec i przysadą byłoby twierdzić, że był malutki i słizniutki. Był raczej o urodzie dość przeciętnej, ale wazyl sporo. A na imię dano mu Krzys. A imię to wybrało z kalendarza spośród innych Maczków, Henków i Michałów.

Nie był pierwszym dzieckiem w tej rodzinie, miał aż trzech braci. Rozpieszczano go, gdyż był najmłodszy z rodzeństwa (może dlatego że przed chwilą się urodził?), do przedszkola nie chodząc, więc nie chodził. Rozpieszczali go. Rozpieszczala go matka, ojciec nie ustępował jej na tym polu. Rozpieszczali go dziadek i babcia. I dorastał w tym cieple, psocząc i bawiąc się od rana do wieczora.

3. Potem, ale nie wiadomo dokładnie kiedy, zakochał się w muzyce kanadyjskiego Żyda, niejakiego Cohena i to zmieniło jego życie.

Mówiono, że przestało mu wystarczać chwytów.

Potem zaś został listonoszem. Ożenił się, i jak każdy listonosz, miał dzieci.

4. I wstał Krzysztof Rucień i rozdarł swój płaszcz i ostrzył głowę i padł na ziemię i złożył pokłon. I rzekł:

— Nagi wyszedłem z łona matki i nagi uroczę, Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione.

II.

5. I zamknęła się za nim brama więzienna, a on nawet wtedy nie mówił niedorzecznie przeciw Bogu. Ale co sobie pomyślał, to pomyślał...

6. „Posłuchaj — to jest prawda o tym wszystkim. Cała prawda. Wy mówicie wiece. Ci ludzie, którzy wzbudzają strach w tobie to baranki łagodne. Szczególnie nocą. Ciasto drożdżowe, które urobione w dzień rośnie w noc”.

W dzień obowiązki i przyjemności regulują rytm więziennego życia. Wypalenie papierosa, wypicie kubka czaju. „Bajera z waflem”. W dzień manufaktura. Każdy chce wyrzesać z siebie jak największą, zatrącić się w pracy, zapomnieć... A potem cudenka z chleba — jakieś gadzety, pantofelki, okładki do zeszytów od religii — na okładce collage z Jezuskiem w roli głównej. Cała ta pokatna produkcja wymieniają z klawiszami na dobrą, chyba tutaj najbardziej upragnione — herbatę i papierosa.

7. Kiedy przychodzi noc, strach łapie za garło jednakoż wszystkich. Strach, a może żal, może jakaś. I tych grypsujących i nie grypsujących. I amatorów przestępstwa, i recydywistów. Długoterminowych i krótkoterminowych. Szukają odpowiedzi — czym jest życie, zagłębiają się w zagadki trójkąta bermudzkiego i liczb tajemnych. Bo oni, ci więźniowie też wiedzą, że jest wiele rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom. Jedną z tych rzeczy w tym świecie są oni sami — wielka zagadka, tajemnica niezgłębiona.

Wtedy taki ktoś jak ja zdobywa autorytet. Bo zna słowa, bo potrafi robić z nich użytek i przy pomocy słów zbliżyć się choć częściowo do PRAWDY. A potęga słowa nocą jest wielka. To potęga ducha, a nie materii i ciała, które w nocy leży bezbronne na przykazach zakładu karnego.

8. Tylko w dzień dzielmy się na grypsujących i nie grypsujących. Grypsujący mają swoje zwyczaje, swoje rytuały. Przestrzeganie ich to rzecz święta. I ty możesz zostać grypsującym. Wystarczy żebyś odpowiednim osobom zgłosił swój akces. Jeśli wytrzymasz okres próbny, stajesz się członkiem jednej wielkiej rodziny i możesz liczyć na swych nowych braci. Korzystasz z nowych przywilejów, lecz zaczynają się twoje nowe obowiązki. Obowiązki wynikające z nowego statusu.

Jakie? A więc odpowiednia postawa. Przede wszystkim grypsujący nie zadają się z frajerami. Mało tego, nie mogą jadać przy wspólnym stole. Kult czystych rąk, higiena leżą u podstaw tej etyki. Ponoć cała filozofia wywodzi się z polskich obozów jenieckich np. z Katynia, gdzie oficerowie polscy w ten sposób manifestowali swoją odrębność i niezależność, ale kto to może wiedzieć... Jeśli to prawda, dzisiejsza grypserska niewiele ma wspólnego z tamtą. Stały tylko pewne gesty, mające tylko pozór rytuału.

9. Po wyjściu z ubikacji należy myć (koniecznie) ręce. Etykieta przy więziennym stole. Kiedy chcesz „puścić bakę” koniecznie musisz uprzedzić współtowarzyszy: — Uwaga! Puła!

— Ale po co właściwie ja ci to powiadam?

— Mów dalej.

Ten więzienny wersal trwa do 22 godziny.

Potem ktoś daje sygnał — policzyna! Można wtedy robić wszystko. Tutaj używamy często gumowych rękawiczek, nazywają się one „kiciory”. „Plaża” zaś została ochrzczone podłoga w celi. Czy to nie absurd?... Wyobraź sobie taką scenę, taką grypsującą sytuację. Ktoś krzyczy: — chuj w tą plażę!

A grypsujący poukładani na swoich przykazach już są udupieni, już nie mogą się ruszyć, przemieszczać... To coś w ro-

dzu dziecięcej zamawianki. Ale tutaj z dziećmi nie masz do czynienia. Więc długo ci nie można przetrzymać w tej upokarzającej sytuacji (zresztą jest to ryzykowne) — więc koniecznie trzeba dodać do poprzedniego hasła — ale z „kiciorem”.

10. Grypsujący są bezwzględni. Siła wymaga posłuszeństwa. Często są nimi homoseksualiści — „cwele”. Największą karą dla grypsującego „cwele” jest gwałt. Albo powieszenie „cwele” na nitce za członka. Jest jeden sposób obrony swojej suwerenności — to „berło”. Gumowy przepychacz do zlewu. Takim „berłem” w sytuacjach zagrożenia możesz zasłonić się. Jesteś wtedy niepokonany. Czasem musisz z nim spać. Noc jest najlepszą porą na załatwienie osobistych porachunków...

Grypsujący w metodach działania bliscy są „git” ludziom.

Grypsowanie jest słabością więzienną. Ale nie są oni aż tak niebezpieczni jakby się wydawało. Twoim atutem jest inteligencja, czytanie — oni tak bardzo lękają tego. Mają oni bowiem wielki kompleks intelektualny. Wychowani w środowisku, gdzie słowo ma największą funkcję ekspresyjną nie przyswajają do normalnego świata. Ci zdegenerowani samurajowie.

11. „I zamknęła się za nim brama więzienna, a on nawet wtedy nie wątpił, to znaczy nie do końca.” Trafiasz tutaj i jeśli masz poczucie własnej wartości nie odebrane ci przez sąd, przez kławy razem ze sznurowadłem możesz ocaleć. W sensie nie tylko materialnym, ale co jest najważniejsze — duchowym. Więc sadowując się na przykaz, patrz na te (z pozoru, jak się potem przekonasz nieprzyjacie) twarze i musisz się określić do nowej rzeczywistości. Nie powinienes poddać się im, a jednocześnie intelektualnie dać z siebie wszystko. Bo chcesz, bo musisz nawet. W tym jest twoja szansa przetrwania. A tutaj nikt tak łatwo nie odbiera sobie życia. Życie tu jest wielką wartością a życie tam, na wolności to już... szkoda mówić...

Więc robisz za psychologa — powiernika spraw najprostszych, a zarazem musisz rozwiązywać wielkie metafizyczne problemy. Najpierw robisz to za Bóg zapłać, potem przynoszą ci jak czarownikowi plemienia skromne datki — czaj, szlugi, amulety własnoręcznie wykonane...

12. — Pamiętam — mówi Krzysztof Rucień — chłopaka, który dostał się do więzienia z trybu przyspieszonego. Był pijany i poturbał żonę. Pomimo tego chłopak należał do tych „porządných”, jeśli mogę użyć tego słowa i nie miał wspólnoty z tzw. marginesem. Nie mógł spać po nocach. Plakat, cały czas miał wątpliwości, czy dziecko które użal za swoje on spłodził. Podejrzewał, że żona go zdradza. Moja terapia

wyglądała mniej więcej tak: — zastanów się, co jej dałeś przez te wszystkie lata? Co byś powiedział, gdyby ona wracała podpiła z pracy i chciała z tobą współżyć? Czy wiesz, co to jest miłość? Tak mu mniej więcej mówiłem. A wiesz, co na jego wątpliwości odpowiadała pani psycholog z przychodni przy więzieniu? Odpowiedziała mu tak: — a co pan sobie myśli. Trzeba było nie być złodziejem. Żona to nie mydło, na pewno się nie wymyśli. Po tej rozmowie mój współtowarzysz próbował się powiesić.

13. Jeśli kochasz musisz ufać. Ona teraz śpi z dzieckiem. Z twoim dzieckiem. Pomny, że techniem jest życie moje. Nie wróci oko moje, żeby widzieć szczęście. — I zamyślił się, po czym mówił dalej.

14. Praca jest wybawieniem. Moja praca w radiowęzie, to najlepsza rzecz jakiej mogłem tam oczekiwać. 3 magnetofony marki Aria, Radmor, mikrofony. I w środku tego wszystkiego ja.

— Dzień dobry państwu. Tu radiowęzeł zakładu karnego...

2 godziny własnego lokalnego programu. Najnowsze rozporządzenia i jak zwykle audycja antynukleonowa lub antyalkoholowa. Tutaj niejako, po godzinach nagrałem taśmę z moimi piosenkami.

Widzisz bracie jak to jest obok ciebie ludzka rzecz trochę dalej horyzonty a w dodatku jeszcze mam nadzieję widzieć tamten pijak szczy obok dzieci grają w berka w górę patrzy wielki tłum kto tu stochrzał? szysze pędzi erka...

15. W/w uduje się na wolność. W/w obowiązany jest zameldować się w Komisariacie MO w miejscu zamieszkania lub czasowego pobytu, nie później jak... udzielamy pomocy finansowej z funduszu penitencjarnego w wysokości — 560 zł.

16. Więc po roku uduje się Krzysztof Rucień na wolność. Wolność jaka jest, każdy widzi. Warunkowa. Z obowiązkiem podjęcia pracy w zakładzie uspołecznionym. Więc wychodzi się w pustkę. I się ma do spłacenia 190 tysięcy grzywny. I podzielone jest to na 11 rat po 16 tysięcy. I się ma trochę dzieci i tylko dwie ręce. Już teraz niebył czyste, jak sądzą wszyscy.

17. I usłyszeli trzej przyjaciele Rucienia o całym nieszczęściu, jakie na niego spadło i przybyli każdy z miejsca swego. Bo umówili się, aby pojeść razem i pożałować go i pocieszyć.

Nie, wcale nie przybyli. Wszyscy byli odwrócen.

Odwrócony był artysta malarz. I odwrócony był były gliniarz, i odwrócił się młody satyryk — najbliższy przyjaciel.

Ten zjawiał się po jakimś czasie, ale jak podejrzewałem po zaległą pożyczkę. Oczywiście zaprzeczył. Dalszą część rozmowy dotyczyła pogody... A dwaj bracia, pomoc zamożni, w Australii też milczeli. A matka, jak zwykle płakała. Próbowaliśmy Rucieniowi załatwić jakąś pracę. I pracowali na kolejno w „termometrach”, potem w „waniliach” i jeszcze gdzieś. Po południu dorabiał w kamieniarza. I z tego kucia w marmurze i od tej waniliny palce już nie chciały łapać właściwych chwytów na gitarze.

18. I powiedział sobie: — Już dalej nie mogę. Przestał

spłacać raty. Bo jest to nie-możliwością.

— Czekam. Ale wiem, że tam nie wrócę. Bo nie znacie dnia ani godziny... Ja znam. Już wiem kiedy. I jestem przygotowany. Najpierw przyjdzie kornik. Niewiele tego, ot te meble, ten zawsze wyłączony telewizor... Łóżko chyba mi zostawia. To przecież podstawowy sprzęt.

I gitary nie oddam... a poza tym trzymam się dzielnie nawet czasem miewam sny nie dokucza mi żadne z marzeń żaden ból żaden krzyk już mówiłem mam rodzinę przecież z czegoś muszę żyć nie potrzeba mi żadnych złudzeń

19. Potem zajmą mi pobory. A potem już będę musiał tam wrócić. I wtedy spojrzę w twarz swemu Bogu i być może spłunę.

A jeśli nie spłunę, to powiem spadaj, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

20. Robiło się późno. Dzieci Rucienia przewracają się we śnie. Zapalają się światła w pobliskiej plebanii. Przez okna tej wynajmowanej przez Rucienia oficyny widzę jak palmy na tarasie tej wspaniałej budowli zaczynają kwitnąć...

21. — Ostatnio zauważyłem że przedmioty żyją. O, na przykład ta zapalniczka żyje.

Zapalił ją, błady płomień oświetlił jego twarz.

— Ta zapalniczka żyje poprzez swoją funkcjonalność.

— A my ludzie, czyż nie istniejemy poprzez swoją funkcjonalność?

— No tak, ale istnieją jeszcze inne wyznaczniki naszego życia. Ta zapalniczka żyje. Żyje ten magnetofon.

— On nie ma baterii. One się wyczerpały.

— Nawet bez baterii on żyje. On mówi swoim językiem. Myśl sobie, co ci ludzie ode mnie chcą, co o mnie wiedzą, o relacjach między innymi magnetofonami. I zapalniczkami. Zapalniczkami, szafami, tyłkami, pudełkami zapalek, kluczami...

22. Czasem myślę, że chyba od tych myśli zwariuję, że jestem u progu szalenstwa. Chciałbym, żeby kiedyś po mnie ślad, zapakowali w kaftan, przykuli do łóżka na 3 miesiące. Powiedziałby:

— Pan potrzebuje pomocy i opieki. Taką pomoc tylko my możemy panu dać.

Więc czekam. Wtedy też czekałem, może jeszcze bardziej szponatycznie, bo ten strach przed nieznanym.

Wiedziałem, że są na moim tropie. Syndrom Raskolnikowa. Już nie mogłem tego znieść. Kiedy przed plebanią zatrzymał się jakiś samochód, kładłem się na podłodze pod oknem i udawałem, że mnie nie ma. Balem się. Nie wytrzymałem, sam poszedłem na milicję i przyznałem się. Pomyślałem, że będę odpowiadał z artykułu 48, o złagodzonej wymiarze kary... Ale oni zastosowali od razu areszt tymczasowy. A potem to już tylko kraty. Jeszcze w areszcie 28 tabletek oxazepanu, żeby już...

23. Dlaczego zdefraudowałem te pieniądze? Sprzeniewierzy-

łem je... To długa historia, doręczycielem pocztowym zdarza się to często. Gdybym ci opowiedział tę historię — o tym jak potrzebowałem pieniędzy, miałbyś wspaniały temat na reportaż.

Ale chyba byś nie uwierzył w to wszystko. To było takie nieprawdopodobne, że mi aż czasem trudno w to uwierzyć. To jakby żywcem wzięte z filmu kryminalnego. Mafia, honorowy dług, strach o żonę i dzieci... Nie chcę o tym mówić.

24. I zamyślił się Krzysztof Rucień nad losem ludzkim, który jak kij ma dwa końce i bije... Złoczył ręką dookoła, nazywając świat, który był za oknem.

Tu obok to prawie ziemia święta. Kosciół na koszarach. Plebanie. Zakony rożne. I ciągle coś nowego się buduje. Tylko ta nora taki tutaj nuczym łopoczą antynerysta, i w tym jednym pokoju ja, żona — świadek jenowy, trojka dzieci. Już bym chciał, żeby On się zjawił. Powiedziałbym mu — co to za twórca, który wystydził się swojego dzieła. Opuszcza je, ponża i krzywdzi. Jeśli ja siedzę nad kartką papieru przez noc, albo z gitarą mam prawo do wysypu, do pokory, do wątpliwości. Ale on nie powinien. Bo on jest najwyższym stwórcą. Przynajmniej za takiego go mają.

25. „Tak oto tworzą się na naszych oczach rożne idee, zwąski ideologiczne, sekty religijne oraz szkoły filozoficzne i gdybyśmy pytali — kto ma rację? Usłyszeliśmyby potworne kakafonie chorujących tonacji, czyli wtórny chaos.”

Chaos był początkiem. Chaos był środkiem. Chaos będzie końcem. Jeżeli przyjmujemy, że prawda leży pośrodku, to prawda jest chaosem. Więc pytamy — po co jej szukać?

26. — Uzasadnienie — skazany nabył uprawnień do warunkowego przedterminowego zwolnienia po odbyciu 2/3 kary. Zachowanie skazanego nie budzi żadnych zastrzeżeń, był wielokrotnie nagradzany, wyróżniał się w pracy. Cele resocjalizujące zostały spełnione, dlatego orzeczono jak w postanowieniu...

27. Cud resocjalizacji wypełnił się. Więc wychodził Krzysztof Rucień przez bramę, którą rok temu przekraczał, lecz słowca nie było tego dnia, tylko deszcz zaczął. Nie miał parasola.

28. — Czy pracujesz jeszcze u kamieniarza?

— Nie. Już nie. Doszedłem do wniosku, że skoro wyparłem się Boga (albo to on mnie opuścił) nie mogę robić krzyzy. To nieuczciwe.

III.

Epilog, jak to zwykle bywa napisało życie. Kilka dni temu bohater tej opowieści dostał wezwanie z zakładu karnego, by się stawił w celu odbycia pozostałej części kary. Szkoła go — powiedzieli wszyscy.



Rys. Rafal Ciesielski

Który rok mamy według kalendarza żydowskiego?

— Mamy 5748 rok.

— Którego dnia i miesiąca według kalendarza gregoriańskiego przypada żydowski Nowy Rok?

— U Żydów Nowy Rok przypada co roku w innym dniu. Rok 5748 zaczął się 24 września 1987 r. Natomiast Nowy Rok 5749 rozpocznie się 12 września 1988 r.

— Zamiarem redakcji „Odgłosów” było odbycie rozmowy z najwyższym dostojnikiem wyznawców religii mojżeszowej w Polsce. Okazało się, że takowego nie ma. Proszę zatem powiedzieć, kto kieruje życiem religijnym Żydów w naszym kraju?

— W zasadzie powinien tym życiem kierować rabin, ale rabina nie ma. Zresztą u nas nie ma takiej hierarchii jak w innych religiach. U nas nikt sprawami życia religijnego nie musi „dyrygować”. Jeśli jest rabin, to bardzo dobrze, ale jeśli go nie ma, to nie znaczy, że zamiera nasze życie religijne. Przecież my wiemy, kiedy są święta i czymy je tak samo, jakby był z nami rabin. Tak więc u Żydów nie musi być ktoś specjalnie powołany do odprawiania nabożeństw. Owszem, w niektóre święta, jak na przykład w Rosz Haszana (Nowy Rok) czy Jom Kippur (Dzień Pojednania), dobrze jest jeśli jest kantor — chazan, który odprawia modlitwy. Wszystkie modlitwy u nas może odprawiać każdy, kto potrafi modlić się przy pulpicie. Ma przed sobą modlitewnik, gdzie są zaznaczone poszczególne wersety, czyta je, a zebrani powtarzają za nim.

— Ale jest jedno święto szczególne, święto Pesach, przypadające w dniach 15—22 miesiąca nisan. W roku 1988 przypada ono w okresie 2—9 kwietnia. Obchodzi się je na pamiątkę wyzwolenia Żydów z niewoli egipskiej. Szykując się w pośpiechu do opuszczenia Egiptu, przodkowie nasi musieli upiec chleb bez zaczynu, bo przecież ciasto nie zdążyłoby i tak wyrosnąć. Dlatego też przez osiem dni Pesach nie wolno jeść żadnego chleba, a tylko kruche placki pieczone z maki zmieszanej z wodą, tak zwane mace.

W święto Pesach odprawia się dwa wieczory sederowe. W dniu wigilijnym jest pierwszy wieczór seder, a drugi w pierwszy dzień świąt. W owe wieczory sederowe także każdy może odprawiać mody. Ja także je odprawiam. We Wrocławiu przychodzi wówczas około 80 osób. Konkludując: rabin jest potrzebny, ale i bez niego można odprawiać nabożeństwa i one się liczą tak samo, jakby odprawiał je rabin.

Czytamy Torę (zwoj Pięcioksięgi) w każdą sobotę i święta, oraz w pierwszy dzień miesiąca, tj. w Rosz Chodesz i w poniedziałki i czwartki. W każdą sobotę czytamy fragment Tory, który przypada akurat na ten tydzień. I w ostatnią sobotę roku cała Tora jest przeczytana.

Dziś, kiedy rozmawiamy, jest akurat Chanuka przypadająca od 25 kislew do 2 tetwet czyli w 1987 roku od 16 do 23 grudnia. Trwa ona osiem dni. W każdy z tych dni czyta się odpowiedni ustęp Tory. Natomiast w sobotę wyjmujemy się dwa zwoje Tory i z tego drugiego zwoju czyta się dodatkowy fragment. Jest to radosne święto przypominające oczyszczenie Świątyni przez Judę Machabeusza w 164 r.p.n.e.

— Gdzie Żydzi w Polsce mogą odbywać swoje praktyki religijne, skoro w czasie ostatniej wojny uległy bezpowrotnie zniszczeniu miejsca kultu religijnego? Czy istnieje zatem budownictwo sakralne?

— Żydzi mogą modlić się wszędzie, byleby była Tora i co najmniej 10 osób dorosłych (za dorosłego uważa się Żyda, który ukończył 13 rok życia). Jeśli zbierze się tylko 9 osób, nabożeństwa nie można odprawiać.

— Pytałem o budownictwo sakralne...

— Nie, nie budujemy. Mamy w Polsce 7 synagog i kilka Domów Modlitwy i jak dotąd jest to ilość wystarczająca.

— A żydowskie cmentarze, których jest w Polsce ponad 600? Przecież wiele z nich to zabytki kultury żydowskiej, a w szerszym znaczeniu kultury narodowej Polski. Co czyni Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego, aby te zabytki ocalić? Pamiętam z mojego pobytu w latach pięćdziesiątych we Wrocławiu, że cała ulica Stawowa była wybrukowana macewami z kirkutu.

W czasie ostatniej wojny Niemcy bezczeszili nasze cmentarze. Bo jak mogli mieć szacunek dla zmarłych, skoro nie mieli go dla żywych? Po wojnie wszystkie te płyty się wyciągało i przenosiło na cmentarze żydowskie. Wie pan, sprawa naszych cmentarzy ciągle nie jest jeszcze całkowicie rozwiązana. Jest ich wiele, sporo z tego to kirkuty dziś nieczynne, tj. zamknięte, o wielkiej wartości zabytkowej. Niektóre z nich zostały otoczone troskliwą opieką (wymienię choćby stare cmentarze żydowskie w Lublinie, Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Krakowie, Legnicy, Katowicach, Szczecinie itd.), inne czekają na swoją kolej. Niektóre nasze kirkuty pozostają pod troskliwą opieką Państwowego Konserwatora Zabytków. Wojewódzkie Wydziały do Spraw Wyznań oraz Towarzystwa Opieki nad Cmentarzami i Zabytkami Kultury Żydowskiej. Państwo przeznaczyło na ich ochronę i konserwację wiele milionów złotych. Posłużyć się tu przykładem wrocławskim: obecnie doprowadza się do porządku cmentarz na ulicy Lotniczej, który jest cmentarzem grzebalnym. Natomiast na ulicy Słężnej taki cmentarz już doprowadzono do należytego porządku, ale jest on zamknięty. Tak więc nasze cmentarze, jako zabytki, są pod ochroną państwa, natomiast my, jako Związek, sprawujemy nad nimi opiekę ogólną, zbieramy o nich informacje, opiniujemy projekty dotyczące porządkowania cmentarzy. Bez nas niczego się nie robi. Niestety nie możemy niczego narzucać, bowiem nie finansujemy tych przedsięwzięć.

— Proszę powiedzieć, jaki jest stosunek chrześcijan do wyznania mojżeszowego? Pytam dlatego, że społeczność naszego kraju właściwie wie bardzo mało zarówno o działalności Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego, jak i o obrzędach tej etnicznej grupy obywateli polskich pochodzenia żydowskiego.

— Jaki jest stosunek chrześcijan do nas? Powiedziałbym, że wzbudza ciekawość. Mamy w Warszawie synagogę mieszczącą się przy ulicy Twardej 6. Otóż w czasie wakacji przy-

Jeśli jest rabin, to bardzo dobrze, ale jeśli go nie ma, to nie znaczy, że zamiera życie religijne.

Kto jest Żydem?

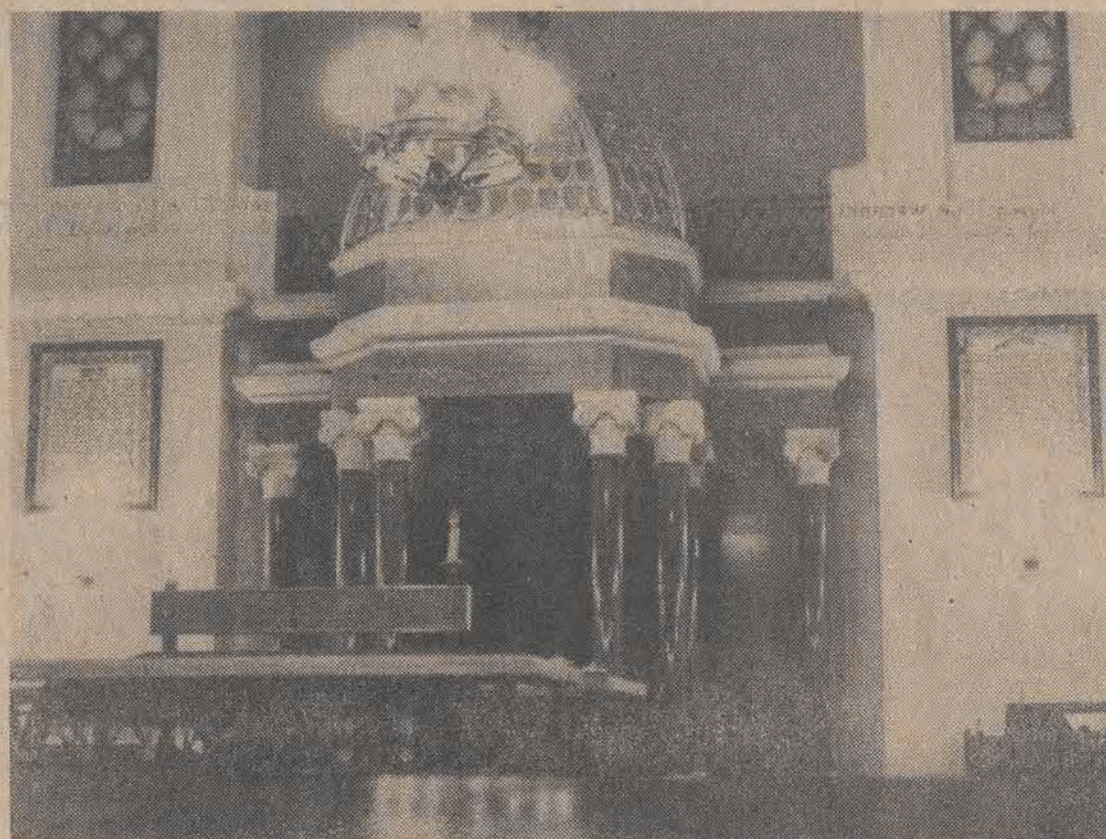


Foto: Grzegorz Galański

jeżdżają do niej wycieczki z całego kraju, nieraz z najodleglejszych zakątków. My nikomu nie bronimy odwiedzin, do naszej synagogi może wejść każdy. Odnotowujemy wszakże znamienity fakt: z roku na rok wzrasta ilość wycieczek i ich uczestników.

— Panie Prezesie, od paru lat dość dużo mówi się o żydowskich „stołówkach rytualnych”. Proszę powiedzieć, co to są za stołówki?

— W Polsce mamy osiem stołówek rytualnych: w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Szczecinie, Wrocławiu, Legnicy, Katowicach i Białymostku. Są to nasze kuchnie koszerne, w których każdy Żyd — szczególnie dotyczy to ludzi starszych, samotnych — ma prawo w godzinach 13—15 otrzymać dobry, świeży obiad za darmo! Są to potrawy koszerne. Owszem, może się zdarzyć, że ktoś nie chce w takiej stołówce jeść za darmo, bo go stać na zapłatę. W takiej sytuacji sam decyduje, ile ma zostawić pieniędzy, gdyż czegoś takiego jak cennik w tych stołówkach nie ma. Wszystkie stołówki w ciągu roku wydają ponad 70 tys. obiadów. Dużą pomocą w utrzymaniu tych stołówek służy nam „Joint Distribution Committee”. Nasze stołówki koszerne to działalność opiekuńcza i charytatywna Związku.

— Według „Kalendarza Żydowskiego” z 1987 r. w roku 1982 było w Polsce 6.000 Żydów, w tym w Warszawie 2.500. Jednocześnie pod tabelką podającą te liczby umieszczono słowa Saula Bellowa wzięte z jego książki „Korzy-

ścisłość z dnia” brzmiące następująco: „Obliczanie, rachowanie — to zawsze czynności sądystyczne. Tak jak strzelanie, Biblia mówi, że Żydzi nie pozwalali, aby ich liczono. Wiedzieli, że to sadyzm”. Otóż nie zgadzam się z twierdzeniem Saula Bellowa, gdyż nasz wiek nie może obejść się bez statystyki. Przeto chcę zapytać: ilu jest dziś Żydów w Polsce? I kogo uważa się za Żyda?

— Żydem jest ten, kto siebie uważa za Żyda. Na przykład ja uważam się za Żyda, bo miałem ojca Żyda i matkę Żydówkę. Kiedyś w dowodach osobistych była rubryka: narodowość polska, wyznania mojżeszowego. Dziś tego nie ma. Według dowodu nie można więc określić narodowości człowieka. Odpowiadając na pańskie pytanie dotyczące ilości Żydów w Polsce, muszę powiedzieć, że my nie prowadzimy specjalnej statystyki. Nasze wiadomości czerpiemy przede wszystkim z wykazu naszych członków, czyli ludzi wierzących. Natomiast pozostaje sprawa otwartą przynależność do narodowości żydowskiej tych, którzy zawarli związek małżeński z osobą innego, niż mojżeszowe, wyznania. Proszę zatem wziąć pod uwagę fakt, iż dla nas najważniejsza jest matka. Jeśli, dajmy na to, Żyd ożenił się z chrześcijanką, to my nie zaliczamy ani jego żony, ani jego dzieci do społeczności żydowskiej. Natomiast jeśli Żydówka wyszła za chrześcijanina i ma dzieci, to te dzieci według naszych praw są Żydami. To

jest pewna prawidłowość, bo proszę pomyśleć: matka jest zawsze jedna, choć mogła mieć dziesiątki mężów różnych narodowości i różnych wyznań. Jak w takim wypadku można byłoby określić narodowość dziecka? Który mężczyzna jest jego ojcem? Czasem jest to nie do ustalenia. Natomiast matka jest jedna i jeśli jest to Żydówka, to urodzone z niej dziecko jest Żydem. To chyba logiczne, prawda?

— A ten, kto nie chce być Żydem? Nie chce przynależać się do narodowości żydowskiej? Czy taki człowiek według waszych praw jest Żydem, czy nie?

— To jego sprawa. Proszę pana, u Żydów w ogóle nie liczy się ludność. Powtarzam: Żydów jest tyle, ilu się do żydostwa przyznaje.

— Panie Prezesie, pomówmy teraz o kulturze. Jest niezaprzeczalnym faktem, że wielu wybitnych obywateli polskich pochodzenia żydowskiego wniosło w naszą kulturę narodową znaczący i niezaprzeczalny wkład. Uziś o nienauca się w szkołach. Jednocześnie wiemy, że istniała bardzo oryginalna twórczość w języku jidysz. Wydarzeniem była wydana w 1983 roku „Antologia poezji żydowskiej” — przekłady z tegoż języka na język polski. Proszę powiedzieć, czy obecnie powstają dzieła w języku jidysz?

— To trudne pytanie, bo prowokuje ono do wypowiedzi dużo szerszej. Otóż podstawową sprawą jest fakt, iż nie ma w Polsce nauczycieli, którzy by nauczali w języku jidysz. Młodzi go nie znają. Owszem, jest parę starszych osób znających jidysz, którzy piszą w tym języku, ale na podstawie tego nie można twierdzić, iż istnieje literatura pisana w jidysz. Z drugiej strony, jeśli ktoś zna jidysz, a nie jest literatem, to on żadnego dzieła nie napisze. Nawet „Folks Sztyme”, gazeta żydowska wychodząca w Polsce, oprócz kilku stroniek za-drukowanych w języku jidysz, ma trzy strony pisane po polsku. Ja tę gazetę jeszcze przeczytałem, bo ja jestem człowiekiem starszego pokolenia, podobnie jak stędlący obok nas dyrektor Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego Michał Białkiewicz, ale już jego dzieci i wnuki nie potrafią. Oni urodzili się w Polsce, po wojnie, a szkoły żydowskie zostały zlikwidowane gdzieś w 1967 roku. Więc kiedy i gdzie mieli się uczyć? A nasi wnukowie nie bardzo nawet wiedzą, co to jest Żyd!

Na Zachodzie, w Ameryce są szkoły żydowskie, nie mówiąc już o Izraelu. Ale w Izraelu nauczają się dziś nie w języku jidysz, a po hebrajsku. Czy może pan sobie wyobrazić, że tam, w Izraelu, starsze pokolenie Żydów, które przybyło, powiedzmy z Polski, nie potrafiło porozumieć się z mieszkańcami — autochtonami, bo nie znali ani słowa po hebrajsku? Jakże jest to tragiczne, że jeden Żyd nie rozumiał drugiego! Różnica między tymi dwoma językami jest ogromna, jak na przykład między niemieckim a rosyjskim. Owszem, podobne słowa są czasem te same, ale na tym kończy się podobieństwo. Dam przykład. Pytamy: mama w domu? Po żydowsku, to znaczy w jidysz, będzie to brzmiało — Ya di mama in der heim? Natomiast po hebrajsku — Imma babait? Jak pan widzi, różnica przeogromna.

— Skąd się wzięła ta różnica?

— Poczynając od niewoli babilońskiej, po wiele wieków diaspor, naród żydowski posługiwał się zawsze, obok własnego, językiem kraju, w którym przyszło mu mieszkać. Tak więc na bazie języków miejscowych Żydzi tworzyli własne gwary. Rozwój jidysz, to niemal historia Żydów w Europie. Ale oficjalna nazwa języka jidysz jest niedawna, bo pochodzi zaledwie z ostatniej dekady ubiegłego wieku, kiedy wielka emigracja Żydów przybyła do Stanów Zjednoczonych. W 1897 roku po raz pierwszy opublikowano książkę, która zawierała w tytule ten termin. Znaczący on tyle co „żydowski”. I od tej pory ten termin uzyskał status naukowy.

— Ostatnie pytanie: czym zajmuje się Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego w Polsce?

— Życiem religijnym Żydów i wszystkim tym, co jest z tym życiem związane. Ponadto utrzymujemy wspomniane już kuchnie rytualne, wydajemy „Kalendarz Żydowski” w języku polskim, który poza tematami religijnymi przekazuje wiadomości z historii i życia współczesnego Żydów. Związek współuczestniczy w akcji charytatywnej American Joint Distribution Committee polegającej na dostarczaniu podopiecznym leków z zagranicy oraz pomocy finansowej w formie bonów dolarowych dla najbardziej potrzebujących pomocy. Związek organizuje w Warszawie w synagodze im. Nożyków comiesięczne koncerty muzyki sakralnej (z nagrań), które są poprzedzane objaśnieniami. Odtwarza się utwory w wykonaniu najwybitniejszych kantorów i zespołów chasydzkich. Koncerty te cieszą się olbrzymim powodzeniem i obecni są na nich przedstawiciele inteligencji warszawskiej oraz duchowieństwa innych wyznań.

Związek w Polsce posiada 15 kongregacji w tych miejscowościach, w których skupiona jest większa ilość Żydów. W Warszawie znajduje się centrala, która kontroluje i finansuje działalność tych kongregacji.

Produkty żywnościowe do naszych stołówek koszernych sprowadzamy z zagranicy w opakowaniach posiadających atestat koszerności (podpisy rabinów) oraz wszystkie akcesoria, które są potrzebne do odprawiania modłów, np. modlitewniki, zwoje na głowę i rękę (tfillim), białe szaty (talesy) itp.

W wigilie największych świąt żydowskich: Rosz Haszana, Jom Kippur, Pesach i Szawuot Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego nadaje audycje słowno-muzyczne w programie IV Polskiego Radia. Są to 40-minutowe programy...

— Dziękuję Panu Prezesowi za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

nie brzegów, czy zwiększając natlenienie wody, ponieważ niektóre gatunki ryb i tak się tam nie utrzymują z powodu, powiedzmy, występowania dużej ilości drapieżników.

— Pana teoria zakłada konieczność ingerencji człowieka w ekosystem w celu ochrony go przed zubożeniem lub zniszczeniem.

— Oczywiście, gdyż to przede wszystkim działalność człowieka stanowi największe zagrożenie dla środowiska, w tym także i dla rzek. Kiedy są one systematycznie zanieczyszczone przez ścieki, czy też kwaśne deszcze, to trudno o oczekiwania, że natura sama naprawi wszystko to, co my zepsuliśmy.

— A właśnie... Jak oceniłby pan stan polskich rzek, choćby na podstawie obecnego stanu ich zarybienia?

— Ogólnie można powiedzieć, iż nie jest on, niestety, dobry, i ulega dalszemu pogorszeniu. Dotyczy to przede wszystkim większych rzek, nad

ekologicznej w Wiśle, Odrze czy Warcie.

— Co mógłby pan konkretnie zaproponować w tej dziedzinie?

— Przede wszystkim — podniesienie poziomu świadomości ekologicznej ludzi mieszkających, pracujących i wypoczywających nad brzegami takich małych rzek. Więc: racjonalne stosowanie nawozów i środków ochrony roślin przez rolników, ochrona krajobrazu, na co większą uwagę powinni zwrócić posiadacze działek i domków letniskowych. Ale nie tylko to.

Kilka lat temu byłem biegłym sądowym w Łasku w procesie o zatrucie wód Grabu ściekami z mleczarni. Nastąpiła awaria, ścieki spuszczone pośpiesznie nocą, rano zaobserwowano masowe śnięcia ryb. Miałem wydać o tym zdarzeniu swoją opinię. Po przeanalizowaniu dokumentów oraz wyników niezbędnych badań okazało się, że gdyby te same ścieki wypuszczono do rzeki w czasie nie dwu, ale — powiedzmy — piętnastu godzin, małymi porcjami, straty byłyby minimal-

ne. Bliska granicy wyginiecia jest również cęta, która tarta się w Sanie i innych rzekach południowej Polski.

Generalnie najtrudniejsza jest dziś sytuacja tych gatunków, które muszą mieć swobodę poruszania się w całym systemie rzeczonym, czystą wodę oraz które są najbardziej podatne na presję eksploatacyjną. Zaobserwowano na przykład, że w rzekach płynących przez parki narodowe, gdzie obowiązuje całkowity zakaz łowienia, populacja pstrąga jest nawet trzykrotnie większa niż na terenach, gdzie wędkowanie jest dozwolone. Coraz mniej mamy szczupaków...

— Tymczasem wędkarzy wciąż przybywa i każdy z nich liczy na taśmą rybę. A ryb — coraz mniej.

— Niestety, choć nawet w obecnych warunkach wcale przecież tak być nie musi. Są kraje, jeszcze bardziej od Polski uprzemysłowione, jak chociażby Wielka Brytania, gdzie wędkarstwo też jest popularne, a mimo to, ryb w rzekach nie brakuje. Co więcej, w porównaniu ze stanem sprzed

Przeprowadziliśmy więc z kolegami odpowiednie badania i znów wpuściliśmy do Lubrzanek małe pstrągi, ale — w zupełnie innych miejscach niż czynili to przed nami działacze PZW. Eksperyment zakończył się zgodnie z przewidywaniami — pełnym sukcesem. Dlaczego? Najkrócej mówiąc: wędkarze wpuszczali narybek tam, gdzie było im najwygodniej to zrobić, na wycieczki. My — tam, gdzie, jak wynikało z założeń mojej koncepcji, małe pstrągi miały największą szansę przeżycia i dośrobnienia.

Drugim sprawdzianem był również udany eksperyment zarybienia pstrągami Grabu. Eksperyment, w powodzenie którego nikt poza nami nie wierzył, bo panowało przekonanie, iż w tak typowo nizinnej rzece ryba znana z wód górskich nie ma żadnych szans.

— Ale przecież pstrąg nie występował nigdy w naturalny sposób w Grabu?

— Otóż to — tak się wszystkim wydaje. Tymczasem ja przeczytałem w starych zapisach, że jeszcze w XIX wieku w stawach pod Łodzią zakonniczy łowili pstrągi. Ponieważ nie mogły one pochodzić ze sztucznego zarybienia, musiały dostać się do stawów z zasilających je w wodę strumieni i rzeczek. A zatem z powodzeniem mogły kiedyś żyć również w Grabu. Wyginęły zaś na skutek działalności człowieka, który między innymi wycinał nadbrzeżne lasy, co spowodowało okresowe podnoszenie się temperatury wody do takiej wysokości, której pstrąg już nie toleruje.

Tu muszę od razu wyjaśnić, iż dawniej prawdopodobnie występował w Grabu pstrąg potokowy, ja zaś wprowadziłem pstrąga źródłanego, pochodzącego z Ameryki, wiedząc, iż lepiej znosi on wyższe temperatury wody i potrafi utrzymać się w mniej urozmaiconym środowisku.

Jak z tego wynika, zamiast gatunków, które wyginęły bezpowrotnie, można wprowadzić z powodzeniem inne, będące ich ekologiczną alternatywą. Przy czym, przykład pstrąga nie jest jedynym, gdyż na tej samej zasadzie wprowadza się do rzek południowej Polski głowacę — gatunek występujący naturalnie w zlewni Dunaju. Wypełnia on puste miejsce po lososiu, który — jak już mówiłem — jest u nas na granicy wymarcia.

— Więc teraz w Grabu będziemy łowić pstrągi?

— Myślę, że jest to możliwe. Pod pewnymi warunkami, a mianowicie — że wędkarze nie tylko będą siedzieć z wędkami, ale także szerzej prowadzić zarybianie i sprawować stałą kontrolę nad tym, co dzieje się nad brzegiem rzeki.

Byłoby dobrze, gdyby Polski Związek Wędkarski wyznaczył członkom poszczególnych swych kół tereny, nad którymi sprawowałyby oni opiekę, czuwali, by wody nie były zanieczyszczone, ryby nie padały łupem kłusowników, być może — by wprowadzili nawet limity połowów uzależnione od stanu zarybienia. No i aby zarybianie prowadzone było w przemyślny sposób — w oparciu o rzetelną wiedzę naukową.

My, ekolodzy możemy wskazać, jak należy to robić, możemy podsuwać pewne rozwiązania, jednak bez szerokiego społecznego wsparcia nasze wysiłki nie na wiele się zdadzą. Oczywiście odnosi się to nie tylko do Grabu, ale — do wszystkich polskich rzek. Jeśli chcemy mieć w nich co łowić, najpierw musimy sami o to zadbać. Zasoby natury nie są bowiem niewyczerpalne.

— Dziękuję za interesującą rozmowę i mam nadzieję, że pana sugestie znajdą właściwy oddźwięk — nie tylko w PZW.

Rozmawiał:
PAWEŁ
TOMASZEWSKI

Szkoła Baletowa im. F. Parnella

W dniu 16 stycznia br. minister oświaty i wychowania nadał Państwowej Szkole Baletowej w Łodzi imię Feliksa Parnella. Z tej okazji godzi się przypomnieć, że historia baletu polskiego datuje się od 1785 r., a szkoły baletowej w Łodzi od 1975 (powstała jako pląta w kraju). Długo czasu tułała się po różnych, przypadkowych lokalach, by po dziewięciu latach przenieść się do własnej siedziby przy ul. Wrocławskiej.

Kształcą się tu młodzież od IV klasy szkoły podstawowej, po latach trudnej i wyczerpującej pracy otrzymuje świadectwo dojrzałości i może rozpocząć samodzielne życie w zespołach baletowych teatrów w całej Polsce. Z satysfakcją trzeba przypomnieć, iż polska szkoła baletowa ma dobrą renomę w świecie i dlatego tylko znakomitych tancerzy tańczy dziś w najświeższych baletach zagranicznych.

Uroczystość nadania imienia Feliksa Parnella Państwowej Szkole Baletowej w Łodzi zaszczyciła żona nieżyjącego znakomitego polskiego tancerza i choreografa Maria Lapińska-Parnell. (el)



Foto: Grzegorz Galasiński

Pstrągi w Grabu

którymi położone są duże miasta i liczne zakłady przemysłowe. Są jednak i takie, gdzie od kilku lat obserwujemy zatrzymanie się procesu degradacji środowiska. Mam tu na myśli chociażby Pilicę, do której wracają nawet wyeliminowane wcześniej gatunki ryb, i to tak cennych, jak brzana.

Z tym, że musimy zdawać sobie sprawę, iż nie tylko ścieki przemysłowe, komunalne i rolnicze, czy kwaśne deszcze przyczyniają się do zubożenia polskich rzek w ryby, ale również — wędkarze. Masowość rekreacji na świeżym powietrzu, nad wodą, co samo w sobie jest, moim zdaniem, jak najbardziej pożądanym zjawiskiem, sprawia, iż nawet w bardzo czystych rzekach nie będzie nam przybywało ryb, jeśli nie zrationalizujemy i tej dziedziny naszej działalności.

— Mówiąc o polskich rzekach, najczęściej mamy na myśli te największe. Ale są przecież jeszcze setki małych rzeczek — stosunkowo czystych...

— To jakby osobne zagadnienie, gdyż o ile dużym rzekom najbardziej zagraża przemysł i ścieki komunalne, to małym — zanieczyszczenia głównie rolnicze, w tym nawozy i inne chemikalia wypłukiwane z pól przez deszcze i wody gruntowe. A o tym często zapominamy, lekceważymy to niebezpieczeństwo.

Wydaje mi się, iż w obecnej, trudnej sytuacji naszego kraju, główny nacisk powinno położyć się właśnie na ochronę tych małych rzek i rzeczek, gdyż jest to stosunkowo najprostsze do zrobienia i nie wymaga wielkich nakładów finansowych. To znaczy, od tego powinniśmy zacząć, a dopiero potem myśleć o stopniowym przywracaniu równowagi

ne. Zginęłaby najwyżej część narybku, natomiast podstawowe stado dojrzałych ryb przetrwałoby mogąc wydać potomstwo w następnym roku. Niestety, stało się inaczej.

I to też jest pewien przykład świadomości ekologicznej, bo przecież awarie mogą zdarzyć się wszędzie i w każdej chwili. Chodzi o to, aby nie działać w takich przypadkach nerwowo, bezmyślnie...

— Z tego, co pan powiedział, można wyciągnąć wniosek, że skoro nie ma już innego wyjścia, jak zatruć rzekę, to powinno się to zrobić przynajmniej po konsultacji z ekologami, aby ewentualne szkody były jak najmniejsze.

— Na pewno tak. I ja oraz moi koledzy jesteśmy w takich sytuacjach gotowi służyć radą, choć zdaję sobie sprawę, iż ze względu na konieczność szybkiego powzięcia decyzji, często może być to trudne. Ale jest to znakomite pole do działania dla okręgowych ośrodków ochrony środowiska, które na swoim terenie powinny sporządzić coś w rodzaju instrukcji postępowania na wypadek awarii. Myślę, że dzięki temu udałoby się uniknąć wielu zupełnie niepotrzebnych strat i ochronić najcenniejsze z ginących w naszych rzekach gatunki ryb.

— Które z nich mają najmniejsze szanse przetrwania przy obecnym tempie degradacji środowiska?

— Po jesiotrze, który właściwie zupełnie już u nas wymarł, niewątpliwie najbardziej zagrożone są gatunki migrujące, jak na przykład losos, który po wybudowaniu tamy na Wiśle we Włocławku został praktycznie odcięty od swoich karpaccich tatrisk i mimo istnienia specjalnej przepłaki na tamie, już tam nie dociera.

kilkunastu, czy kilkudziesięciu lat, znajdują one lepsze warunki bytowania, czego najlepszym przykładem to, że do Tamizy powrócili znów lososie.

— W jaki sposób w Polsce to osiągnąć?

— Na pewno w pierwszym rzędzie poprzez ograniczenie emisji zanieczyszczeń do wód, czyli — budowę oczyszczalni ścieków, wprowadzanie zamkniętych obiegów wody w zakładach przemysłowych czy też — wzorem innych państw wprowadzając prawo, iż fabryka może mieć swoje ujęcie wody na rzece wyłącznie po niższej odpływu jej ścieków.

To jednak tylko część tego, co można i należałoby zrobić. Najmniej ważnym elementem jest racjonalne gospodarowanie nie zasobami natury, czyli — nie jedynie ich eksploatacja, lecz również odnawianie, kształtowanie w zależności od naszych potrzeb. I tu właśnie bardzo pomocna może okazać się moja teoria, gdyż w oparciu o nią dużo łatwiej niż przedtem daje się zarówno poprawić warunki bytowania ryb w rzekach, jak też zarybianie je.

— A konkretnie?

— Przez wiele lat Polski Związek Wędkarski próbował do płynącej przez Góry Świętokrzyskie Lubrzanek wprowadzić pstrągi, które — zdawało się — powinny mieć w tej rzece doskonałe warunki. Próby te nie przyniosły jednak żadnych rezultatów: mimo wielokrotnego wpuszczania dużych ilości narybku, po pstrągach nie było potem śladu.

Potraktowałem to jako wyzwanie dla mojej koncepcji, która jak każda teoria powinna się sprawdzić w praktyce.



Foto: Grzegorz Galasiński

Jeśli miałbym porównać tramwaje z podziemi, to pierwsze są zdecydowanie uczciwsze. W PKP biorą wszyscy, bierze konduktor, bierze kontroler, tylko co swoje rewizor.

— Mam pięćdziesiąt lat, od trzydziestu jeżdżę na gąsieniczym tramwaju i autobusami, korzystając również z linii pospiesznych. Gdybym upadł, to płaciłbym karę bez słowa protestu. Ale nie upadam i prawdopodobnie nigdy nie upadnę, a to dzięki temu, że znam nauki i psychikę lapiduchów. Są to często ludzie skrompowani i leniwi, traktujący powierzono sobie zadania z beprzekładnym cynizmem. Nie lubią uczciwej pracy, podobnie jak nie lubi jej większość szanujących się Polaków. Mowy być nie może, aby taki jeden z drugim pozwalał godny kontroler zjechać do autobusu czy tramwaju w godzinach szoku i przebić się przez ludzką cieżę z pomostu na pomost smródzącego no dro-

c. w ważne państwowe i kościelne święta (nie ma mowy, aby ktoś żądał od ciebie biletu 1 Maja, 22 Lipca lub na Boże Narodzenie), przy czym w miarę bezpieczne są również wszystkie niedziele, oraz:
d. w momentach napięć społecznych.

Samobójstwem natomiast jest jazda na gapę w dni powszednie, we wszystkich godzinach przedpołudniowych i tuż po przełamaniu się południowego szczytu. Rozsądny człowiek nie pozwala sobie wówczas na żadne ryzyko, chyba że należy do Stowarzyszenia Gapowiczów.

Przed laty stowarzyszenia te były w modzie, zakładano je na terenach wielu przedsiębiorstw i urzędów. Stowarzyszało się, dajmy na to, dwudziestu obywateli i podróżowało bez biletu o każdej porze dnia i nocy. Jak któremuś poszła się noga, płacił regularny mandat bez namysłu i przedstawiał pokwitowanie udziałowcom, ci zaś partycypowali w grzywnie, to znaczy: rozkładali ją na dwadzieścia części. Operacje te na przestrzeni miesiąca wynosiły znacznie taniej niż korzystanie z biletów i abonamentów, dzięki czemu gapowicze mogli sobie pozwolić na dodatkową



Mówi: Włodzimierz M

- Kiedy zachorowałeś na
- W dzieciństwie, kiedy san
- stał się sensacją.
- Twój pierwszy polazd?



tykiewicz

1980-
1981

motoryzację?

uchód był jeszcze rzadkością i

Kontrolerzy i to, co im leży

Kondktorów w tramwajach już nie ma, stare to dzieje, moi drodzy, pozostali wszelako na pociechę chłopcy kontrolerzy i trzeba przyznać, że z chwilą, kiedy owa kasta pracownicza uzyskała samodzielność, rozwinęła się niesłychanie pod względem zawodowym i osobistym. Cóż za spryt! Cóż za pomysły! W naszych reformatorskich czasach, kiedy walkonie drżą o stanowiska pracy, a uczeni ludzie ćwiczą mięśnie, aby przez najbliższych kilka lat wiązać co miesiąc konieć z końcem, przyszłość kontrolerów tramwajowych rysuje się jasno i wyraźnie. W tym szachu zawsze można zarobić i zawsze można dorobić, choćby po godzinach oficjalnego polowania. Nie utrasz się w tej emocjonującej i ciekawej branży. Lapięsz dajmy na to gapowicza, wyciągasz go z tramwaju, żeby nie było niepotrzebnych świadków, i mrużąc oczy, wymiujesz długopis i kwitariusz, że to niby zamierzasz mu wyrzucić regulaminową karę, a on wdęka ci do kieszeni tysiąc złotych i już masz na pół litra. I wcale nie musisz być przy tym prawdziwym kontrolerem. Pozwól sobie w tej materii zacytować notkę, którą zamieścił niedawno „Express Hustrowany”:

Pewniakiem dla kontrolerów jest schludnie przyodziały, lecz z lekką podciętą języczką, który nawet nie raczy spojrzeć na kasownik. Do takiego można startować bez wahania — nie ma biletu i nie awanturowuje się, zawyżając. Można go wylegitymować i zrobić z nim układ, jest bowiem wielce prawdomo-
dobne, że nie dysponuje odpowiednią kwotą. Zapłaci za godzinę albo nazajutrz w ostat-
teczności; karzemy go manda-
tem, wedle prawa. Rzadko trze-
ba ścigać do takiego milicje.

Roboczarz szukał biletu; nie mógł go znaleźć, choć wywraćcał wszystkie kieszenie, choć zęzał kark i sprawdził zawieszoną podłogę. Im dłużej szukał, tym bardziej był zmieszany i rozbity, poczerwieniał na twarzy ową, czerwienią godnego i szlachetnego obywatela, który nie zdefraudował w życiu parszywej złotówki.

- Kiedy zachorowałeś na „motoryzację”?
- W dzieciństwie, kiedy samochód był jeszcze rzadkością i stanowił sensację.
- Twój pierwszy pojazd?
- Rowery.
- Ile miałeś wtedy lat?
- Siedem. Był to pierwszy i jedyny rower dziecięcy w okolicy, to jest we wsi Krokocice. Na tym rowerku nauczyli się jeździć wszystkie dzieci we wsi.
- Jakiej był marki, pamiętasz?
- Nie było żadnej marki, bo przed wojną nie było seryjnej produkcji rowerów dla dzieci. Mój rower „zmajstrował” pewien rzemieślnik parający się naprawą rowerów.
- A po wojnie? Na czym jeździłeś?
- Także na rowerze, poniemieckim, z pomalowanymi na biało błotnikami i ramą. Dojeżdżałem na nim do szkoły, najpierw do Zygier, potem do Zdunskich Wól.
- Kiedy przesiadłeś się do wymarzonego przez siebie samochodu?
- Nie nastąpiło to tak szybko. Po rowerze była jeszcze sławna WFM. Miał to rok 1957 i już pracowałem, ale na kupno samochodu długo mnie nie było stać. Dopiero po pięciu latach, w 1962 roku, nabyłem fiata 1100 z 1948 roku. Był to starszek mający dość kłopotliwą wadę: otóż raz miał hamulce, innym razem przestały one działać. Jeżdżąc nigdy nie byłem pewny, czy w sytuacji krytycznej będę mógł zahamować czy też skończy się jazda kraksą.
- Brrr... Czy ten fakt spowodował, że zainteresowałeś się Automobilklubem?
- Oczywiście, ale w tamtych latach była to organizacja dość hermetyczna, powiedziałabym ekskluzywna, i ten, kto nie rozprządał sporym zapasem gotówki nie miał szans wpisania się na listę Automobilklubu. A ja byłem po prostu za biedny, by mnie przyjęto.
- Nie bardzo rozumiem, o co tu chodzi...
- Wyjaśnię. Automobilklub zajmował się przede wszystkim organizowaniem rajdów. W takiej imprezie mogli startować jedynie ci, którzy mieli nowe, dobre samochody. Ja ze swoim starszkiem fiatem 1100 nie liczyłem się. To po pierwsze. Po drugie: ówczesny automobilklub nie urządzał imprez popularyzujących kulturę motoryzacyjną i bezpieczeństwo jazdy. To także za zdecydowało, że stroniłem od Automobilklubu, bowiem moje zainteresowania były już wówczas zupełnie inne.
- Ostatecznie jednak przystałeś do tego zgromadzenia, choć nie miało ono ani najlepszych opinii, ani jego działalność nie dawała ci satysfakcji.
- Zapisałem się do Automobilklubu w 1971 roku. Jeździłem wtedy trabantem. A zapisałem się dlatego, że już wcześniej spotkałem pasjonatów motoryzacji, którzy tam należeli od lat, choć ich wpływ na działalność władz klubu był żaden. W ogóle był to rok fatalny. Automobilklub przyszywał trudny okres spowodowany aferami, jakie odkryto w gronie odpowiedzialnych pracowników klubu.
- Czyżby do tak szacownej instytucji zrzeszającej ludzi dobrej woli wkroczył prokurator?
- Tak, była sprawa sądowa.
- Bardzo szybko zostałeś członkiem zarządu...
- Po czterech latach, w 1975 roku wybrano mnie na przewodniczącego komisji Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego.
- Wkrótce zostałeś prezesem Automobilklubu Łódzkiego...
- Tak, po nagłej śmierci Emanuela Zbierchowskiego, który był, śmiało to mogę powiedzieć, człowiekiem nieprzeciętnym. Po owych aferach odbudował i przebudował klub. Ja przez 7 lat siedziałem na stołku prezesowskim. Daję słowo honoru, że był to bardzo niewygodny stołek.
- Kiedy obejmowałeś sukcesję po Zbierchowskim, ilu was było?

Tak bismi tytuł. A dalej.
„Kontrolę tramwajów i autobusów nasiliły się do tego stopnia, iż pasażerów nie już nie dziwi. Przyjeżdżył nawet do tego, że dopiero rozpoczynając kontrolę inspektor zakłada czapkę lub przypina sobie stosowny znaczek rozpoznawczy. Kiedy jednak doszło do szarpaniny dwóch par mężczyzn podających się za kontrolerów, podniesiono alarm. Jak okazało się, mężczyzna, który wraz z kolegą wsiadł do autobusu wcześniej i rozpoczął sprawdzanie biletów, nie miał do tego uprawnień, choć pracuje w MKZ i nosi tramwajarską czapkę. Gdy w chwili później wsiadli autentyczni kontrolerzy, ujawnili mistyfikację i zatrzymali kolega po fachu. Mechanik MPK tłumaczył się, że kontrolował bilety dla zabawy. Kolegium potraktowało jednak mistyfikatora poważnie, aby w przyszłości odczepiła mu się takich rozrypek. Wymierzona mu karę 1 roku ograniczenia wolności, polegającą na potrąceniu 15 proc. uposażenia na cele społeczne”.

Mój znajomy, który twierdzi, że od dobrych trzydziestu lat jeździ na gapę, robi to jedy nie w sprzyjających okoliczno ściach, a więc nie odczuli nie o każdej porze. Prawidło jest proste — to, co nie po doba się kontrolerowi, sprzyja nad wyraz gapowiczowi, zatem jazda bez biletu jest bezpiecz na:

- a. w godzinach tłoku.
- b. w czasie trudnych wa runków atmosferycznych, ta kich jak silne mrozy, śnieżyce i ulewę.

Powtarzał w kółko:
— Kasowale, kasowale...
Wszyscy mu wierzyli i wszyscy mu współczuli, ale strójni z MPK, który też nie żywił wątpliwości, że robotnik podrożuje uczciwie, wezwał go do zapłacenia kary. Marszałek czło-
— Albo proszę o dowód osobisty, żebym mógł pana spisać.
Ludzie chrząkali i parskali. Robotnik westchnął i wyciągnął za pachy jakąś obłożoną w plastyk legitymację. I wtedy właśnie stał się cud: wraz z legitymacją wyrównał w powietrze zściśniętą, przyklejnie skasowany bilet.

- Dokładnie nie pamiętam, minęło tyle lat, ale mieliśmy ponad półtora tysiąca członków i 36 kół zakładowych.
- A dziś?
- W tym roku Automobilkul Łódzki obchodzi swoje 60-lecie. Jest nas ponad 5 tysięcy i mamy 110 kół zakładowych. Należą do nas lekarze, dziennikarze, literaci, milicjanci, robotnicy, tak-sówkarze, prawnicy itp.
- Dlaczego zrezygnowałeś z prezesury?
- Na skutek zmiany miejsca pracy i ze względu na pogarsza-jący się stan zdrowia. Dziś jestem jedynie członkiem zarządu.
- Czym się jeszcze zajmujesz oprócz popularyzacji sportu sa-mochodowego, kultury motoryzacyjnej i życzliwości na drodze?
- Wnucziem Michałem, sześciolatkiem, który ogrywa mnie w szachy.
- Czym jeszcze?
- Moim drugim hobby jest szeroko pojęta przyroda: las, jez-o-ra, cisza. Dlatego m. in. nabyłem działkę rekreacyjną.
- A gdzie wypoczywasz?
- Najchętniej na Mazurach. Łączę po lasach sami i o świecie lubię podpatrywać zwierzęta u wodopoju.
- Polujesz?
- Nigdy. Nie potrafiłbym zabić zwierzęcia.
- Należysz do mężczyzn, o których można powiedzieć, że są przystojni. Powiedz więc, jaki jest twój stosunek do kobiet?
- Ciępli. Gdyby tak się stało, że nagle wszystkie kobiety zni-knęłyby z pejzażu, świat stałby się bezbarwny i ponury. Po prostu: lubię kobiety.
- Co jeszcze lubisz?
- Dużo rzeczy: książki i to nie dlatego, by mieć je w bi-bliotece, ale żeby je czytać. Mam własną sporą bibliotekę, ale także należę do Rejonowego Biblioteki Publicznej na ulicy Chryzantem. Ponadto lubię towarzysztwo ciekawych ludzi i pikantne potrawy. I bardzo lubię podróże własnym samochodem po kraju, a jeśli są możliwości — za granicę. Byłem w Bułgarii, ZSRR, a przejazd gruzińską drogą wojenną przez Kaukaz i wylądowanie w Batumi będąc pamiętać do końca życia.
- O czym marzysz?
- Abych raz jeszcze odbył podróż tą samą trasą.

Foto: Grzegorz Galasiński

Ponieważ

Ponieważ z braku importowanej kukurydzy zmniejsza się pogłowie aniołów ponieważ na wywiesze Herbaty brak dopisać ktoś i nadziei ponieważ wydłuża się okres oczekiwania na wymarzone małe Armageddon ponieważ niedosłone dziecko mogło być malarzem pisarzem architektem ponieważ poeta w owym kraju bywa nie lwem i nie lisem ale dziennikarzem ponieważ promienna przyszłość od pewnego czasu kojarzy się z twardym promieniowaniem ponieważ nie jestem pierwszym twoim

spełnia się wroźba wieszczka, mam numer 44

„Nasze powinności traktujemy szeroko...”

Początki zakładowego księgozbioru były, jak to się niekiedy w trudnych sytuacjach zdarza, całkiem — rzecz by tak można — prozaiczne.

W gorące dni, gorące noce 1945 roku, kiedy przystępowano do uruchomienia dzisiejszych Zakładów Marchlewskiego, garstka zapaleńców, miłośników słowa drukowanego, pomyślała też o potrzebie zakładowej biblioteki.

Przeprowadzono zbórkę książek wśród zgłaszających się do pracy robotników. I właśnie te trzysta wówczas zebranych, różnorodnych publikacji, stało się zaczątkiem zakładowej biblioteki.

Czas mijał szybko. Płynęły lata. W 1986 r. biblioteka obchodziła jubileusz czterdziestolecia.

Przez cały ten okres — lapidarnie rzecz ujmując — dzierżyła wiedzy i oświaty kaganek wśród szczerzącej się pięknymi tradycjami włókienniczej załogi.

Od 28 lat tą niezwykle ważną, kulturotwórczą placówką w naszym mieście, kieruje pani Waleria Konarska.

— Obecnie — mówi — dysponujemy księgozbiorem liczącym 37 tys. woluminów. Korzysta z niego 1450 czytelników. W ubiegłym roku wypożyczyli 29 tys. książek. Biblioteczne zbiory dostępne są nie tylko dla pracowników naszych zakładów. Korzystać z nich mogą również wszyscy łodzianie. Spełnić muszą tylko wymogi regulaminu.

— Nasze powinności — kontynuuje — traktujemy bardzo szeroko. Przede wszystkim chodzi nam o rozbudzenie nawyku uczestnictwa w życiu kulturalnym wśród włókienniczej załogi. A jak powszechnie wiadomo, większość niej stanowią spracowane, obciążone licznymi obowiązkami rodzinnymi włókiennicy.

— Usilnie zabiegamy więc o pozyskiwanie nowych czytelników. Wykorzystujemy m.in. w tych celach radiowęzeł zakładowy. Przygotowujemy informacje o nowościach wydawniczych i imprezach kulturalnych. Ciekawsze utwory — interesujące najbardziej załogę — nadawane są przez radiowęzeł. Wspomnę tutaj o „Sadze rodu Forsytów”, czy też o książce „Na wschód od Eden”, wg której zrealizowano głośny serial telewizyjny.

— Organizujemy również spotkania ze znanymi pisarzami. Cieszą się one zazwyczaj dużym zainteresowaniem. W ostatnich latach gościli m.in. w naszej bibliotece: Jan Koprowski, Wiesław Jazdyński, Henryk Czarnecki, Tadeusz Chrościelewski, Eugeniusz Iwanicki, Zdzisław Konicki mówił o przeszłości Łodzi.

— Raz w miesiącu odbywają się u nas spotkania członków „Koła robotników pisarzy”. Czytają oni swoje utwory i wymieniają uwagi. Zasięgają też naszych porad.

— Patronujemy ponadto Studium Wychowania Obywatelskiego i Studium Wiedzy Estetycznej. Zajęcia dla uczennic przyzakładowej szkoły zawodowej — przyszłych włókienniczek — prowadzi prelegenci Towarzystwa Wiedzy Powszechnej.

W przyszłości zamierzamy zorganizować punkt wypożyczeń bibliotecznych bezpośrednio na terenie oddziałów produkcyjnych.

Jednym słowem — rekapitulując — żyjemy problemami zakładu.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Z knedliczkami i piwem w historię

Nie pierwszy raz rola przypadku sprawdza się w życiu i historii. Oto tylko zbiegowi szczególnych przypadków zawdzięczamy w obecnym sezonie teatralnym przedstawienie o niezwykle kolorystyce i znaczeniu artystycznym. Początek — dyrektor Teatru Studyjnego, Paweł Nowicki, przebywa w Segedzie w składzie delegacji kulturalnej, ogląda w tamtejszym teatrze fragment pracy reżyserskiej Gezy Bodolaya i postanawia nawiązać kontakt z młodym i utalentowanym Węgrem, który jak się okazuje — mówi po polsku. Bodolay w jakiś czas potem czyta węgierski przekład sztuki czeskiego autora, Karela Steigerwalda „Dobrych tańców” i jest pełen fascynacji — obrazy przeszłości łączące jego kraj we wspólnym losie narodów Austro-Węgier mówią o czymś więcej niż marzenia o wolności w czasach „europejskich Wiosny Ludów”. Proponuje dyrektorowi Nowickiemu wystawienie tej sztuki. Rzec, która nosi podtytuł — „Fraszka z roku 1852”, tłumaczy Irena Boltuc-Hausbrandt na zamówienie łódzkiego teatru, nadając utworowi polski tytuł „Tańce w stylu epoki”. Mam wątpliwość czy słowo „styl” w tym zresztą świetnie brzmiały czy sceny przekładzie jest właściwe. Z kontekstu zdarzeń i poetyki sztuki wynika, że bardziej tu idzie o „tańce w korewodzie historii”, ucz-

stnictwo w życiu epoki, niż o styl, zewnętrzne przejawy tego życia. Ale to szczegół. Dodając jeszcze udział w przedstawieniu rosyjskiej aktorki mamy przedsięwzięcie artystyczne czterech nacji. I jak z tego wszystkiego wyszło jednolite, harmonijne, niepowtarzalne w swym klimacie przedstawienie jest doprawdy zagadką, za której rozwiązaniem kryje się po prostu magia teatru.

Sztuka Karela Steigerwalda ma charakter epickiej opowieści nasyconej ironią, poetycką refleksją z drobnych zdarzeń. Z luźno powiązanych ze sobą sytuacji układa się historia zrywu wolnościowego w małym czeskim miasteczku, którego nazwy komisarz z Wiednia nie jest nawet w stanie zapamiętać. Ale ten zryw jest tragicomiczny, heroizm na miarę małych ludzi. Steigerwald nawet z pewnym okrucieństwem, z bolesną bezwzględnością, bada wartość moralną patriotycznego uniesienia. Bohaterowie sztuki wzniosłe hasła rozminiają na drobne, dla przyziemnej, życiowej wygody ogółu sztafardę ze wszystkich symboli, aby nie drażnić cesarskiej władzy. Chciał go jednak zachować, jakiś ślad swego bohaterstwa, świadectwo patriotyzmu. Autor kpi zresztą z tego bohaterstwa, nie pozwala, by jego bojownic-

o wolność i nowa konstytucja dotarli do powstańczej Pragi (czerwiec 1848), pokazany w retrospekcji w politycznej wrogiej strzelają nie nabitymi karabinami. Apoteoza knedliczków i piwa ma w jednej ze scen sztuki wymiar symbolu. Tak jak i bodaj wszystkie postacie sztuki. Od burmistrza, właściciela hotelu, przez praktykanta nauczycielskiego — nosiciela romantycznej wizji wolności i równości, poprzez poetę, hrabiego, przemysłowca, tkacza, stróża nocnego. Cały społeczny przekrój, cała paleta postaw i mentalności. Czeskie to wszystko i uniwersalne, jak w filozoficznej przypowieści.

Przypominają się drwiny Gombrowicza z „polskości”, z tym, że autor czeski nie idzie tak daleko, jego rozprawa z „czeskością” nie zmierza do budowania od nowa tożsamości narodowej. Zmierzając natomiast do określenia powinności wobec historii i współczesności, obok których człowiek przechodzi w beztroskiej niewiedzy. Ta beztroska i niewiedza jest przedmiotem drwiny pisarza.

Reżyser przedstawienia, wspólnie ze scenografem stworzyli jakby trzy podstawowe plany akcji. Wysoce na północie nad sceną rozgrywa się epizody między nauczycielem, jego ukochaną i jej ojcem, które są jakby komentarzem do zdarzeń dziejących się niżej, na scenie przedstawiającej różne miejsca w miasteczku, wnętrza hotelu, który jest własnością burmistrza. Z boku sceny położona na boku wielka kasa pancerna kryje w swym wnętrzu łożo miasteczkowej wszeźdźciny. Tu z tego „najniższego poziomu” widać świat, jakim jest naprawdę. Ta kompozycja przestrzeni pozwala twórcy spektaklu na kalejdoskopową ruchliwość planów, na rozgrywanie poszczególnych scen na zasadzie całkowitej umowności, na łączenie konwencji realistycznej z groteską czy nawet poetyckim nastrojem. Kolejne sekwencje przedstawienia są jakby pointowne pieszczotami ni to narodowymi ni to ludowymi przeproszonymi małe sprawy miasteczka w sferę symbolu, ośrojnej re-

Pamięci Parnella

Ubywa nas, co jeszcze mamy w pamięci o sobie i twórczość choreograficzną Feliksa Parnella który ostatnie lata swego pracowitego żywota związał ściśle z Łodzią. Początki jego drogi twórczej i jej inedyzywolne apogeum przeszły już do historii, stając się zarazem legendą polskiego baletu i teatru operowego.

Był Parnell, jak się zgodnie stwierdza, twórcą naszego narodowego stylu, czerpiącego inspirację z folkloru różnych dzielnic kraju, a międzynarodową sławę zyskał sobie również jako tancerz, występując wyłącznie w zespołach polskich, m.in. w założonym i kierowanym przez siebie Baletcie Parnella.

Są więc wszelkie powody, byśmy czcili pamięć tego wybitnego artysty i dobrze się stało, że oprócz nadania jego imienia łódzkiej szkole baletowej w 90 rocznicę jego urodzin poświęcono jego pamięci wieczór w Teatrze Wielkim w obecności długoletniej towarzyszącej jego ży-

cia, znanej i cenionej artystki baletu, Marii Lapińskiej-Parnellowej.

Pokazano widzom film dokumentalny, obrazujący życie i działalność artysty, będący próbą ukazania jego osobowości i przekazania artystycznego credo. Dyrektor Sławomir Pietras przedstawił publiczności szereg faktów z życia Feliksa Parnella, po czym wykonano specjalnie na tę uroczystość przygotowany program taneczny, przypominający jego dzieło twórcze i — zarówno z udziałem uczniów szkoły jego imienia, jak i tancerzy, którym dane było zdobywać pod jego kierunkiem i doskonałym umiętności.

Na program wieczoru złożyły się cztery pozycje. Najpierw w choreografii Janiny Niesobskiej odtworzona w historycznym kształcie niezwykle popularna niegdyś humoreska taneczna „Umarł Maciek, umarł”. Niżej podpisany pierwszy kontrakt z baletem zawdzięcza w przedwojennych uczniowskich czasach Baletowi Parnella i wła-

nie pamięta doskonale ten utwór z udziałem samego mistrza. I tak to zapamiętałem, jak na obecnym wieczorze. Zapewne stylstyka i rodzaj humoru odbiegają dość znacznie od dzisiejszych, obronili się jednak znakomicie, m.in. dzięki porywającemu wykonaniu przez starą gwardię baletu: Niesobską, Traczewskiego, Wróską, Jankowskiego, Piątkowskiego, Stolarskiego.

Z kolei młodzież szkoły wykonała „Oberek” w chor. Marianna Muski, następnie pełne młodzieńczego wdzięku „Mazurek” i „Oberek” do muz. R. Maciejewskiego w chor. Ewy Wychowskiej, a na zakończenie humoreskę „Dwa Michale” do muzyki Zb. Namysłowskiego w chor. Marii Wójcikowej z zastępowaniem współczesnych środków ekspresji, utwor rzeczywistej dowcipny, korzystający pomysłowo z pantomimy, do którego sukcesu przyczyniło się wykonanie grupy absolwentów szkoły, z udziałem świetnie tańczącej pani choreograf. Dodajmy iż całość baletowego programu pozostawała pod płeczą Anny Gawel.

Po występie nastąpiło spotkanie widzów z Marią Lapińską-Parnellową, które zamieniło się w wieczór wspomnień o niezapomnianym Feliksie Parnellu.

J. K.

„Feliks Parnell in memoriam” — 16 stycznia w Teatrze Wielkim.

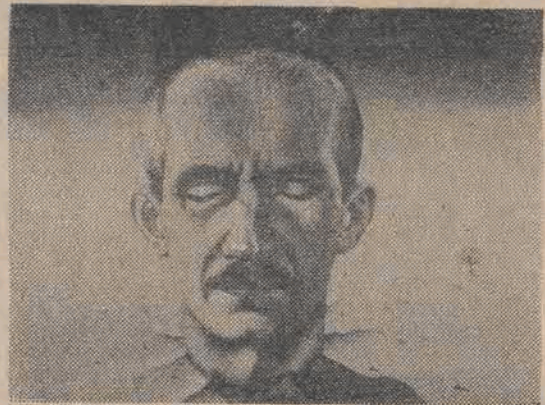
Kto dla kogo sędzią?

O tej wystawie krąży rozliczne opinie, często niezasłużone, skrajne, wsparte nierzadko porównawczym przyrównaniem oka i konfiden-cjonalnym szeptem: O, to jest to! No właśnie — co? Jaka jest wystawa malarstwa Mariana Kepińskiego? Pierwsze obrazy rzeczywiście zwracają uwagę. Czym, dlaczego? Perfekcyjnością, surrealistyczną, acz bardzo czytelną anegdotą, kolorystyką, kolorystem?

Oto płaszczyzna pokryta czerwonym murem, pod którym stoi w zaczerpniętym obrysie człowiek. Samotny, zagubiony. Człowiek i mur. Czerwień i mur osadzony w zimnej ziemi. Po tem czerwień labiryntów, budowli, pola ledwo muskane słońcem pokryte czerwienią „zatrutych studni”, czerwone zadaszanie rzucające cień na księżycowy pejzaż, są wreszcie interesujące „żywy”, martwe natury z równie obsesyjnym — jak tam czerwień — elementem wyrazu, jakim jest chleb wkomponowany w subtelne wizje artysty, podobnie jak w sąsiednim cyklu — kamienie, muszle...

Rzecz charakterystyczna: te obrazy nie wywołują w nas poruszenia, zadumy, lecz odruch irytacji. Emanuje z nich chłód. Może jest to uboczny produkt zimnej kalkulacji artysty? Bo też estetyczne wrażenia przyćmiewa perfekcyjna stylizacja i owa nadzretność natrętnej symboliki, wyrażającej sąsiedzką ideowo anegdotę. Na dobrą sprawę wszystko, co proponuje na tej wystawie artysta jest czytelną anegdotą, a jej przesłaniem ideowym podporządkowane są środki wyrazu i cała symbolika. Ten natłok idei czyni malarstwo Kepińskiego swoistą „agitką”, różniącą się od dawnej, potępianej jedynie w treści anegdot i większą subtelnością warsztatu. Tymczasem wszelkie natrętne przesłania wywołują odwrotny skutek, u twórcy — rodzaj zacięzania, które prowadzi do zatrutych studni, u odbiorcy, miast doznań estetycznych, zacięzania treściami zgola innymi. Znać to po wpi-sach do księgi wystawy „Malarzu! Niech twój świat wyjrzy zza krat!” (jaki, jakich? — dop. M. Z.). „Warsztat grzeszny — przesłanie mone. Gratulacje”. „Co za abstrakcja!”; Dlaczego to jest tak bardzo zimne?”. „Prześni budować barykadę!”. „Duchowe kabotyństwo, artystyczna mierność”. „Święte martwe natury i całuny... inne rzeczy mniej do mnie przemawiają”.

Wpisy te zdają się świadczyć, iż do odbiorców malarstwo Kepińskiego (prezentowane na wys-



Sen, 1983

tawie w salonie BWA, przy ul. Piotrkowskiej 88) dociera z treściami pozamalarskimi. A przykłady z niedawnej historii uczyć, że dla takiego malarstwa czas bywa okrutnym sędzią. Bez względu na anegdoty.

MARIAN ZDROJEWSKI

NASI ZA GRANICĄ

Zdzisława Donat, wybitna polska śpiewaczka odniosła kolejny sukces w Metropolitan Opera, tym razem w partii Konstancji w „Uprawdzeniu z Seraju” Mozarta. W poprzednich sezonach Zdzisława Donat śpiewała tam

partie Królowej Nocy w „Czarodziejim flecie”.

Jerzy Stuhr natomiast, występił na Manhattanie zakończył swoje amerykańsko-kanadyjskie tournée. Z towarzyszeniem krakowskiego kwartetu smyczkowego prezentował z powodzeniem monodram wg „Kontrabasisty” Suesskinda.

KOMU NA TYM ZALEŻY

„Nie będzie przesady, jeśli stwierdzę, że walka toczy się między tymi, którzy myślą przede wszystkim o sobie (...), a tymi, którzy myślą nie o sobie, lecz o literaturze — pisze na łamach tygodnika „Ogoniok” nestor radzieckiej literatury, Władimir Kawierin. — Pierwsi uważają, że oddanie historycznej sprawiedliwości dziełom Achmatowej, Pasternaka, Zoszenenki i innych znakomitych pisarzy jest bezcelowe, jeśli wręcz nie szkodzi. Drugi natomiast są zdania, iż było to konieczne, ponieważ z takim ciężarem niezawinionych krzywd i powiedzmy wprost — przestępstw, literatura nie może kroczyć naprzód. Pierwsi obawiają się, że ich ustalona wysoka pozycja może uciepnieć, kiedy zostaną opublikowane i już się publikuje arcydzieła, w porównaniu z którymi ich twórczość niewiele jest warta. A drugi myślą, że nadszedł właściwy czas zdjąć prymitywne i fałszywe oskarżenia z Mandelsztama, Cwietajewej, Platónowa. Tych

WYSPECJALIZOWANE GANGI

Jak utrzymują pracownicy Narodowego Instytutu Antropologii i Historii Meksyku, powstały tam całe gangi zajmujące się nielegalnie wykopaliskami i przemytem cennych znalezisk za granicę. Co roku wywozi się nielegalnie ponad 12 tys. zabytkowych obiektów wielkiej wartości, pochodzących z ery prekolumbijskiej, na które jest wielkie zapotrzebowanie na dzisiejszym rynku kolekcjonerskim, zwłaszcza w USA. Dzięki wysiłkom władz, odzyskać udaje się zaledwie 1/3 nielegalnie wywożonych przedmiotów.

NOWE OBLCZĘ ARTYSTY

„Można o mnie mówić, co się komu podoba — wielkim jestem artystą czy średnim, pewne jest to, że zostałem wierny moim rodzicom z Witebska”. — Są to słowa wielkiego Marca Chagalla, które stały się mottem przygotowanego przez Wydawnictwo „Sowremiennik” tomu nie publikowanych wierszy artysty, wy-powiedziane w czasie wizyty w Moskwie. „To miasto dalekie” oraz „Ojczyzna” to m.in. utwory poświęcone Witebskowi i Rosji. Obok nich „Litieraturnaja Rossija” zamieszcza poemat Chagalla pt. „Pamięci artystów — ofiar faszyzmu”.

10 GODZIN CHARAKTERYZACJI

W postać Sherlocka Holmesa wcieliło się już 67 aktorów (w tym jeden Murzyn) w 184 filmie a poświęconą Don Kichotomach zrealizowanych pomiędzy rokiem 1900 a 1984. Postać Draculi pojawiła się w 138 filmach, Frankenstein — w 96, Tarzana — w 58, Robin Hooda w 55. Te swoista lista rekordów ogłosiło bulgarskie czasopismo „Paraleli”. Rekordową liczbę statystów zatrudniono do angielskiego filmu „Ghandi”. Jedna, 125-sekundowa scena pogrzebu wymagała udziału... 300 tys. osób. I jeszcze jeden rekord — charakterystyczna Roda Steigera do głównej roli w filmie „Tatuowany mężczyzna” wymagała 10 godzin pracy głównego charakteryzatora i jego ośmiu współpracowników.

„RYCERZ O SMUTNEJ TWARZY”

Bohater nieśmiertelnej książki Cervantesa, „rycerz o smutnej twarzy” — Don Kichot doczekał się Muzeum. Nową placówkę muzealną związaną z Cervantesem a poświęconą Don Kichotomach zrealizowanych pomiędzy rokiem 1900 a 1984. Postać Draculi pojawiła się w 138 filmach, Frankenstein — w 96, Tarzana — w 58, Robin Hooda w 55. Te swoista lista rekordów ogłosiło bulgarskie czasopismo „Paraleli”. Rekordową liczbę statystów zatrudniono do angielskiego filmu „Ghandi”. Jedna, 125-sekundowa scena pogrzebu wymagała udziału... 300 tys. osób. I jeszcze jeden rekord — charakterystyczna Roda Steigera do głównej roli w filmie „Tatuowany mężczyzna” wymagała 10 godzin pracy głównego charakteryzatora i jego ośmiu współpracowników.



Rys. Sławomir Luczyński

Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata

Kronika

W BIBLIOTECE IM. EDWARDA RACZYŃSKIEGO w Poznaniu, 12 bm. otwarto wystawę pn. „*Esperanto zbliża narody*”. Ekspozowane są publikacje naukowe, utwory literatury pięknej, czasopisma, słowniki i śpiewniki z całego świata. Na wystawie znalazły się też liczne materiały, obrazujące dorobek ubiegłorocznego Światowego Kongresu Esperantystów w Warszawie (zwołanego w 100-lecie narodzin języka esperanto).

GOSZCZĄCY W POLSCE znakomity brytyjski reżyser filmowy Lindsay Anderson („Sportowe życie”, „Współpraca synów”) w latach pięćdziesiątych roku Free Cinema odwiedził łódzką szkołę filmową. Z uczniami ta od wielu lat twórcą ten utrzymuje stałe kontakty. Podczas spotkania z władzami i studentami uczelni, L. Andersonowi wręczono Medal za Zasługi dla PWSFTiit oraz dyplom z podziękowaniem za współpracę.

NA WALNYM ZEBRANIU WYBORCZYM — powstałego pod koniec ubiegłego roku — Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej, przewodniczącym wybrany został wiceprezydent m. Łodzi — dr Jan Nosko. Władze Łódzkiego Oddziału PTCCh postawiły przed sobą bardzo ambitne zadania. Planują m.in. nawiązanie bliskich kontaktów z jedną z chińskich prowincji, a nawet... organizowanie w przyszłości dla członków wycieczek do ChRL.

BOGDAN ŁAZUKA, aktor teatru „Syrena” i popularny piosenkarz, otrzymał Złotą Odznakę Towarzystwa „Polonia” za propagowanie kultury polskiej w skupiskach polonijnych. Dochód z ostatniego występu w Szwecji (w wysokości 28 tys. koron) przekazał wraz z zespołem na budowę Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Jego prywatne hobby, to zbieranie pocztówek z widokiem zachodzącego słońca (kolekcja zawiera 190 sztuk).

ARNOLD MOSTOWICZ (dziennikarz byłby redaktor naczelny „Szołek”), złożył w Państwowym Instytucie Wydawniczym książkę „Złota gwiazda i czerwony krzyż”, będąca sfałszowaną relacją z własnych przeżyć okupacyjnych (m.in. z pobytu w getcie łódzkim i Oświęcimiu). Dotąd publikował książki poświęcone biologii oraz... przybyszom z kosmosu. Należy do „Towarzystwa „UFO-video”. Interesuje się kosmologią. Jest laureatem nagrody im. Brunona Winawera, która otrzymał za popularyzację nauki. W wolnych chwilach lubi grać w karty.

W GALERII „AWANGARDA” WE WROCŁAWIU otwarta została 20 stycznia br. wystawa malarstwa, grafiki i rysunku rysarza Hungera — docenta PWSSP w Łodzi, rektora tej uczelni.

ŁÓDZKI ODDZIAŁ STOWARZYSZENIA TŁUMACZY POLSKICH zorganizował 23 bm. w MBP im. Ludwika Waryńskiego sympozjum poświęcone tematyce polskiej w literaturze światowej. Uczestnikom zaprezentowano trzy interesujące referaty, m.in. o literackim stereotypie Polaka oraz o polskich motywach w literaturze rosyjskiej.

W MUZEUM RUCHU MŁODZIEŻOWEGO W ŁODZI (przy ul. Gdąńskiej 107) 21 bm. otwarta została wystawa filatelijna pn. „Młodzież spadkobierca i kontynuatora postępowych tradycji narodu polskiego”.

14 STYCZNIA 1988 R. ZMARŁ W ŁODZI BRONISŁAW PUŁASKI, redaktor „Filmu na świecie”, aktywny działacz Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Swoje publikacje zamieszczał również na łamach naszego tygodnika. Położył duże zasługi dla upowszechniania wiedzy filmowej w naszym mieście.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W ŁODZI zaprasza na wystawę: „*Drzeworyty łódzkiego*” w Galerii Sztuki BWA (ul. Wólczańska 31) otwartej 21 stycznia br.: malarstwa Wojciecha Kaniowskiego w Galerii Bałuckiej (Stary Rynek 2) — czynnej od 26 bm.

W GALERII „78 OSIEDLOWEGO DOMU KULTURY „KAROLEW” (ul. Bratysławska 6a) prezentuje po raz pierwszy swoje, oryginalne prace z zakresu grafiki Rafał Cieślowski — absolwent PWSSP w Łodzi (dyplom uzyskał w styczniu br.).

DELEGATURA WOJEWÓDZKA OKBZH W ŁODZI — Instytut Pamięci Narodowej i Wojewódzki Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w Piotrkowie Trybunalskim zorganizowały 18 stycznia br. w Radomsku sesję popularnonaukową nt. „Okupacja hitlerowska w Radomsku i okolicach”.

Sesji towarzyszyło otwarcie wystawy poświęconej martyrologii ludności polskiej na tych terenach.

Opracował: JAK



Foto: Romuald Sakowicz

łowicz w roli przemysłowca Bartosza, ruchliwego, z inicjatywą, pamiętającego zawsze o swoich interesach, a w sumie sprawującego wrażenie, iż kreśli się wokół swego ołona. Bardzo mi się podobał Paweł Królikowski jako poeta Gwiazdźński, w zabawny sposób starający się każde zdarzenie zamienić w temat wiersza czy pieśni. Aktor inteligentnie pokazywał kabotyństwo pustych gestów i dwuznacznych postaw. Burmistrzowa w wykonaniu gościnnie występującej rosyjskiej aktorki Niny Czerkies to osoba śmiesznie wyobcowana w przedstawianym środowisku żyjąca własnym światem, reagująca na to co się wokół niej dzieje w sposób zwykle nieoczekiwany i groteskowy. Wyraziste role, dobrze komponujące się z klimatem przedstawienia stworzyli też Sławomir Maciejewski (Himl), Ewa Sobiech (Marzena), Rafał Zabiński (Hrabia) i w epizodach Emanuel Kraus.

Tajemnica autora, teatru i każdego z nas, widzów, pozostanie czy w tej historii z połowy ubiegłego wieku widzimy sprawy, które działy się i dzieją w naszej epoce. Złotawa figura stojąca na początku przedstawienia przed wejściem na scenę, w końcu zaś na środku sceny, wskazująca wyraźnym gestem kierunek — „do przodu” — figura przypominająca wielką postać naszego stulecia jest znaczącym symbolem. Dla małej wielkiej idei, którą ludzie potrafili rozniecić na drobne...

HENRYK PAWLAK

Teatr Studyjny '83, Karol Steigerwald — „*Tańce w stylu epoki*”, przekład — Irena Boitue-Hausbrandt, reżyseria — Bodołay G.Z., scenografia — Janci Mira, muzyka do piosenek — Janusz M. Grzelazka. Premiera — 16 stycznia 1988 r.

fleksji, poetyckiej wizji w kodu. Muzykę do tych piosenek napisał wymieniony w programie Janusz M. Grzelazka, słowa zaś Zdzisław Jaskuła.

Nasycone ruchem, barwą, świetną grą sceniczną, aktorów i muzyką przedstawienie jest bez wątpienia popisem umiejętności i artystycznego smaku reżysera w ekspozowaniu tego o co naprawdę idzie w złożonym treściowo utworze czeskiego dramaturga.

Koncepcji reżyserskiej podporządkowali się aktorzy. Grali przedstawiane przez siebie postacie to serio, to z przymrużeniem oka raz realistycznie, innym znów razem w konwencji parodystycznej. Nie dotyczyło to oczywiście postaci z głównego podestu. Praktykant nauczycielski Andrzej Krukowski jest romantycznym młodzieńcem granym serio i „stylowo”, a wierzyć się nie chce, że odwiedza jednocześnie damę nie najlepszych obyczajów i romansuje z uduchowioną i egzaltowaną panią, z którą będzie miał dziecko. Ale właśnie autor, tak kompromituje swoich bohaterów. Ciekaw zaś, narzeczona nauczyciela, w wykonaniu Ewy Białej jest w jakimś zakłamanym sposób romantyczna i patriotyczna. Wszystko jest u niej o ton za krzykliwe i jaskrawe. Momentami aktorka jakby trochę przerysowywała tę sytuację, ale także podejście broni się ostatecznie w przebiegu spektaklu. Trzecia postać z podestu: ojciec Calki, stróż nocny Rechtacz, włóczęga i domorosły filozof został zagrzany przez Mirosława Henke na jednej stronie, z przesadną oszczędnością środków.

Ala wróćmy do roli, o których wspominałem na początku. Kapitałnym burmistrzem i hotelarzem, Dziewiętkowskim, był Jarosław Dunaj. Stworzył soczysta i z rozmachem narosła postać, kpił z niej bezlitośnie, obnażał jej obudę i zakłamanie, ujawniał także sprzeczne pokłady mentalności klasycznego mieszcza. Dunaj pamiętał w tej roli, że efekt komizmu musi czemuś służyć, wyrażał nadziewany myśli utworu.

Sprawne aktoństwo prezentuje Tomasz Kubia-

Profesja nie hańbi

Dom publiczny, zwany nieco romantycznie domem schadzek a najdosadniej, jeśli państwo pozwola, burdelem odgrywał w życiu synów i ojców mieszczańskich rodzin rolę instytucji poniekąd wyższej użyteczności, wprowadzając młodzież męską pod opieką tatusiów czy wujków w dorosłe życie. Na procedurę młotnych usług zbijali zresztą niemałe pieniądze nie tylko wysłużone pensjonariuszki, znające arkana profesji i dające gwarancję fachowego prowadzenia firmy, lecz także nierzadko (jeśli wierzyć plotkom) najgłodniejsze matrony ze zubożonych sfer wyższych.

A ponieważ wiemy o tym coś niecoś z rozmaitych przekazów, ten kto próbuje pisać na ten temat, powinien by, jeśli ambitny, rzucić nieco światła na mniej znane kulisy i zakamarki albo po prostu rozbawić nas za wszelką ceną.

Wiadomo nie od dziś, że Francuzi dźwierżają prymat w wynajdywaniu rozweselających pomysłów w erotycznej dziedzinie życia, a wśród nowszej generacji autorów celuje w tym Pierre Chesnot, autor znanego nam „Czerującego łajdaka” — farsy rzeczywiście zgrabnie skomponowanej i zabawnej.

Poznajemy obecnie kolejną sztukę tego auto-

ra, której oczywistym celem jest rozbawienie publiczności sytuacjami, które zapewne mogłyby się przydarzyć w zubożonym mieszczańskim domu którego właścicielką, Izabela Saulnier, owdowiały nie potrafił się przestawić na życie z ołówek w ręku. Początkowo wbrew tej wiedzy, potem pod płaszczykiem samookłamywania się, a później z najgorliwszym jej udziałem mieszczańska siedziba w „porządnej” dzielnicy przeistacza się w burdel, z którego dochodów utrzymuje się cała plejada statecznych obywateli z synem właścicielki, komisarzem policji włącznie.

Gdyby jednak ta bezpretensjonalna sztuczka skomponowana była umiejętniej, bez początkowych dłużyzn, gdyby zabawnym sytuacjom towarzyszył dowcipniejszy dialog (owszem jest jedno świetne, qui pro quo między trojgiem postaci) i gdyby część wykonawców wygrywała swoje kwestie leż i żywiej!

Nie jest to wszakże utwór demaskatorski społecznie, jakim była swego czasu „Profesja pani Warren”. No, ale Bernardowi Shaw wystrzyli się społeczne widzenie w kręgach „Fabanów”, chciał więc trochę wstrząsnąć obudą i samozadowoleniem angielskich mieszczań, Pie-

Z półki recenzenta

DZIEŁO JANA TARNOWSKIEGO

Żył na przełomie XV i XVI wieku. Był hetmanem wielkim koronnym. Gromił Tatałów, Krzyżaków, Moldawian, Moskall i Włochów. U schyłku życia spisał swoje doświadczenia wojenne i ogłosił je pt. „*Consilium rationis bellicae*”. Mimo łacińskiego tytułu sam traktat jest napisany po polsku i dziś mówi się o nim, że „jest to pierwsze, w pełni oryginalne i zarazem najwybitniejsze dzieło staropolskiego piśmiennictwa wojskowego XVI wieku”.

Wi otwarto w meksykańskim mieście Guanajuato. Ekspozycja liczy blisko 500 obiektów, wśród nich obrazy Pabla Picassa, Salvadora Dali oraz liczne rzeźby i wyroby sztuki ludowej.

ATRAKCJA FESTIWALU

W lutym br. odbędzie się 38 już Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Berlinie Zachodnim. Niewątpliwą atrakcją tegorocznego festiwalu będzie retrospektywny przegląd filmów obrazujących historię barwnej taśmy, od jedno- i dwukolorowej do najnowocześniejszej — technicolor i eastmancolor. Niewątpliwymi „rodzynczykami” pokazu będą najwcześniejsze koloryzowane filmy z lat 1895—1910 udośćniane przez archiwum w Los Angeles, Nowym Jorku, Londynie, Paryżu, Sztokholmie, Rzymie i Koblencji. Zaprezentowany zostanie „Czarny Korsarz” z 1926 r. i na jego przykładzie — techniczna procedura koloryzowania filmów, zaś filmy Antonioniego, Coppoli i Go-

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Jerzy Jaruzelski, „*Stanisław Cat Mackiewicz*”, 1896—1966, 1400 zł (cena nominalna 580 zł); Stefan Żeromski, „*Dzieje grzechu*”, 500 zł (cena nominalna

350 zł); „*Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny* 2 tomy — 7500 zł; Juraj Porazik „*Samochody wyścigowe*” — 1000 zł (cena nominalna 600 zł); „*Stare parowoz*” 1300 zł; Günter Grass, „*Blaszany bebenek*” — 2500 zł (jeszcze rok temu żądano 5000 zł); Claude A. Ville, „*Biologia*” — 5.000 zł (cena nominalna 2750 zł — jeden z hitów giełdowych); „*Ptaki*” — 1600 zł; Józef Bieniek, „*Cichociemni*” — 1600 zł; John Ehrlichman, „*Waszyngton za zamkniętymi drzwiami*” — 1000 zł (cena nominalna 320 zł); Steven Runciman „*Dzieje wypraw krzyżowych*” (3 tomy, seria ceramowa PIW, szlagier giełdowy zeszłego tygodnia) — 10000 zł (cena nominalna 3500 zł); Stanisław Goszczurny, „*Meowy*” — 600 zł (cena nominalna 270 zł); Jerzy Topolski „*Zarys dziejów Polski*” — 1500 zł; Fiodor Dostojewski, „*Dzieła wybrane*” (6 t.) — 3500 zł (cena nominalna 2800 zł); „*Mały słownik języka polskiego*” pod red. St. Skorupki i H. Auderskiej, PWN 1965 — 3500 zł; „*Kamasutra*” (piwowska biblioteka „Mundi”) — 5000 zł;

Fraszki

ROMAN GORZELSKI

WYBEREDNY

Ja tam nie jestem Wybredny: Może być demokracja, A nawet Dobrobyty!

SMUTNYM

Nie ja was zasmuciłem, Abym miał pocieszać...

O NOGACH

Nie do każdej nogi Pasują ostrogi.

O PEWNEJ PRZYJAŹNI

Sercem i duszą — Też cię zaduszają!

(Ze zbioru „Srebrnikowe myśli”, Wyd. Łódzkie 1986 r.)

Znowu szli w górę rzeki, przechodząc przez bryzgi, na wioślach przepływali z jednego brzoza na drugi. Było gorąco, ale żona Nila Lawrientjewicza, jak usiadła na rufie, okutana w chustę, tak i siedziała, a on sam nie zdejmował brezentowego płaszcza przeciwdeszczowego.

Usłyszeli oddalony szum.
— Murski poroh — z troską poinformował Nil Lawrientjewicz.

Coraz częściej trafiały się podwodne kamienie, brad stawał się szybszy, narastał szum, przechodząc w nieprzerwany huk, w końcu ryczał wściekle. Rzeka przed nimi otulona była w ogromny biały obłok, z wody sterczały nagie kamienie, wysoko nad nimi pieniały się burzyny, szum był podobny do grzotu artylerji. Z lewego brzegu z dźwiękiem rykła wyrwała się rzeka Mura. U jej ujścia do Angary wznosiła się ogromna skała z granitowymi blankami.

Wyciągnęli łódki na brzeg, rozładowali, przenieśli rzeczy na poroh, potem wrócili i przeciągnęli tam łódź.

Boris już się nie męczył, odwrotnie, skarżył się, że idą za wolno, chciał jak najprędzej dotrzeć do Kiełmy, urządzić się, rozpocząć starania o przeniesienie Friedy. O tym, że się pobiora, nie wątpił.

— Nie ma ani narzeczonego, ani męża. Matka gdzieś pod Czernihowem. Jak ma żyć tak sama? Będziemy mieszkać w Kiełmie, do pracy jej nie puszcza, mlech się zajmuję domem, przyjdzie na świat dziecko, tutaj też dzieci się chowała, skończy się nam wyrok — wyjedziemy. Wyobrażasz ja sobie w Moskwie, w teatrze, w wieczorowej sukni? Żeby zdobyć dobrą żonę, warto pobyt nad Angarą. Zesłanie — na trzy lata, żona — na całe życie.

— Ona wybiera się do Palestyny.

— Głupstwo! Przecież jej. Jeszcze się nie poczuła kobieta. Będzie miała rodzinę, dom, dzieci — z tej jej Palestyny nie nie zostanie. Sasza wspominał wyraz uporu na pięknej twarzy Friedy i zadziwiła go ślepotą Borisa.

— Twierdzi nawet, że wierzy w Boga — ciągnął Boris — myślisz, że na poważnie? Pokaż mi współczesnego Żyda, który by na poważnie wierzył w Jehowę. Religia jest dla Żyda jedynie formą samoochrony narodowej, środkiem przeciw asymilacji. Ale asymilacja jest nieuchronna. Mój dziadek był cadykiem, a ja nie znam hebrajskiego. No więc pytam, co ze mnie za Żyd?

— Boris, widziałeś ja przez jeden wieczór. — I pięć minut wystarczy, żeby poznać człowieka. Zobaczyłem cie w komendanturze i powiedziałem sobie: z nim się dogadamy. I nie pomyliłem się. Widziałem już i bardzo białych, i bardzo niebieskich, i bardzo zielonych. Jeżeli spotkam prawdziwą kobietę, żadna inna nie będzie mi potrzebna. Kto przed ślubem był cacanym chłopczykiem, ten poleci za pierwszą snódnica, porzuci żonę, dzieci, zniszczy rodzinę.

Cokolwiek by kryło się za tymi rozważaniami — samotność, współczucie dla dziewczyny, która tak jak i on znalazła się w tym zapomnianym kraju — mimo wszystko była to miłość, nieoczekiwana u takiego rzeczowego człowieka, kobieciarza i bimbasa. Mówił o Friedzie i jego twarz rozjaśniała czułość.

Mineli wieś Czadobiec, gdzie wyznaczono miejsce pobytu nieboszczykowi Karczewowi, mijali jeszcze inne wsie, nocowali u znajomych albo u krewnych Nila Lawrientjewicza.

Sasza i Boris zaraz po kolacji kładli się spać, a Nil Lawrientjewicz długo siedział z gospodarzami. Przychodzili ludzie, przez sen Sasza słyszał trzaskanie drzwi, strzępki długich meskich rozmów.

Wstawali wcześniej, zbudzeni zapachem smażonej ryby, stukaniem drzwiczek od kuchennego pieca, przestawianiem naczyń.

— Jak się spało, nic nie pogryzło? — pytała gospodyni.

— Dziękuję, dobrze.

Rano nie przesadywali długo za stołem, śpieszyli się w drogę. Na ulicy już było słychać głosy.

— Do roboty już się zwołują — wyjaśniała gospodyni.

— Dziękujemy — Nil Lawrientjewicz wstawał, beknął, niedbale przeżegnał usta.

Po takich noclegach Nil Lawrientjewicz snuł w łodzi rozważania:

— Bo jakie to w naszych stronach kolchozy? Ziemia chudzińska, jak to w tajdze, przemarzła, nie Rosja, zboża się na wywóz nie urodzi, aby tylko siebie i dzieciaki się wykarmić. Co my państwu możemy zdać, nie nie możemy, okrom wiewiórki. Bywało, bydleko nad Lenę pedziliśmy, teraz miaka się nie dostanie. Przedtem najmowało się zesłanych, politycznych, las karczowali, a teraz nie karczujemy. I limby nikt nie wali.

Mineli Kalinińska osada, wieś, założona w trzydziestym roku przez tak zwanych specjalnych przesiedleńców, wysiedlonych z Rosji kulaaków.

Przywieźli ich pod sam koniec stycznia — opowiadał Nil Lawrientjewicz — chłopci, którzy śmielszy poszli do najbliższej wsi. Kody, liczyli, osiem wiorst, przyimicie, mówią, dzieciaki. Ale przelecieli się kodyciacy, jedno nazwisko noszą — Rukosujew, im własnych kulaaków też powysiedlali, zabrali najwięcej zapamiętanych, no to się przelecieli. Chłopcy nazad do lasu ziemianki kopać, a podłub no w ziemi, jak mróz i śnieg. Który pomarł, a który i wyżył. Na wiosnę las karczowali, pola porobili, orali, siali, naród pracowity, roboczy natód, znajacy. Teraz żyją, pomidory uprawiają. Przedtem pomidory uprawiał u nas Natolij Jegorow, zesłaniec z politycznych, śmiali się z niego, w głowie się pukali, naród u nas dziki, ciemnoty, a teraz dowiedli te kulaaki. No i państwo ma z nich pożytek.

Ostatnie zdanie wymówił znacząco, z naciskiem, podkreślił, że rozumie interes państwa i konieczność likwidacji kulactwa, i pożytek z uprawy pomidorów.

Ale mimo że się tak wymadrzał, widać było, że współczuje przesiedleńcom, on też ma dzieci, i sam jest takim samym człowiekiem jak oni. Jest wstrząśnięty tym, co się dzieje, nie wie, co będzie dalej, czy nie spotka go los chłopów z Ukrainy i Kubania, powyrwanych z rodzinnych miejsc i wypędzonych nie wiadomo gdzie i nie wiadomo za co. Sasza przewracał się nowym domem, niepodobnym do tutejszych. Typowe rosyjskie dwukondygnacyjne domy na drodze i przyjeździe pod ścianą — skrawek Rosji, wyrwany z ziemi rodzinnej.

zruczony do śnieżnej tajgi, ale odtworzony i zachowany tu przez Rosjan.

Sasza chciał zobaczyć tych ludzi, jacy są teraz. Ale ludzie wyszli do pracy, więc leżała cicha, spokojna i brzeg był taki sam, jak i w innych wsiach nad Angarą, promami i ściekami.

Żyją, tak jak wszyscy. Oczywiście ci, którzy przeżyli. Mignęła na zboczu góry wataha dzieci. Były to także te dzieci, które przeżyły, a nie zamarzyły w śniegu. A może narodziły się nowe.

I znów potężna, spokojna rzeka, granatowe skały, nieskończona taiga, słońce na błękitnym niebie, wszystko szczerze i obficie stworzone dla dobra ludzi. Spokojny szeroki nurt, płytkie bezimienne lachy. Na prawym brzegu widać Koda, gdzie wszyscy noszą nazwisko Rukosujew i dokąd przesiedleńcy zwrócili się o pomoc i nie otrzymali jej. I ta też jest cicha, spokojna, wyludniona.

19.

We wsi Dworlec rozstali się z przewodnikiem i jego milkiwa żona. Nil Lawrientjewicz pobledł na poczekaniu, wrócił z przewodnikiem, odbierającym przesyłki, wyciągnął z łodzi world, krztał się, sprzeczał. Na Saszę i Borisa nie

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



zwracał uwagi. Zabrał po drodze resztańców, kazali mu, no i przywiozł.

— Może zajdziemy do komendantury? — zaproponował Boris.

— Po co?

— Wyślą nas do Kiełmy.

— Dostaniemy się i bez nich. Skierowanie dał nam do reki.

— Moga być nieprzyjemności — skrzywił się Boris — dlaczego się nie pokazaliśmy, nie zameldowaliśmy. Po co ich drażnić takimi głupstwami!

Sasza nie chciał iść do komendantury. Jeszcze jedno spotkanie — jeszcze jedno poniżenie. Boris opanowany jest pragnieniem rozpoczenia starych, myśli tylko o Friedzie. Usłyszawszy o tym, że Dworlec stanie się centrum rejonu, chce nawiązać tu jakieś znajomości, kontakty, żeby ułatwić potem przyjazd Friedy do niego albo jego do Friedy. Fantasta!

— Jutro postanowimy — rzekł Sasza.

— Dobrze — zgodził się Boris — posiedź z rzeczami, poszukam noclegu.

Słońce chowało się za chmury, wiał chłus i zimny wiatr od rzeki, chwiała się wiotka wiklina na brzegu. Sasza narzucił na plecy palto, przyniósł walizkę. Tesknota ścisłała serce. Dlaczego nie poszedł do komendantury? Kwaśny poszedłby z zadaniami, i Boris chce iść, chce jakoś załatwić swoje sprawy, jego prawo. A on nie poszedł i nie pójdzie. Po tygodniowej podróży bez eskorty, po ogromnej rzeczce, doświadczył uczucia względnej wolności. Czyżby się miała już skończyć? Tutaj, na końcu świata, jest to szczególnie dziwaczne i nienaturalne. Nie, nie pójdzie! Iluzja, samooklamywanie się — niech tam!

Wrócił Boris, wesoło obwieścił:

— Teraz cię zapoznam z pozostałościami cesarstwa. Kucharz jęz. wysokość. Karmił księcia Jusupowa i Grigorija Rasputina. Niesłychany egzemplarz!

— W chacie, do której przyprowadził Saszę, siedział na ławce grubo stary z czerwonym nosem, w pocerowanym waciaku koloru ochronnego i pocerowanych spodniach włożonych w buty z rozciętymi cholewami. Obrzmiała, gładko wygolona twarz, równe jak mech, na jej ostrzyżone włosy zdradzały u niego człowieka z miasta.

— Poznajcie się — mówił podekscytowany Boris — Anton Siemionowicz. Szef kuchni jego cesarskiej wysokość.

— Jeżeli już, to nadworny kucharz — sprostował Sasza, z ciekawością przyglądając się staruszkowi.

Ten także spod półprzymkniętych powiek obserwował na Saszę.

— Antona Siemionowicza odwołuje Moskwa — kontynuował Boris — będzie karmił ambasadorów i dyplomatów. Kotlety „de volaille”, sos „provencale”. Znałem kucharzy w Moskwie. Rzecz jasna, nie da się porównać z pana sztuką, ale się uchowali. W „Grand Hotelu” Iwan Kuzmicz, zna pan?

— Jakoś nie pamiętam — odparł Anton Siemionowicz obojętnie: nie może pamiętać każdego Iwana Kuzmicza, ale każdy Iwan Kuzmicz powinien znać jego, Antona Siemionowicza.

— Całkiem przyzwoity kucharz — ciągnął Boris — oczywiście, jak jest z czego. Maitre Albert Karłowicz.

— Znam — krótko rzucił Anton Siemionowicz.

— Pełne kwalifikacje, reprezentacyjny — Boris jeszcze bardziej się ożywił po tym, jak znalazł wspólnego znajomego.

— A co on tam reprezentuje — opryskliwie

(32)

Odrzucając ciężkie spojrzenie i oddychając z trudem, Anton Siemionowicz niechętnie opowiedział:

— W stołówce pracowałem w dzielnicy. W menu napisałem „pierogi leniwe”. Zaraz prokurator: „Dlaczego leniwe”? Kpiny, znaczy się, z przewodników pracy. Pokazuje książkę kucharską, z tysiąc dziewięćset trzdziestego roku książka: „Pierogi leniwe”. Jasne? Nie, kłamiesz! Książkę też napisał kontrrewolucjonista!

Ze wszystkiego, z czym się tu zetknął Sasza, to było najbardziej absurdalne.

— Dzięki Bogu, wszystko się skończyło — powiedział Boris ze współczuciem — wszystkie oskarżenia cofnięto, wraca pan do domu.

— Do domu? — Anton Siemionowicz z nieważnością obrzucił na Borisa. — Gdzie on jest, ten dom? W Berdyczowie?

Tak, Boris dostał lekcję: nie zachwycać się każdym podejrzanym indywiduum.

— Ano, siemionicz, mać twoja w te i nazad przez siedem szaraw w dupe kopana! — powiedział Sasza.

— No, nie! — Boris wstał, podszedł do drzwi, zamknął je na haczyk.

— Co wv chłopcy? — niespokojnie wybełkotał Anton Siemionowicz. — Ja tak, na żarty!

— Ostatni raz żartowałeś, ścierwo — uśmiechnął się Sasza.

Boris uważył się na Antona Siemionowicza, przycisnął mu głowę do stołu.

— Chłopcy, puście — chrząknął Anton Siemionowicz, wycierając świąskie blade oczy.

— Nie do końca go. Boris, zostaw mi moja część — rzekł Sasza.

Ta obrzmiała morda z bladymi oczami była mu nienawistna.

Będzie sobie z nich kpiny urządzał! Gad! Szmata! Padlina! Towarzysz ze zsyłki! Kolega!

Obrzydliwa scena, ale zostali pogrążeni na dnie życia i z tymi metami nie można inaczej.

— Przeprasz, gadzie!

— Przepraszam — wychrypił Anton Siemionowicz.

— A teraz spadać do wszystkich diabłów!

Boris wypchnął go za drzwi, rzucił z gan-ku, wyczerpany opadł na ławę.

— Masz nadwornego kucharza jego cesarskiej wysokości — zaśmiał się Sasza.

— Wśród takich ludzi musi żyć Frieda — powiedział Boris.

Następnego dnia znaleźli łódki w swojej stromie. Pracownik spółdzielni zgodził się ich wziąć, jeśli podciągną łódź na równi z nim i przewoźnikiem. Do Kiełmy jest siedemdziesiąt kilometrów, i jeśli nie wylonia się niespodziewane przeszkody, beda tam za trzy dni. To był sukces.

Znieśli swoje rzeczy na brzeg do wielkiej, wyludowanej łodzi, która miała ciągnąć. Koko nie krztał się pracownik spółdzielni, wesoly, o pzyatej twarzy chłopak w brezentowym płaszczu i bokardach — wysokich do pachwiny butach podobnych do rybactkich, tylko że z kamusa — miekkiej jeleniej pończochy.

— Predko wyruszamy? — spytał Boris.

— Złatwimy dokumenty i pociągniemy — odparł spółdzielca.

— Wiesz, Sasza — znowu zaczął Boris, odciągnawszy Saszę na bok — jednak trzeba iść do komendantury. Powiemy, tak: znaleźliśmy łódź, rzecz już załatwowane, przyszliśmy tylko się zgłosić. Inaczej będziemy mieli w Kiełmie nieprzyjemności. Ten sukłisyn, kucharz jego cesarskiej wysokości oczywiście zakanaował im, że tu jesteśmy.

— Twoja sprawa — odparł Sasza zimno — możesz iść, ja nie pójdę. I nie mów, że tu jestem. Mam naznaczenie do Kiełmy i do Kiełmy przyjdę.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami Boris — ja jednak zajdę.

Wstał w niego bies czynu. Opanowany myślą o małżeństwie z Friedą, już wszystko temu podporządkował, bał się popelnienia błędu.

Boris nie powrócił ani za pół godziny, ani za godzinę. Spółdzielca poszedł złatwiać dokumenty, wrócił, a Borisa ciazle nie było.

— Idź, poszukaj kolegi — powiedział spółdzielca — czasu nie ma, pojedziemy bez niego.

Sasza nie wiedział, co robić. Nie mógł zostawić Borisa, ale iść do komendantury nie chciał, bo nawet za późno na to, zapytają, dlaczego nie przyszedł od razu.

— Poczekajmy jeszcze trochę.

W końcu zawiął się Boris, bez słowa wyciągnął z łódki walizkę.

— O co chodzi? — spytał Sasza, domyślając się co się stało.

— Skierowali mnie do Rożkowa — odpowiedział Boris. — Wyglądał jak upiór.

Rożkowie, malutka wiosczyna na lewym brzegu, mineli wczoraj z Nilem Lawrientjewiczem.

— Jak to tak, bez zgody pełnomocnika rejonowego?

— Maja prawo sami wyznaczać miejsce pobytu.

— Płuń na nich i jedziemy!

— Odebrali mi skierowanie.

Głos Borisa drżał.

— Nie rozpaczaj — powiedział Sasza — przyjedziesz do Rożkowa, napiszesz do Kiełmy albo do Kańska, zażadasz przeniesienia, przecież w Rożkowie nie ma dla ciebie pracy.

Przyjda do Kiełmy, też powiem pełnomocnikowi.

— Płuń na nich i jedziemy!

Odebrali mi skierowanie.

Głos Borisa drżał.

— Nie rozpaczaj — powiedział Sasza — przyjedziesz do Rożkowa, napiszesz do Kiełmy albo do Kańska, zażadasz przeniesienia, przecież w Rożkowie nie ma dla ciebie pracy.

Przyjda do Kiełmy, też powiem pełnomocnikowi.

— Płuń na nich i jedziemy!

Odebrali mi skierowanie.

Głos Borisa drżał.

— Nie rozpaczaj — powiedział Sasza — przyjedziesz do Rożkowa, napiszesz do Kiełmy albo do Kańska, zażadasz przeniesienia, przecież w Rożkowie nie ma dla ciebie pracy.

Przyjda do Kiełmy, też powiem pełnomocnikowi.

— Płuń na nich i jedziemy!

Odebrali mi skierowanie.

Głos Borisa drżał.

— Nie rozpaczaj — powiedział Sasza — przyjedziesz do Rożkowa, napiszesz do Kiełmy albo do Kańska, zażadasz przeniesienia, przecież w Rożkowie nie ma dla ciebie pracy.

Przyjda do Kiełmy, też powiem pełnomocnikowi.

— Płuń na nich i jedziemy!

Odebrali mi skierowanie.

Głos Borisa drżał.

— Nie rozpaczaj — powiedział Sasza — przyjedziesz do Rożkowa, napiszesz do Kiełmy albo do Kańska, zażadasz przeniesienia, przecież w Rożkowie nie ma dla ciebie pracy.

Przyjda do Kiełmy, też powiem pełnomocnikowi.

— Płuń na nich i jedziemy!

Odebrali mi skierowanie.

Głos Borisa drżał.

— Nie rozpaczaj — powiedział Sasza — przyjedziesz do Rożkowa, napiszesz do Kiełmy albo do Kańska, zażadasz przeniesienia, przecież w Rożkowie nie ma dla ciebie pracy.

Przyjda do Kiełmy, też powiem pełnomocnikowi.

— Płuń na nich i jedziemy!

Odebrali mi skierowanie.

Głos Borisa drżał.

— Nie rozpaczaj — powiedział Sasza — przyjedziesz do Rożkowa, napiszesz do Kiełmy albo do Kańska, zażadasz przeniesienia, przecież w Rożkowie nie ma dla ciebie pracy.

Przyjda do Kiełmy, też powiem pełnomocnikowi.

Polemiki • Listy • Opinie

PREMIA WESZŁA DO PŁACY

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” w nr 50 „Odgłosów” z 12 grudnia 1987 r. opublikowany został list p.t. „Dokreślenie szruby” autorstwa byłego pracownika naszego przedsiębiorstwa, Ob. Ryszarda Kulakowskiego. Dane liczbowe, jakimi operuje Ob. Kulakowski, nie odbiegają od prawdy, lecz jednostronny sposób przedstawienia zasad płacowych obowiązujących w Łódzkim Przedsiębiorstwie Robót Telekomunikacyjnych wprowadza w błąd czytelnika i rysuje sytuację przedsiębiorstwa w sposób karykaturalny.

Akcja, którą Ob. Kulakowski nazywa „likwidacją” premii, miała na celu uporządkowanie systemu płacowego pracowników akordowych i polegała na zaniechaniu wypłat premii jako odrębnego składnika płacowego z jednoczesnym podwyższeniem cen akordowych. Był to zabieg wyłącznie organizacyjny, zmierzający do uproszczenia systemu płacowego drogą wcielenia premii do plac akordowych — bez obniżania dotychczasowego poziomu wynagrodzeń.

Współczynnik udziału wynagrodzeń w wartości produkcji brutto (kształtujący się istotnie w granicach 6–8 proc.), ma charakter dyscyplinujący, określający możliwości płacowe przedsiębiorstwa w stosunku do wykonanej produkcji w aspekcie podatku od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń. Nie stanowi on jednak przeszkody do podwyższania wynagrodzeń drogą zwiększania wydajności i w tym sensie ma on charakter wyłącznie informacyjny.

Jednostka, w której zatrudniony był Ob. Ryszard Kulakowski, charakteryzuje się stosunkowo wysokim poziomem wynagrodzeń robotników. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie robotników (bez nagrody z zysku) wyniosło w Rejonowym Kierownictwie Robót Telekomunikacyjnych w Kielcach w 1987 roku ca. 28 tys. złotych — przy ca. 23 tys. pracowników administracji i kierownictwa tej jednostki i przy ca. 25 tys. złotych średnio na zatrudnionego w przedsiębiorstwie. Nie należą do wyjątków przypadki osiągania przez robotników wynagrodzeń w granicach 60–80 tys. złotych miesięcznie. Poziom wynagrodzeń robotników zależy jest wprawdzie od organizacji i charakteru robót, lecz również w nie mniejszym stopniu od osobistego zaangażowania pracowników. Podwyżki wynagrodzeń zasadniczych, o których pisze R. Kulakowski, mają miejsce dwa razy w roku i obejmują zarówno robotników, jak i pracowników zarządu.

W świetle powyższych danych nie znajdują uzasadnienia zarzuty Obywatela Kulakowskiego o podwyższaniu wynagrodzeń pracowników administracji i kierownictwa kosztem pracowników bezpośrednio produkcyjnych. Pragniemy nadmienić, że naszym zdaniem Ob. Ryszard Kulakowski zbyt krótko pracował w naszym przedsiębiorstwie (od 3 sierpnia do 4 grudnia 1987 r.) by móc wnioskować i rzetelnie ocenić jego sytuację i system płacowy. Prawdą jest, że przedsiębiorstwo od szeregu lat boryka się z trudnościami wynikającymi z niedoboru robotników i ich fluktuacji, lecz przyczynę tych zjawisk stanowi nie tyle poziom wynagrodzeń, co charakter wykonywanych robót, w których przeważają prace ciężkie, na otwartym powietrzu.

Prosimy o zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia na łamach Waszego tygodnika.
Łódź, 17.12.1987

Dyrektor Łódzkiego
Przedsiębiorstwa Robót
Telekomunikacyjnych
Inż. JERZY JANCAK

PKS W KRAKOWIE WYJAŚNIA

Odpowiadając na krytyczny artykuł „Z „Juventurem” niestety...” z „Widoków z Tatr” — Dyrekcja Okręgowa KPKS w Krakowie informuje:

Postępowanie wyjaśniające przeprowadzone w związku z obsługą kursu relacji Zakopane — Czarna Góra z godz. 19.15 w dniu 19.08.87 wykazało, że wymieniony kurs należy do kursów najbardziej obciążonych i nie zawsze jest możliwość zabrania wszystkich podróży oczekujących na ten kurs.

Kierowca w swoim wyjaśnieniu stanowczo zaprzeczył, żeby kiedykolwiek stosował segregację pasażerów przy wpuszczaniu ich do autobusu oraz stwierdził, że przy obsłudze kursów nigdy nie używa języka gwarowego. Biorąc pod uwagę fakt, że kierowca jest naszym długoletnim pracownikiem, nie mającym dotąd żadnych konfliktów z pasażerami, mamy podstawę przyjąć jego oświadczenie jako zgodne z prawdą.

W celu zaspokojenia potrzeb przewoźniczych, do obsługi przedmiotowego kursu stosowane są w miarę posiadanych możliwości autobusy wielopojemnościowe. Całkowite zastąpienie „Autosanów” autobusami typu M-11 nastąpić powinno w II połowie 1988 roku.

Podając powyższe wyjaśnienie uprzejmie przepraszamy za utrudnienia wynikłe podczas korzystania z naszej komunikacji.
04.12.1987
KAZIMIERZ HAJDAŁOWICZ
(z-ca dyrektora KPKS)

Z „JUVENTUREM” NIESTETY

Odpowiadając na krytyczny artykuł „Z „Juventurem” niestety...” zamieszczony w nr 34/1534 z dn. 22.08.1987 r. informuję, że w dn. 23.08.87 r. Biuro nasze zaprosiło wszystkich uczestników imprezy trampinguowej do Grecji, nr imprezy GT/1/87 w terminie 10–26.08.87 wraz z osobami pilotującymi tę grupę.

W trakcie spotkania dokonano następujących ustaleń:
1. Opóźnienie wyjazdu nastąpiło z winy Biura za co uczestników przeproszono i czynię to ponownie. Jednocześnie Biuro dokona pełnego zwrotu za utracone świadczenia na terenie CSRS.

2. Uwagi krytyczne dotyczące autobusu obsługującego tę trasę są bezzasadne. W polskich biurach turystycznych użytkowane są w równej mierze autobusy marki: TAM, Jelcz-Berliet, Ikarus, jak i Autosan. Autobus wykorzystywany na tej imprezie był sprawny technicznie, posiadał aktualną atestację i był wystarczająco obszerny jak dla tak małej grupy. Autobus ten posiadał 43 miejsca, a osób wyjeżdżających na imprezę było łącznie 32. Biuro organizujące od 4 lat na zlecenie Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej imprezy jeszcze dłuższe w czasie (miesięczne) i po dłuższej trasie w zblizonych warunkach transportowych. Dotąd nie wpłynęła z tego tytułu żadna skarga. Wprost przeciwnie — z tego tytułu Biuro otrzymało szereg pism pochwalnych. Natomiast zgodnie z tym co powiedzieli uczestnicy tej grupy — zabrano zbyt obfite bagaże osobiste, które nie tylko zajęły bardzo dużo miejsca w autobusie, ale były, jak się później okazało, najbardziej winne w całej tej aferze, niestety...

Zresztą wszyscy znający użytkowane w polskich biurach podróży autobusy wiedzą, że żaden z ww. autobusów tak naprawdę nie nadaje się do użytkowania w turystyce (poza „Ikarusem”). Z braku możliwości zdobycia innego tabołu użytkownika jest taki jaki jest. Najważniejsze w tej sytuacji jest to, aby autokar taki był sprawny technicznie oraz czysty. Te warunki autobus KS „Anilana” w pełni spełniał.

Dziwne jest natomiast autorowi artykułu, iż za złapane „gumy” na trasie ca. 5.000 km w tak zróżnicowanych warunkach klimatycznych i terenowych wini biuro turystyczne. Myślenie, że jeśli już jest ktoś winien to producent owych „gum”. Ale jest to chyba metoda autora. Także z kontekstu artykułu wynika wina WBTM „Juventur” za:

— palący się po trasie autokar pod Sikocowem.
— za „śmieci” i śmierdzący i ani jednego kranu z wodą... w Serbii na parkingach.

— w pewnym sensie chyba za taką, a nie inną odprawę celniczną na granicy LRB-Grecja, choć przepraszam tu redaktora, winę przypisuje jednoznacznie celnikom greckim (...)

3. Sprawa pilota. Postawiono w artykule zarzut, iż pilot nie zna żadnego obcego języka, zarzut lekceważenia uczestników, niefachowości niesolidności w rozliczeniach finansowych. Zarzuty mocne, dyskwalifikujące pilota do dalszej pracy.

Zarówno pilot jak i przedstawiciel Biura (kwaternistrz), posiadający uprawnienia GKFFIT, podlegała corocznej weryfikacji dokonywanej przez komisję złożoną z osób spoza pracowników WBTM „Juventur” Łódź. Pilot tej grupy legitymuje się znajomością języka rosyjskiego wymaganego (takie są umowy międzynarodowe) na terenie KDL, potwierdzoną przez komisję GKFFIT, a ponadto ma zaliczony z wynikiem pozytywnym egzamin państwowy i stopnia z języka niemieckiego.

Kwaternistrz posiada również stosowne uprawnienia pilotów z potwierdzoną także znajomością języków rosyjskiego i angielskiego. A więc zarzut nieznajomości jakiegokolwiek języka obcego przez pilotów jest zarzutem chybionym.

4. Chciałbym w imieniu Biura jednocześnie odpowiedzieć na kilka zarzutów bądź wynikających z nieznajomości rzeczy (uczestnicy imprezy odbyli 2 spotkania instruktażowe z pilotami i przedstawicielami Biura przed wyjazdem na imprezę), bądź też ze zwykłej złośliwości.

A więc po pierwsze:

1. Impreza nie była imprezą „bezdewizową” jak sugeruje wielokrotnie autor artykułu, tylko impreza trampinguowa, w której pełne koszty pobytu w II obszarze płatniczym (a więc zgodnie z Zarządzeniem Przed. GKIT z dn. 14.05.1981 r. w sprawie zasad wynagrodzeń pilotów wycieczek krajowych i zagranicznych — DU GKIT nr 1 z 1981 r. oraz Uchwały nr 102 Rady Ministrów z dn. 24.06.1985 r. w sprawie pokrywania kosztów podróży służbowych poza granicami kraju — MP nr 20/1985 poz. 154) — również diety i ryzykały noclegowe pilota pokrywają uczestnicy imprezy. Tak też został zatwierdzony preliminarz imprezy przez ZL ZSMP, Centralę BTM ZSMP „Juventur”, w wielkościach przewidzianych ww. przepisami. Preliminarz był do wglądu na ww. spotkaniach. Nikt nie kwestionował wtedy ani zasadności wydatków, ani ich wielkości. Również po imprezie poza kilkunastoma osobami z tej grupy nikt nie kwestionował zasadności i wysokości owych diet i ryzykałów. Było w tej grupie kilkanaście osób, które twierdziły, jakoby pilot zarobił po 150 dolarów — nie uwzględniając chyba faktu, iż pilot też spał i też jadł, a jechał służbowo.

2. Co do kwestii, czy była to impreza tania, czy droga zdania mogą być podzielone. Impreza w założeniach wstępnych kosztowała 55 dol. plus 44.100 zł. Faktyczny koszt imprezy wyniósł 44 dol. (po 11 dol. uczestnicy otrzymali zwrot w Grecji) oraz 43.694 zł (zwrot 1.016 zł nastąpił w listopadzie). Wystarczy porównać ceny w innych biurach np. „Gromada” — pole namiotowe 10 dni — koszt 31,5 dol. plus 11.000 zł. Impreza, która zapropionowaliśmy kosztowała jw., natomiast grupa otrzymała świadczenia następujące:

— przejazd po całej trasie Łódź — Grecja — Sofia, tj. 4.089 km, w tym w II obszarze płatniczym 2.700 km.
— przelot samolotem po trasie Sofia — Warszawa,
— całodienne żywienie w CSRS równowartość — 70 kcs.,
— nocleg plus wyżywienie na terenie WRL równowartość — 400 ft.,
— 11 noclegów na terenie Grecji,
— 2 noclegi plus 2 dni całodienne żywienie w LBR równowartość — 20 lewa.

Powyższe pozostawiam bez komentarza. Jednocześnie informuję, iż marża Biura na tych grupach wynosi 12,5 proc.

3. Sprawa kolejna mało sympatycznie opisana w artykule — dotyczyła rozliczenia pilota z dewiz pobranych przez uczestników: kwestionowany rachunek (jeden) posiada drobny błąd — zmieniona ilość osób (zgoda ze stanem faktycznym grupy); zresztą na zebraniu grupy — argument ten nie był nawet podnoszony. Natomiast na moje pytanie, czy pilot rozliczył się z grupą z dewiz i czy sa do pilota tego typu uwagi lub zarzuty — uczestnicy zebrania jednoznacznie odpowiedzieli, iż uwagi nie mają. Wszystkie rachunki dewizowe pozostały do wglądu w Biurze.

4. Założony program merytoryczny został zrealizowany (poza zwiędnięciem Delfi — co zostało uzgodnione z grupą i na życzenie grupy zaniechane). Grupa dodatkowo uczestniczyła w Festiwalu Wina na campingu Dafny w Atenach. Pobyt na tym campingu w dalszym ciągu pozostał sprawą kontrowersyjną: jedni chcieli uczestniczyć w Festiwalu, inni nie, a byli i tacy, którzy nie chcieli, ale im się to podobało i sa zadowoleni, że mogli dodatkowo bez kosztów obejrzeć trochę folkloru greckiego. Pilot podjął decyzję taką, jaką podjął, nie naraził nikogo na dodatkowe koszty. Może ograniczyli tylko innym dodatkowe zyski, bo camping nad morzem to na pewno nie camping w głębi lądu. Jak wynika to z drugiej części artykułu grupa z faktu uczestniczenia w Festiwalu była zadowolona.

5. Czara niezadowolonych z pracy pilota przełaziła się z chwilą odprawy celnej przy wyjeździe z Grecji. Celnicy greccy obciążili grupę kosztami jednego z brakujących aparatów fotograficznych. Część grupy uważała, iż koszty te powinien ponieść pilot za niedopilnowanie uczestników. Natomiast pilot i pozostała część grupy uważała, iż skoro nie ma tego, który ob aparat sprzedał — koszty powinni ponieść uczestnicy grupy. Nie wdając się w zawileś do dzieł ani jedno Biuro (a więc i pilot) nie ponosiło, nie ponosi ani ponosić nie będzie odpowiedzialności za tego typu zachowania uczestników. Natomiast za pomoc okazaną uczestnikom w tym zakresie Biuro będzie konsekwentnie rozliczało pilota z jego moralno-etycznej postawy. Dlatego też po przeanalizowaniu postawy pilota na tej grupie i po uzgodnieniu z Klubem Pilota podjąłem decyzję o odsunięciu Jego na okres 1 roku z dn. 1.11.87. r. za niezgodną z przepisami greckimi i polskimi wymianę dolarów USA na drachmy — dzięki temu (pilot rozliczył się z grupą w trakcie imprezy) grupa wydała mniej na pobyt w Grecji ca. 25.000 drachm. Pilot działał tu być może w dobrej wierze, ale w sposób nielegalny. I za to musi ponieść konsekwencje. Pozostałe zarzuty od strony formalno-prawnej w stosunku do pilota nie zostały potwierdzone na zebraniu grupy. Ostał się jeden zarzut o nieumiejętności pracy z grupą oraz o niekomunikatywności pilota, co w świetle przedstawionych argumentów i opinii części grupy pozostawiam bez komentarza, choć wolałem to pod uwagę przy podejmowaniu decyzji o odsunięciu pilota od pracy w tutejszym Biurze.

Reasumując, znakomita większość winy przypisywana naszemu Biuru (w tym również pilotom) jest... niestety chybiona. Szkoda tylko... niestety, iż Pan Redaktor nie zadał więcej pytań na zebraniach przed wyjazdem na imprezę trampinguową, jeśli nie wiedział na jaka imprezę jedzie.

Jeśli ktośkolwiek słyszy, iż wyjeżdża na imprezę „bezdewizową”, a żąda od niego wpłaty 55 dol. to natychmiast zadaje organizatorowi pytanie co to za „bezdewizowa” impreza. Nie sądzę, aby dolary USA Pan Redaktor nie zaliczał do dewiz. Myślę również, iż prawo do subiektywnej oceny, które jest zwyczajowo i formalnie przypisane do działalności dziennikarskiej nie zwalnia jednak przynajmniej od próby dotarcia do prawdy obiektywnej. Sądze, iż próba taka pozwoliłaby przynajmniej rozwiać niektóre kwestie formalne, przez co wydzik artykułu byłby niewątpliwie inny.

Przy czym chciałbym jednocześnie podkreślić, iż Biuro nasze zawsze przyjmowało słusze słowa krytyki jako rzecz pomocną w pracy Biura i będzie tak nadal postępować. Jednakże, nie możemy tak traktować krytyki wynikającej z nieznajomości rzeczy lub przepisów prawa.

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

Stąd też artykuł J. Stryckiego traktujemy nie jako artykuł krytyczny, ale przede wszystkim zbiór wiadomości nie sprawdzonych lub celowo tak podanych. Nie znamy tylko przyczyn. Niech to jednak pozostanie tajemnicą autora.

Opóźnienie w przekazaniu do wiadomości publicznej ww. zbioru informacji (przez co nastąpiło naruszenie przepisów prawa prasowego) wynikało przede wszystkim z dwóch powodów: — z późniejszego niż zapowiadano wydrukowania drugiej części artykułu,

— oraz chęci wyjaśnienia ze wszystkimi zainteresowanymi całości spraw, tak aby spróbować dociec prawdy, co przy tego rodzaju sprawach nie jest rzeczą prostą.

Wyrażam również nadzieję, iż treść niniejsza zostanie zamieszczona w Waszym Tygodniku bez skrótów.

Do wiadomości:
1. Centrala BTM ZSMP „JUVENTUR” Warszawa
2. KŁ PZPR Wydział Polityczno-Organizacyjny
3. ZL ZSMP.

Z młodzieżowym pozdrowieniem
zastępca dyrektora
ANDRZEJ WESTFAŁ

CO SIĘ KRYJE W CENIE?

„Odgłosy” z 9 stycznia 1988 r. zamieściły bardzo interesującą a jednocześnie bulwersującą wypowiedź Jerzego Malichy, dotyczącą pracy kierowców i motorniczych MPK. Pisze on, że kierowca czy motorniczy zarabia na godzinę 129 zł. Za pracę odpowiedzialną, nerwową, wyczerpującą, połączoną z nieustannym napięciem uwagi, z wstawianiem o godz. 3.00 w nocy.

Pragnąłbym dla kontrastu poinformować, że przeciętny mistrz brzytwy i grzebienia za trwającą nie dłużej jak 10 minut usługę pobiera 150 złotych, gdyby tylko strzygł, w ciągu godziny zarabia 900 zł. Pracuje w cieple, nie musi się zrywać o 3.00 w nocy, za nie nie odpowiada.

Powyższe refleksje dedykuję kierownictwom odpowiednich resortów ustalających zarobki tak kierowców i motorniczych MPK jak i różnych rzemieślników.

MIROSLAW PONECKI

OD REDAKCJI: Nie mamy zamiaru spierać się o to, że w Polsce nastąpiło zachwianie proporcji w systemie wynagrodzeń za pracę. Bardziej niekiedy płaci się za to, gdzie się pracuje, niż za to, jak się pracuje. Natomiast nie można porównywać rzeczy nieporównywalnych. Jeśli widzi pan tylko samą cenę za rzemieślniczą usługę, to popelnia pan podstawowy błąd. Otóż w tej cenie są zawarte również koszty usługi: pranie bielizny, sprzątanie, energia elektryczna, ciepło, woda i tak dalej. Dopiero po odliczeniu tych kosztów pozostanie czysta cena usługi, czyli sama robocizna.

W przypadku kierowcy MPK jest zupełnie inaczej. On dostaje tyle tylko za pracę, i ma obok tego inne świadczenia, o których też nie można zapomnieć. Nauczylimy się fascynować wielkością ceny, ale popatrzmy też czasem, z jakich części ona się składa. Można przy tej okazji dowiedzieć się wiele ciekawego i nauczyć.

JAK NA MAZURSKIEJ 44 MALOWANO KLATKI SCHODOWE

Ponieważ szlag mnie trafia na brygadę malarzy, która odnawia klatki schodowe w bloku przy ul. Mazurskiej 44 (PGM Łódź-Górna) ROM-4 piszę tych kilka słów.

W grudniu 1987 r. do naszego bloku przy ul. Mazurskiej 44 weszła z pracami malarskimi brygada. Tak się dziwnie złożyło, że zgodnie z ich harmonogramem klatkę V zaczęli odnawiać na dwa lub trzy dni przed Wigilią. Na początku ostro pili alkohol a dzień przed Wigilią oskrobal lampierem w całej 10-piętrowej klatce, po czym zniknęli. Wszyscy lokatorzy pozamiatali schody i zsypli i pozmywali, łącznie z windą. Gospodarz domu leżał w tym czasie w szpitalu.

Otóż 30 grudnia 1987 r. ponownie pojawili się panowie malarze i przy pomocy pompki dokonali malowania kredowego sufity i ścian. Co najmniej połowa farby znalazła się na schodach i drzwiach mieszkań. I ponownie pozostawiono nam niesamowity bałagan na Nowy Rok, bo malarze nie sprzątnęli i poszli sobie. Zgodnie z harmonogramem pojawia się przypuszczalnie około 4 stycznia i zaczęła brudzić nam klatkę schodową na olejno. 30 grudnia 1987 r. na klatce schodowej do późnych godzin nocnych rozlegały się złorzeczenia, przekleństwa i szloch lokatorów, którzy kilkakrotnie zmywali schody, drzwi, windę.

Nadmieniam, że ROM-4 wcale nie interesuje się co robi wykonawca owego odnawiania klatek, brak jest nadzoru nad malarzami, którzy większość czasu spędzają na piciu wódki.

Z poważaniem za mieszkańców V klatki

MICHAŁ LEŚNIEWSKI

Łódź, 31.12.1987 r.

TELEFON 36-77-70

W związku z notatką zamieszczoną w „Odgłosach” z dnia 28 listopada 1987 r. w rubryce „Na twój telefon czekają redaktorzy”, w której ob. Tadeusz Dzieciolowski informuje, że na ul. Pojezierskiej 1 od marca 1987 r. nie ma w całym bloku gazu wyjaśniamy że:

1. W bloku tym na skutek przeniesienia zaworu gazowego na zewnątrz budynku gaz został wyłączony 26 października 1987 r. Ponowne włączenie gazu mogło nastąpić po sprawdzeniu szczelności całej instalacji gazowej budynku oraz regulacji i naprawie niesprawnych kuchenek gazowych u lokatorów.

Na skutek nieprzejawienia wykonania tych robót przez Mazowiecki Zakład Gazowniczy w Łodzi z powodu braku mocy przerobowych zleciłmy je wskazanemu przez Zakład Gazowniczy rzemieślnikowi.

W dniu 4 listopada 1987 r. rzemieślnik przystąpił do wykonania robót i zakończył je 17 listopada. Po sprawdzeniu szczelności instalacji Mazowiecki Zakład Gazowniczy włączył gaz 20 listopada.

2. W „Odgłosach” z dnia 5 grudnia 1987 r. w tej samej rubryce zamieszczono notatkę, że ob. Dzieciolowski poinformował redakcję o włączeniu gazu 20 listopada, nie podając jednak sprostowania, że gaz został wyłączony nie w marcu, a 26 października 1987 r.

Łódź, 24.12.1987.

Inż. JAN DZIEDZIC
pełnomocnik zarządu
kierownik osiedla

Nawiązując do Waszej interwencji zamieszczonej w numerze 30 z 1987 r., w rubryce „Masz temat dla reportera?” informuję, że w tutejszym Urzędzie 3 grudnia 1987 r. i w dniach następnych nie została zgłoszona skarga na niewłaściwe zachowanie pracownika Wydziału Spraw Lokalowych.

Informuję jednocześnie, że użycie siły fizycznej w stosunku do interesanta podlega pod przepisy Kodeksu Karnego, a zatem osoba pokrzywdzona może zwrócić się z doniesieniem do Prokuratury Rejonowej.

Łódź 12.01.1988.

mgr ZBIGNIEW KALENBACH
(kierownik WSL UD Łódź-Górna)

A może do kina?

Wszystko na to wskazuje, że „LUK EROSA” wywoła znaczne poruszenie. Szczególnie u pań, jak sobie obiecują twórcy. Czyż takie, jakie towarzyszyło wydaniu powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego w 1919 roku, na motywach której zrealizował film Jerzy Domaradzki, trudno powiedzieć. Osamotniona młoda kobieta „z towarzysztwa” zaangażowana w patriotyczne inicjatywy, po jakimś czasie, ku zgorszeniu środowiska, zaczyna myśleć o sobie, odkrywając że jest obiektem pożądania wielu mężczyzn...

Scenariusz: Jacek Kondracki, Jerzy Domaradzki, zdjęcia — Jacek Biawut, muzyka — Michał Lorenc, a wśród wykonawców: Grażyna Trela, Jerzy Stuhr, Henryk Bista i in.



„POZEGNANIE Z AFRYKA” to głośny, nagrodzony film Sydneya Pollacka, zrealizowany w 1983 r. wg powieści Karen Blixen. Duńska arystokratka, dzieje jej nieudanego małżeństwa i tragicznie zakończonych romansu, wszystko to rozgrywa się w latach 30. na tle afrykańskiej przyrody — oto treści, jakie w swoich kreacjach przedstawiają w filmie Robert Redford, Meryl Streep i Klaus Maria Brandauer.



Stawianie na spółki

Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich wystąpiło do domu kultury „Energetyk” z ciekawą inicjatywą — zorganizowania kina wersji oryginalnej. Pomysł okazał się na czasie, bo na dużych ekranach filmów zachodnich tyle co na lekarstwo. A tu do dyspozycji tytuły prosto z ambasady. Interes obopólny niejako — z pokazów korzystają zapalczywi z towarzysztwa przyjaźni, także kursanci języka angielskiego.

Okazji do oglądania wideo w kinie i w domu jest sporo. „Energetyk” poszedł jednak dalej, podejmując współpracę ze szkołą filmową, która może udostępnić duży wideoekran wraz z rzutnikiem do profesjonalnych pokazów. Jest ona w posiadaniu uniwersyteckich filmografii Żuławskiego i Borowczyka. Nie może jednak organizować imprez dla miasta. Razem przygotowują więc przeglądy dorobku tych emigracyjnych twórców w niedawno wyremontowanej sali kinowej na 170 miejsc przy al. Politechniki. Ta modernizacja za 5 mln zł to z kolei efekt dogadania się 3 sponsorów!

Na przełomie lutego i marca światło dzienne ujrzy kolejny owoc współpracy z „filmówką”. Będzie to rodzaj „akademii filmowej” zaopieczanej na Uniwersytecie Śląskim. Od południa do północy trwać będą maratony kina fantastycznego i erotycznego.

W „Energetyku” kino szkolne ma już wieloletnią tradycję. Obecnie w ramach obowiązkowej edukacji filmowej młodzieży, dom kultury przygotowuje wybór tytułów wraz z prelekcjami, nawigując do programu nauczania języka polskiego. Kłopot w tym, że PWSFTiPT straciła cierpliwość do wywoływania statystycznych kopii, więc cała nadziejka w OPRF lub w wideokasach.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Wideo sezam

Wśród kilku wypożyczalni kasety magnetowidowych w Łodzi nieśmiało zabiega o popularność wypożyczalnia Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozwoju i Usług Filmowych przy ulicy Piotrkowskiej. Co nam oferuje? Czy jest dysponuje?

„Dysponujemy w tej chwili stu pięcioma tytułami — powiedział mi prowadząca wypożyczalnię, pani Małgorzata Bełżycka — lecz to nie jest ostateczna liczba. Powoli zwiększamy ofertę, ale...”. No właśnie, ale, na przykład, już dawno złożone w Warszawie zamówienia nie mogą się doczekać realizacji. A będą to propozycje, o które pyta wielu klientów, między innymi filmy muzyczne, dla dzieci. Spodziewane są także ostatnie hity ekranu, jak „Pokuta” czy „Obywatel Kane”. W tej chwili w największym wyborze są filmy dla dzieci i młodzieży. Dostępnym jest komedia zarówno polskich jak i zagranicznych, zwłaszcza francuskich z Luis de Funès. Można także wypożyczyć prawie wszystkie filmy Andrzeja Wajdy. Jedynie filmów muzycznych jest wciąż za mało.

Największą popularnością cieszą się filmy komediowe: „C.K. Dezerterzy”, „Seksmisja”, „Sami swoi”, „Nie ma mocnych”. Popularne, szczególnie wśród młodzieży są zekranizowane lektury szkolne. Klienci wypożyczalni nie darzą sympatią klasyki, zwłaszcza czarno-białej!

Najwięcej klientów to tak zwana prywatna inicjatywa, ale coraz częściej zaglądają przedstawiciele inteligencji, którzy w wypożyczalni poszukują filmów wybitnych. Klienci, którzy przyzwyczaili się do wypożyczalni, mimo przeniesienia jej ze Stoków pozostali wierni. Nowych natomiast jest niewielu. Myślę, że z pożytkiem i dla OPRF, i dla potencjalnych klientów byłoby wprowadzenie do wypożyczalni filmów z tak zwanego „pożarzanca”. Próby emitowania ich w telewizji zostały zablokowane przez „społecznych strażników moralności”, ale może OPRF, wbrew zagrożeniu ekskomunikacji, odważy się na wprowadzenie tych pozycji do katalogów wypożyczalni.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

12 ODGŁOSY

W środku lat sześćdziesiątych wyjątkową karierę na świecie zrobił film „Kobieta i mężczyzna” zrealizowany przez bardzo młodego wówczas reżysera Claude’a Leloucha. Film z jednej strony zasypywany został istnym deszczem nagród, ze Złotą Palmą w Cannes na czele, z drugiej zaś cieszył się ogromnym zwycięstwem u publiczności — zbieżność niezwykle rzadko spotykana. Ale to był dopiero początek długiej listy komplementów: reżysera chwalało nie tylko za wirtuozerski warsztat (Lelouch pracujący w kinie od 16 roku życia rzeczywiście był świetnym fachowcem), ale i za nowa-

„Uwaga: imitacja”

torstwo, szczególnie z powodu słynnej, improwizowanej sceny w bistro, kreacje aktorskie uznano za rewelacyjne, a na dodatek stwierdzono wyjątkowo głębokie potraktowanie fenomenu miłości u człowieka i gwizdano co bardziej miłośne fragmenty muzyki Francisca Lai.

Następne filmy Leloucha — „Żyć aby żyć”, „Życie, miłość, śmierć” — wkrótce potwierdziły tę diagnozę; zwłaszcza w tym drugim nawet mało wymagający widz pod łśniąca powierzchnią sugerującą niezbadane głębie szybko odkrywał wodę sięgającą zaledwie do poziomu genitaliów.

Sztuka jednak nie na tym polega, aby styl narzucić, ale na tym, aby go utrzymać. I Lelouch podjął taką próbę realizując w środku lat osiemdziesiątych „Kobieta i mężczyzna — 20 lat później”, dopuszczając się zresztą w ten sposób plagiatu wobec swego rodaka Aleksandra Dumas i jego trzech muskietierów.

Film zaczyna się brawurową jazdą kilku luksusowych samochodów; Jean Luis Trintignant bowiem, choć skończył już z wyścigami, z samochodami nie zerwał i pracuje teraz w serwisie Lancii. Zaraz potem oglądamy zdjęcia z planu filmowego, dowiadując się przy okazji, że Anouk Aimée została tymczasem producentem filmowym; niestety jednak jej ostatni film — na naszych oczach — robi kłopot. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: bohaterka, starając się ratować nadwątły majątek, postanawia zrealizować następny film, który w dodatku ma opowiadać o jej dawnej miłości.

Łatwo sobie wyobrazić, ile możliwości stwarza taki punkt wyjścia dla inteligentnego scenarzysty; bo i aż prosi się wykorzystanie fragmentów słynnego filmu sprzed 20 lat w cha-

„Nie dla każdego”

Rozmowa z TOMASZEM ZYGADŁO — reżyserem i scenarzystą

— Pana filmy budzą krąćcowo odmienne emocje zarówno wśród krytyków jak i publiczności. U jednych wywołuje pan podziw znakomitą wyuczonym językiem filmowym, trafnością obserwacji socjologicznej, podczas gdy pozostali widzą w nich coś odrażającego, podważają ich autorytet, twierdząc, że to tylko próba odwołania się do pretensjonalności, bełkotliwosci wypowiedzi i wydumanie problemów poruszanych w pańskich filmach.

— Nie jestem tym zaskoczony. Zartobliwie twierdząc, że emisja w telewizji mojego filmu „Odwet” doprowadziła do pojednania narodowego. Począwszy od „Tygodnika Powszechnego” a kończąc na „Trybunie Ludu” zgodnym chórem czytelników zostałem skarcony za swoje odrażające dzieło. Ja osobiście bardzo lubię ten film, może na tej samej zasadzie, na jakiej blondyn kocha swoje rude dzieci. Wydaje mi się, że byłem uczciwy wobec widza. Na początku filmu, w jednej ze scen pojawia się tablica ostrzegawcza z napisem „Nie Dla Każdego”, jest to sygnał do opuszczenia sali skierowany do widzów obojętnych wobec proponowanych przez mnie treści. Złozenie, że film jest dla każdego, jest złozleniem karkołomnym. Jak może być dzieło sztuki dla wszystkich? — Nie takiego nie istnieje. Tylko megalomani mogą twierdzić, że robią film dla wszystkich. Ja tego nie rozumiem...

— Wobec tego dla kogo pan realizuje swoje filmy?

— Dla ludzi o psychice zbliżonej do mojej. Jestem głęboko przekonany, że człowiek wrażliwy chętnie wysłucha opowieści o innym człowieku, a ja usurpuję sobie prawo, aby opowiadać o różnych smutkach, komuś, kto jest ciekawy moich historii. Bardzo wielu ludzi jest rozbitych, słabych i do nich adresuję słowa niejakiej pociechy, wychodząc z założenia, że polamaniec z polamanem jakos się dogada, jak Polak z Polakiem...

— A filmy „Cma” (1980), „Odwet” (1982), „Śmierć Johna L.” (1987) są tego najlepszym potwierdzeniem.

— Spośród pięciu filmów fabularnych, które do tej pory nakręciłem, te właśnie stanowią niejaka trylogię. Wprawdzie kręciłem je w nieco innej kolejności, ale dla mnie jest taka: „Śmierć Johna L.”, „Cma”, „Odwet”. Opowiadają one o losach ludzi dość rozdartych, którym przybywa lat...

— Zatem dokonuje pan rozrachunku z młodości: wiekiem dojrzłym i zbliżając się starości. Choć swoim bohaterom przygląda się pan z ogromnym ciepłem i wyrozumiałością, to jednak nie szczędi im pan ostrego krytycyzmu i gorzkiej ironii. Pańskie rozpoznania są bolesne.

— Kiedy się tak głęboko siedzi w filmie uczuciowym i myślami jak ja, to trochę musi być gorzko. Moje życie tak się potoczyło, że wiele doświadczeń zebrałem wcześniej niż moi rówieśnicy. Były to dla mnie bardzo silne przeżycia, przedwcześnie formujące świadomość, dojrzłość, widzenie świata. One właśnie, zwyciężając mnie uwierają. Chciałbym się pocieszyć swoimi spostrzeżeniami z widzami, ja nie potrafię, a przede wszystkim nie chcę robić innych filmów niż te, które robię. Muszę się jednak zastrzec — nigdy swojego życia nie kopiuję. Sytuacje w filmie nie mają prostego odniesienia do sytuacji w moim życiu. To jest w przeważającej mierze sprawa wyobraźni i obserwacji.

akterze wspomnień bohaterów, i nie nie stoi na przeszkodzie finezyjnej analizie ich aktualnych związków, nasuwa się też sposobność refleksji na temat współczesnego pokolenia, główne role w nowym filmie grają bowiem młodzi aktorzy (m.in. córka „filmowa” Anouk Aimée), nie mówiąc już o przebitkach z barwną egzystencją świata filmowego i samochodowego.

Każdy mniej ambitny reżyser by się tym zadowolił, ale nie Lelouch, który do tej mnogoci fascynujących elementów wprowadza jeszcze jeden i to nie byle jaki: psychiatryczno-kryminalną historię z dwoma trupami, kochanką i perfidnym mężem, naturalnie w dwu płaszczy-

znach: rzeczywistej i filmowej; Anouk Aimée porzuca bowiem wkrótce swój pierwotny pomysł (ale nie porzuca J.L. Trintignant) i zabiera się do przeniesienia na ekran właśnie owej straszliwej intrygi z demonicznym psychiatrą i jego nieszczyśliwą polowicą.

Sporządzenie z tak wielu składników paszetu, tzn. filmu, wymaga zdolności istic prestidigitatorskich i trzeba przyznać, że Lelouch wykazuje je w zadowalającym stopniu. Widz jest przykuty do ekranu pytaniami, które z jakichś tajemniczych względów zawsze, lubi najbardziej; kto kogo?, zjedzą się czy nie zjedzą?

Gorzej jest dopiero, kiedy projekcja się kończy. Lelouch bowiem, chociaż minęło 20 lat nie zmienił się ani trochę, nadal uważa, że wystarczy pokazać eleganckie samochody i psokaje, puścić piosenkę, która przekonuje, że „na szczęście miłość jest silniejsza od nas”, aby natychmiast wzbudzić w ludziach adekwatne uczucia i za nie daje się przekonać, że jest akurat odwrotnie, a mianowicie to właśnie uczucia potrafią z najbanalniejszej piosenki i najpaskudniejszego zakątka świata uczynić coś absolutnie wyjątkowego. Może zrozumie to za następne 20 lat, tylko kto będzie chciał oglądać romans siedemdziesięciolatków i czy w ogóle kino będzie jeszcze wtedy istniało?

RYSZARD NAKONIECZNY

„KOBIETA I MEZCZYŻNA. 20 LAT POZ-
NIEJ”, — reż. Claude Lelouch, zdj. Jean Yves
Le Meur, muz. Francis Lai, aktorzy: Anouk
Aimée, Jean Luis Trintignant, Richard Berry,
Evelyn Souix, Marie Sophie Pochat.

TVP

Telewizja — jak muzyka — powinna łagodzić obczaje, usmierzając frustracje, być domownikiem, z którym warto przestawać. Niestety, jest inaczej. To nasze małe codzienne okienko przeciętne od wczoraj coraz częściej denerwuje, irytuje i rodzi emocje, którym daleko do łagodności. A to nudzi publiczystycznym gaworzeniem, złości, byle taka amatorszczyzna niektórych prezenterów (zwłaszcza jednego, który cierpi na — by tak rzec — retorcję ejaculatio praecox: nie mi zdania bez pomylki w tym co mówi, bo mówienie wyprzedza myślenie), doprowadza do pasji polityka programowa. Można zawsze wyłączyć telewizor — doradza KTL, który uzboliwszy się w antenie satelitarną z polskiej tv ogląda bodaj tylko Dziennik.

Przecież nie o wszystkim zdołam w tym minifiletynie napisać. Porzestane zatem tylko na tych analizach które oziada stale ponad 70 proc. kilkudziesięciomilione-
wej telewidzów! czyli na telewizyjnym kinie. I zaraz na występie objaśniam: nie jestem demagogiem i nie będę żądał od dyktatorów z ulicy Jana Pawła Woronicza repertuaru opartego o najnow-
sze atrakcje i przeboje światowego kina. To jest niemożliwe, bo choć kiesa TVP jest wcale cieńka, ale nie w te walory które przekonaly-
by zachodnich dystrybutorów. Wiem, to wszyscy i niechaj w rozlicznych newsach z popo-
łudniówek zaprzestanie się wreszcie eksperymentować na co-
to nam właśnie telewizja po-
każe za tydzień lub za mie-
siąc. Przecież wiadomo, że

Jak
dlugo
jeszcze!?

beda to znów różne nasze przedwojenne ramoty, które powtarza się aż do znudzenia: różne „Antki cwaniaki”, filmy w rodzaju „Pana sie-
zeni” i inne „Niezapomniane melodie” z charakterystycznym
bubkowiactwem „aktora-
mi” i piramida fabularnego
głupstwa. Ze beda to pseudo-
hity sprzed czterdziestu
lat, które mogą ścigać przed
telewizorami niemowlęta, bo te
jeszcze nie były w kinie ani
razu, albo filmowe antylo-
ułożone w naprzecde skon-
struowane cykle. Nawet i to
zniosłoby tak jak muszą
znosić to miliony. Ale jest
rzecz gorsza, której mimo ja-
kiejś takiej inteligencji zro-
zumieć nie potrafię: dlaczego
filmy dla młodzieży, albo
inaczej mówiąc — dla po-
wszechnej publiczności wy-
świetla się około godziny 22,
albo o północy natomiast ty-
tuły nudne, wapiące w swo-
ich przesłaniach albo zwy-
czajnie nielike prezentacje się
pasjami tuż po dziennej, czyli
w paśmie tzw. największej
ogładalności. Przykłady? Bar-
dzo proszę: „Zulus Czaka-
ka”, „Krzysztof Kolumb”,
„Korzenie”, „Rzeka bez po-
wrotu” etc. etc. (nie mam
miejsca na dalsze egzemplifi-
kacje) wyświetla się późnym
wieczorem, natomiast po
dziennej idą rozmaite „Klau-
die”, głupie komedie francus-
kie lub „Późny start” itd. itd.
(zastrzeżenie jak wyżej).

Może któryś z dyrektorów
programowych od repertuaru
filmowego zechciałby te prak-
tyki objaśnić?

WIT ZAKROTA

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Skierowałem się ku drzwiom, ale wtedy ponownie zawołał mnie i odbyła się jakaś dziwna rozmowa.

- Macie rewolwer, towarzyszu Kolkow?
- Tak jest, towarzyszu Stalin — odpowiedziałem zdziwiony.
- Nie macie jednak zamiaru zastrzelić się z niego?
- Oczywiście nie — odpowiedziałem jeszcze bardziej zdziwiony — nawet przez myśl mi to nie przeszło.
- To doskonale — powiedział Stalin. — Doskonale! Raz jeszcze dziękuję, towarzyszu Kolkow. Do widzenia, don Miguel.

Następnego dnia Klimient Woroszyłow, wspominając w rozmowie telefonicznej odbyte w przeddzień spotkanie, jak zwykle życzliwie powiedział do Kolkowa:

— Niech pan pamięta, Michale, że pana cenią, kochają, ufają panu.

— No cóż, Myszko — powiedziałem, gdy brat mi o tym opowiedział — moim zdaniem jest to bardzo przyjemne.

— Tak, przyjemne — w zamysleniu powiedział Misza. — Czy wiesz jednak, co bardzo wyraźnie wyczytałem w oczach Gospodarka, gdy odprowadzał mnie wzrokiem?

— Co?

— Wyczytałem w nich: zbyt żwawy.

Zbliżał się rok trzydziesty siódmy. Poeta pisał: „Lata czterdzieste, lata nieszczerne... Wojna po Rosji hula...”

A niedawno zaczęto publikować wiersze o tym, jak to „Po Rosji hulały” lata trzydzieste. Pośmiertnie opublikowany został poemat Twardowskiego, „Rekwiem” Anny Achmatowej, wiersze Ołgi Bergholc...

BYŁY TO LATA TRZYDZIESTE

Naród czasy te nazywał „jeżowszczyzną”. Jak wyjaśnić dzisiejszemu czytelnikowi, co to takiego było? Jak opisać stan tysięcy ludzi o czystym sumieniu, którzy — każdej (każdej) nocy z zamierającym sercem nasłuchiwali, czy nie zabrzmi u drzwi dzwonek, a gdzieś nad ranem z ulgą oddychali i pogrążali się w ciężkim śnie, aby potem, w ciągu dnia z przerażeniem myśleć o kolejnej nocy. Jak opowiedzieć nastroje ludzi, którzy całym swoim jestestwem przeczuwali nieszczęście, ale nie wiedzieli, jak się ratować, gdzie się podziąć. Ludzie ci gorąco chcieliby zapytać kogoś o coś, wyjaśnić coś komuś, usprawiedliwić się, zaprzeczyć czemuś. Nie mieli jednak najmniejszej możliwości zrobienia tego, gdyż nikt im nie zadawał żadnych pytań, nie słuchał żadnych wyjaśnień, nie formułował wobec nich żadnych zarzutów, o nic nie oskarżał.

Taka, w ogólnych zarysach, była atmosfera „jeżowszczyzny”.

Działo się w latach trzydziestych

związanej z nazwiskiem malutkiego, o twarzy bez wyrazu człowieka, którego na szczybel władzy przyprowadzając o zawrót głowy wyniosł wszechmocny kaprys i z którego to szczybla tak łatwo i obojętnie został stracony.

Michał Kolkow został odwołany z Hiszpanii. Chodził tam i z powrotem po swoim gabinecie w „Prawdzie” i głośno rozmawiał.

— Myśle, myśle... I niczego nie mogę zrozumieć. Co się dzieje? W jaki sposób znalazło się nagle u nas w kraju tylu wrogów? I to kto? Ludzie, których od lat znaliśmy i szanowaliśmy, z którymi razem pracowaliśmy i wśród których żyliśmy. Dowódcy armii, ambasadorzy, komisarze ludowi, bohaterowie wojny domowej, komuniści ze starej, leninowskiej gwardii. I nie wiadomo dlaczego, zaledwie znajdując się za kratkami, w mgnieniu oka przynajmniej się do tego, że są zamaskowanymi wrogami narodu, szpiegami, agentami obcych wywiadów, że planowali zwrocenie ziemi obszarnikom a fabryk kapitalistom... O co chodzi? Czuję, że wpadam w obłąd. A przecież jestem członkiem kolegium redakcyjnego „Prawdy” i deputowanym do Rady Najwyższej. Wydawał by się więc mogło, że powinienem umieć wyjaśnić ludziom sens tego, co się dzieje, przyczyny takiej masy demistyfikacji i aresztów. A w rzeczywistości, jak ostatni nastraszony mieszczyzna, niczego nie wiem, niczego nie rozumiem, jestem zagubiony, zdetonowany, brodzę po omacku.

— Może ktoś — kontynuował — może Jeżow, nieustannie rozpała Jego podejrliwość, podsuwając skłonne na chybkę spiski i zdrady. Albo na odwrót, to On wytrwale i z wyrachowaniem podgrzewa gorliwość Jeżowa, drażni go, mówiąc, że ów nie widzi zdradźców i wrogów narodu pod swoim nosem. Podam ci charakterystyczny przykład, który wiele mi wyjaśnił. Gdy ostatnio zaszedłem do Mechlisa, zobaczyłem, że czyta on jakiś gruby zeszyt. Były to zeznania aresztowanego niedawno redaktora „Izwestij” Talja. „Wybacz, Misza — powiedział do mnie Mechlis z tym swoim uśmiechem — sam rozumiesz, nie mam prawa dać ci tego do czytania, ale jeśli chcesz, obejrzyj sobie Jego decyzję”. Spojrzałem. Czerwonym ołówkiem było napisane: Do towarzyszy Jeżowa i Mechlisa. Przeczytać i aresztować wszystkich wymienionych tutaj szubrawców. J.S.”

— Rozumiesz? — zapytał mnie Misza. — Ludzie, o których tam wspomniano, są jeszcze na wolności. Pracują, są być może drukowanymi w gazetach, chodzą z żonami do znajomych, do teatrów, wybierają się na wczasy gdzieś nad morze. Nie podejrzewają nawet, że są już „szubrawcami”, że są już skazani i w gruncie rzeczy zlikwidowani. Jednym poćwiczeniem tego czerwonego ołówka. Jeżowowi pozostały tylko szczegóły natury technicznej: załatwić „sprawy” i wypisać nakazy aresztu.

Słuchałem brata a serce ścisnęło mi złowieszca trwoga. Nie mogłem opętać się od myśli, że jego czeka taki sam los... Parę ruchów czerwonego ołówka na czyichś wymuszonych lub wymyślonych zeznaniach. Wkrótce pojawiła się okoliczność, która zwiększyła moją trwogę.

GOŚCIE Z HISZPANII

Do Moskwy przyjechali goście z Hiszpanii — dowodzący siłami powietrznymi republiki, generał Ignatiw Cisneros i jego żona, dziennikarka Konstancja de la Mora. Michał Kolkow przyjaźnił się z nimi w Hiszpanii i naturalnie postarał się okazać im w Moskwie życzliwe zainteresowanie. Pewnego wieczoru hiszpańscy goście jedli kolację w mieszkaniu Michała Kolkowa. Ja również poszedłem. Pamiętam, że właśnie tego dnia został wydrukowany w gazetach dekret o usunięciu Nikołaja Jeżowa i nominowaniu Lawrientija Beria na jego miejsce. Gdy usiadłem przy stole obok brata, powiedziałem do niego półgłosem:

— No i nie ma Jeżowa. Skończyła się „jeżowszczyzna”.

— Kto wie — niechętnie odezwał się Misza — może teraz podejrzaniymi stają się ci, których nie ruszył Jeżow.

Aż dwa dni mój brat bardzo żywo, z zabawnymi szczegółami opowiedział mi, jak przerywając sobie nawzajem, pełni temperamentu państwo Cisneros opisywali przyjęcie u Józefa Stalina, jak wstrząśnięci i oczarowani byli jego prostotą i dobrodus-

nością, jak miło się każdemu z nich przedstawił, ściskając rękę i równocześnie podając swoje nazwisko, jak zorientowany był w zyciorystie i zasługach bojowych Ignatio i jak uprzejmie wspominał jego pradziada, wybitnego hiszpańskiego admirała Cisnerosa. Wszystkie te fakty zawczasu były przygotowane przez Michała Kolkowa.

Słuchałem brata i jedno, jedyne pytanie nie dawało mi spokoju. W końcu je zadałem, mimo że z góry wiedziałem, co na nie odpowie:

— Powiedz, Myszko, a... A ciebie nie zaproszono?

Spojrzał na mnie swoim mądrym, wszystkim rozumiejącym wzrokiem.

— Tak — powiedział, bardzo wyraźnie wymawiając słowa — mnie nie zaproszono.

Rozwiązanie nastąpiło 12 grudnia 1938 roku. Tego dnia wieczorem Michał Kolkow miał w Centralnym Domu Literatów wykład na temat niedawno opublikowanego „Krótkiego kursu historii WKP (b)”. Stawna Sala Debowa klubu pisarzy była wypełniona po brzegi. Znalazłem dla siebie miejsce na górze, na chórze. W przerwie zszedłem do sali. Jak zawsze Michał Kolkow był otoczony ludźmi, ożywiony, wesoło rzucał dowcipne repliki. Po zebraniu, razem z jego poręcznikiem N. Bielajewem, podszliśmy w westybulu do niego i ja zaprosiliśmy wszystkich do siebie na herbatę Misza pomyślał i powiedział:

— Herbata to dobra rzecz, ale mam jeszcze parę spraw do załatwienia w redakcji. Jdę do „Prawdy”.

Umówiliśmy się, że się spotkamy nazajutrz. Ale nazajutrz nie zobaczyliśmy się. Już nigdy więcej się nie zobaczyliśmy.

Od pierwszych dni Wielkiej Wojny Ojczyźnianej (22 VI 1941) w duszy mojej zrodziła się nadzieja na uwolnienie brata. Byłem twardo przekonany, że on żyje. A przede wszystkim dlatego, że w ciągu całego prawie 1939 roku bezsporna oznaka jego istnienia i równocześnie jedyną nicią łączącą mnie z nim było nadawanie przekazów pieniężnych. Dokładnie trzy razy w miesiącu pojawiałem się w krótkim podwórku przejściowym, łączącym Kuźnicki Most z ulicą Puszczną i przekraczałem nieoporne drzwi, na których wisiała tabliczka z niejasnym napisem: „Pomieszczenie No 1”. W tym „pomieszczeniu”, przez malutkie okienko przekazywałem na nazwisko Michała Kolkowa, syna Jefima określoną sumę, podpisywałem się i dostawałem pokwitowanie.

Nie rozumieliśmy wtedy, że sam fakt aresztowania przesadzał o losie człowieka. Nie mogłem też wiedzieć, że brat jest w rękach jednego z oficerów śledczych-sadystów, wytresowanych w fałszowaniu „oskarżeń”.

POSZUKIWANIE

Gdzieś w początkach lutego 1940 roku nie przyjeżdżał ode mnie

mieszkiem i dodał po malutkiej pauzie: — Dość ostry jest pański brat. Jak noż. A nie zawsze jest to korzystne...

Potem pomilczał i poważniejąc nagle, powiedział:

— Niech pan posłucha. Pański brat był znanym i popularnym człowiekiem. Zajmował społecznie znaczące miejsce. Czy nie rozumie pan, że jeśli go aresztowano, to znaczy, iż była odpowiednia sankcja?

Nie można już było dać łatwiej do zrozumienia, że wszystkie moje pytania, indagacje i troski nie tylko są naiwne, ale i bezsensowne. Rozmowa wyraźnie zbliżała się do końca. Wstałem. Mój zadziwiony rozmówca zszedł ponownie jednak dowiekować:

— A mnie to dobrze — papiał wychodząc zza biurka i przechadzając się po obrzynie wywianie — nie mam żadnych braci i w ogóle żadnych krewnych. Miałem ojca, a i on umarł niedawno. Nie muszę się o nikogo bać i o nikogo troszczyć... Taak. A panu radzę spokojnie pracować i aby szybko zapomnieli pan o tej trudnej sprawie. A brat pański — dodał poufnie — jak sądzę, znajduje się teraz w nowych obozach za Uralem. Tak, prawdopodobnie tam.

Już wychodząc z gabinetu zatrzymałem się w drzwiach.

— Czy pozwoli pan — zapytałem — że za jakiś czas powrócę do tej sprawy i będę się ubiegać o jej rewizję?

W wodnistych oczach Ulricha znalazłem umieszczenie.

— Oczywiście, oczywiście — powiedział — Za jakiś czas...

Później dochodziły do mnie różne wieści o bracie. Ona też się interesowano. Wszelkie próby znalezienia brata speliły na niczym.

REHABILITACJA

W grudniu 1934 roku, w trzaskający mróz wyszedłem z budynku Naczelnej Prokuratury Wojskowej przy ulicy Siergieja Kirowa. W kieszeni miałem papier o następującej treści:

„Ob. Jefimow E.”

Informuję, że 18 grudnia 1934 roku Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR, na wniosek Prokuratury ZSRR uchyliło wyrok w sprawie Waszego brata Kolkowa Michaila, syna Jefima i przerwało postępowanie w jego sprawie z powodu braku znamion przestępstwa.

Po oficjalnym zaświadczeniu o przerwaniu postępowania wobec Kolkowa M. powinniście zwrócić się do Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR.

Z-ca Naczelnej Prokuratury Wojskowej

Pułkownik Praw

D. Tieriechow

Może się to wydać nieprawdopodobne, ale proszę mi uwierzyć, że otrzymując ten papier nie spuszczałem wzroku z drzwi znajdującego się w głębi przestronnego gabinetu prokuratora, będąc prawie przekonany o tym, że czeka mnie radosna niespodzianka, że zaraz się te drzwi otworzą i pojawi się w nich brat, już przeniesiony z odległego obozu do Moskwy... Tak się jednak nie stało. Wtedy, wzięwszy z rąk prokuratora papier i odciekawszy chwilę — zwróciłem się do niego:

— Towarzyszu pułkowniku! W trakcie zapoznania się z sprawą Kolkowa odbyliśmy kilka rozmów. Odpowiedziałem Wam na szereg pytań. Pozwólcie, że teraz ja zadam Wam jedno pytanie.

— Proszę.

— Gdzie znajduje się teraz mój brat?

Prokurator popatrzył gdzieś w bok i odpowiedział:

— O tym poinformuję pana tam, gdzie otrzyma pan oficjalne zaświadczenie o rehabilitacji. W Kolegium Wojskowym.

„Widocznie takie są zasady” — pomyślałem, podziękowałem i wyszedłem.

I oto, po czterech latach, ponownie jestem w gabinecie przewodniczącego Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR, generała-lejtnanta praw A. Czepcowa. Różowolnego poprzednika, który radził mi, abym „jak najżybciej o wszystkim zapomniał”, już nie ma. Słowy człowieka, że złotym generałskim naramiennikiem mówi do mnie uprzejmie:

— Właściwie nie musiał pan specjalnie tutaj przychodzić — mogliśmy ten dokument wysłać panu na adres domowy. Skoro jednak pan już tu jest... Cóż mogę powiedzieć? Z pańskiego brata usiłowałem zrobić agenta chyba z pięciu obcych wywiadów. Osoby, które fałszowały jego sprawę, a i wiele innych spraw, są teraz sądzone, i zostaną surowo ukarane. Nawiasem mówiąc, sprawę pańskiego brata mam tutaj i jeśli chce pan na nią spojrzeć, może pan to zrobić. Dokładnie czytać, sam pan chyba rozumie, nie można.

— Chciałbym spojrzeć — powiedziałem.

Generał nacisnął guzik, wydał polecenie pomocnikowi, który po kilku minutach położył na stole dwie grube teczki, przeważnie szpagatem. Patrzyłem na nie z przerażeniem. Potem otworzyłem teczkę z wierzchu i od razu zobaczyłem nakaz aresztu. Nie wiadomo dlaczego nie był wydrukowany, lecz pisany na maszynie. I nie wiadomo dlaczego nie na dole, gdzie zwykle jest podpis, lecz na ukos, przez całą kartkę biegł podpis, zrobiony krwawoczerwonym ołówkiem: Beria.

Dalej w teczce zobaczyłem bardzo dużo stron zapisanych drobnym, lekkim, eleganckim piśmem brata. Uporczyście, nie czytałem, zamknąłem teczkę i milcząc, wychyloką popatrzyłem na przewodniczącego Kolegium Wojskowego. Ten podał mi zaświadczenie o rehabilitacji. Wymieniliśmy uściski dłoni.

Po malej pauzie powiedział:

— A... Jeśli chodzi o... Bardzo mi przykro... Pan sam rozumie...

Nagle ścisnęło mi się serce.

— Co takiego, towarzyszu generale? Co mam rozumieć? Ja nie nie rozumiem.

— No... Muszę pana poinformować... Jednym słowem... Pański brat już nie żyje. Od trzynastego dziewiątego roku.

Gdy odzyskałem zdolność mówienia, powiedziałem:

— Nie, towarzyszu generale, to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim dlatego, że przez wszystkie te lata wiele razy dochodziły mnie wieści o nim. Z różnych miejsc, z obozów. Widziałem go, rozmawiano z nim.

— Widzi pan — miękko powiedział Czepcow — czasami nasze pragnienia przyjmujemy za rzeczywistość. Niedawno na przykład była u mnie żona Kosariewa. Jej też mówiono, że on żyje, pracuje. Gdzieś w kopalni. A tymczasem...

— Zgadza się, towarzyszu generale, ale mimo wszystko... W trzydziestym dziewiątym... Przecież proces odbył się w czterdziestym! A wyrok brzmiał: dziesięć lat obozu.

— Kto panu to powiedział?

— Pański, że tak powiem, poprzednik — Ulrich.

— Ach, Ulrich — powiedział generał z nie dającą się opisać intonacją i machnął ręką.

Dwudziestego ósmego czerwca 1972 roku, na domu przy Strastnym Bulwarze 11, gdzie przez wiele lat była redakcja tygodnika „Ogoniok”, założonego i od początku kierowanego przez Michała Kolkowa, odsłonięto tablicę pamiątkową ku jego czci.

BORYS JEFIMOW

(„OGONIOK”)

Opracował: HENRYK B. TYMIŃSKI



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: **36-77-70**

Na twój telefon czekają redaktorzy:

28 stycznia — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godz. 10—16

4 lutego — JERZY KWIECIŃSKI — godz. 10—16

Zdumiewa mnie ludzka wiara w słowo pisane. Każdy, kto telefonuje do redaktora pełniącego dyżur przy telefonie w redakcji „Odgłosów”, w każdy czwartek jest przekonany, że jego sprawa zostanie załatwiona natychmiast i ostatecznie lub przynajmniej otrzyma satysfakcję moralną po stożeniu bojów z losem i całym zastępem urzędników, którzy go lekceważyli, pomiatali nim i traktowali jak powietrze. A ja, po tej stronie przewodu telefonicznego, chciałbym tym dzwoniącym przychylić przysłowiowe nieba, choć wiem z autopsji, że jeszcze nikt nigdy nie zdołał pokonać czyjejś obojętności, niechęci i tępizmu. I jak dotąd nie udało się zwyciężyć wszechwładnego Biurokracęgo, największego świętego Trzeciej Rzeczypospolitej.

A oto garść spraw, z którymi zwracali się do mnie (właściwie do redakcji) ludzie z różnych miejscowości.

MARIA SULIKOWSKA z ul. Stefana 8 zaczęła od pytania: skąd ma wziąć gazę i ligninę, a pilnie owe materiały potrzebuje. Byłem zaskoczony, bowiem jako mężczyzna nie stosuję żadnych tego rodzaju materiałów higienicznych. Ale pani Sulikowska szybko wyprowadziła mnie z błędów: gaża i lignina są potrzebne jej córce ośmioklasistce do wykonania w szkole maski przeciwbakteryjowej na wypadek jeśli gdzieś w pobliżu eksploduje bomba atomowa. Pani Sulikowska odwiedziła wszystkie apteki w Łodzi i wszędzie ją poinformowano, że materiałów opatrunkowych nie ma i nikt nie wie kiedy będą. Niestety, ja także na ten temat niewiele wiedziałem.

JERZY KALUŻKA (ul. Inflancka 19) natomiast przysłał mi cały wywód na temat bezduśności naszych urzędników (nie mogę się powstrzymać przed publicznym oświadczeniem, że w przeszłości Jurek Kalużka był moim wieloletnim szefem, jako kierownik Działu Wydawniczego Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego). W jego piśmiennej skardze czytamy: „Otoż tego dnia (chodzi o 19 stycznia br. rocznicę wyzwolenia Łodzi), bez jakiegokolwiek uprzedzenia wyłączono w moim mieszkaniu dopływ energii elektrycznej”. A wszystko dlatego, że po raz pierwszy od 43 lat przeczytał, zresztą nie tak znów rozciągnięty w czasie, termin zapłaty. Spo-

strzegajmy owe „przestępstwo” szybko, bo 6 stycznia br. opłacił należność i na wszelki wypadek dołączył, od siebie, 150 zł kary! Naiwny, choć głowa przyprószone siwizną. Oto w dzień wyzwolenia Łodzi pracownicy Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto wyłączyli mu licznik jak człowiekowi notorycznie uchylającemu się od płacenia. A tu w lodówce kartkowe mięso, w mieszkaniu nikogo, bo akurat wyjechał, więc lodówka się rozmraża, zalewa kuchnię, woda przecieka do sąsiadów piętro niżej, wiktualy zaczyna się psuć. Samo życie.

Kiedy miałem dyżur reporterski w listopadzie ubiegłego roku zetknąłem się z takim traktowaniem po raz pierwszy, kiedy to zatelefonował do mnie mieszkaniec ul. Rodakowskiego, któremu też bez uprzedzenia (za zwłokę z zapłatą, pierwszą od 27 lat) także odłączono licznik.

Przykro mi, że nie mogę w wymienionych sprawach pomóc, natomiast chętnie zapytałbym dyrektora Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto, czy jemu nigdy nie zdarzyło się o czymś zapomnieć. Jeśli się nie zdarzyło, to proponuję nazwisko dyrektora umieścić w książce Guinnessa, jako absolutny rekord. A może by podeszść do takich jak te przykłady po prostu po ludzku?

ANONIM: dlaczego w liście dotyczącym balu sylwestrowego, jaki pani — anonim nadesłała do naszej redakcji, a jaki my wydrukowaliśmy, jej słowa „cała prawda” zostały wzięte w cudzysłowy? Nie wiem.

WŁADYSŁAW BOROWIECKI: po pierwsze — dlaczego Łódź, drugie miasto w kraju jest traktowana po macoszemu w zaopatrzeniu w dobra kultury? Mniej książek, filmy docierają tu wtedy, kiedy cała Polska je już obejrzy itp., po drugie — dlaczego nasz wydział komunikacji nieustannie ostrzega zamiast usuwać zagrożenia? Wystawienie znaków lub zawieszenie ostrzeżeń sprawy nie załatwia. Np. skrzyżowanie ul. 22 Lipca z al. Kościuszki. Co z tego, że zawieszono tablicę: „Uwaga wypadki”, kiedy zagrożenie pozostało i w każdej chwili może zdarzyć się tragedia.

MARIUSZ PANKIEWICZ został miłe zaskoczony uprzejmą obsługą w sklepie „Pewexu” w Rawie Mazowieckiej. Nawet sądził, że może personel został sprowadzony z Zachodu. Pyta więc mnie, dlaczego w Łodzi panuje niechęć personelu tych sklepów wobec klientów, skąd tyle nieuprzejmości, niegrzeczności i te miny księżniczek obrażonych na cały świat?

PIOTR GIERCZAK z Tomaszowa Mazowieckiego zadzwonił, bo już znikąd nie widział pomocy. Od 6 lat trwa batalia o zameldowanie się z żoną i dzieckiem w mieszkaniu po babci. Brat Piotra G. także starał się o to mieszkanie i w roku ubiegłym mu to mieszkanie przyszło. Ale brat początkowo studiował w Łodzi, potem odbywał służbę wojskową i sędziował mieszkanie właśnie na Piotra Gierczaka. Niestety Urząd Miejski w Tomaszowie Maz. nie kwapił się i nie kwapił do zameldowania go z rodziną w mieszkaniu po babci. Wiceprezydent poradził nawet, aby wpisał się na listę oczekujących na przydział mieszkania. Piotr G. pisał już gdzie się dało, ostatnio nawet do KC PZPR. No — i twierdzi Piotr G. — Urząd Miasta w Tomaszowie Maz. zdenerwował się: zawiadomił go, że budynek

idzie na szmiele. Rozbiórka, a więc nie ma o czym mówić. Piotr Gierczak pyta, co ma robić? I gdzie ma przechowywać rosnącą w zastraszającym tempie korespondencję?

J. K. (imię i nazwisko do wiadomości redakcji) z Konstancji nowa natomiast opowiedział historię jego batalii z Woj. Urzędem Poczt i Telegrafów, a dotyczącą paczki otrzymanej przez niego z ZSRR. Otoż paczka nie była uszkodzona, natomiast wewnątrz zniszczeniu uległa przesyłka. Kiedy pan J. K. zgłosił się nazajutrz na pocztę, usłyszał, że jest na reklamację za późno, trzeba było w czasie odbierania przesyłki dobrze ją obejrzeć. Zresztą nad okienkiem wisi stosowne zarządzenie. Pan J. K. jest prawnikiem i wysperzał w Dz. U. nr 54 z roku 1984 art. 64 ustęp 2 (Ustawa o łączności), że jeśli przesyłka nie jest uszkodzona a uszkodzona została jej zawartość, to może złożyć reklamację w ciągu 7 dni. Począł się upierać: paczkę należy sprawdzić przy odbiorze, pan J. K. natomiast uważa, że rozbebeszanie paczki w urzędzie pocztowym, na oczach tłumy, do tego w małym miasteczku gdzie wszyscy się znają, nie jest właściwe... Myślę, że pan J. K. otrzymała satysfakcję, tylko czy znikną owe napisy nad okienkami, a pojawi się wypis z Dziennika Ustaw?

JADWIGA SOCHACZEWSKA zatelefonowała przypominając, że oto minęła kolejna rocznica śmierci znakomitego poety Jana Huszczy, który tyle utworów poświęcił Łodzi, a nikt o tym nawet nie wspominał. Biję się w piersi w imieniu redakcji i chcę zapewnić panią Sochaczewską, iż wkrótce wydrukujemy kilka cennych fraszek poety.

ANDRZEJ STODOLNY chciał wymienić stary, bo wydany przed dwadzieścia laty, dowód osobisty. Owszem, można, termin trzy tygodnie. Przez ten czas trzeba chodzić bez dowodu, a jeśli się ma samochód należy postawić go na kotki. Chyba że zapłaci się 500 zł, a wówczas otrzyma się zaświadczenie. Pan Stodolny pyta czy teraz, kiedy jest tendencja do upraszczania wszelkich formalności, nie można byłoby i tej uprościć? A może po prostu zgłosić zaginięcie starego dowodu, a po otrzymaniu nowego ten stary zniszczyć?

T.D. (dane personalne do wiadomości redakcji) nawiązał do odpowiedzi dyrektora PP „Polmozyt” Jana Grzeska. Pan T.D. uważa, że dyrektor napisał brednie i bzdury. Naprawa jego fiata (gwarancyjna wymiana automatu światła wstecznego) trwała rok i odesłano go od Annasza do Kajfasza, zamiast wykonać dość prostą usługę. Teraz, zdaniem pana T.D. dyrektor Grzesiek pisze wykrętnie pisma, które i tak niczego nie wyjaśniają, a tylko zaciemniają — jasną przecież — sprawę.

KAZIMIERZ SUSZKIEWICZ z Sieradza mając bardzo skomplikowaną sprawę, opowiedzenie której zajęłoby może kilka godzin, pytał jak ma postąpić. Poradziłem, aby wszystko, co ma do powiedzenia, obszernie opisać i list przysłać do redakcji. Przeczytamy go z całą uwagą i życzliwością.

EUGENIUSZ IWANICKI

Komu i za co przyznałby pan (pani) nagrodę „Odgłosów”, gdyby to od pana (pani) zależało?

RYSZARD HUNGER rektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych:

Gdyby zależało to ode mnie, nagrodziłbym **RYSZARDA STANISŁAWSKIEGO**, dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi.

Ekspozycja, która kieruje jest rangi światowej, choć nie bawie na sztandarowych, najbardziej znanych nazwiskach. Twórcy wystawianych prac są może mniej znani, ale znakomicie i trafnie dobrani, tak, że reprezentują pewne tendencje w sztuce.

Idąc do tego muzeum zawsze można być pewnym, że zobaczy się sztukę na najwyższym poziomie.

W zbiorach znajduje się wiele prac Władysława Strzemińskiego, którego imię otrzymała nasza szkoła. Żadne muzeum w kraju nie ma bogatszej kolekcji jego obrazów. W Łodzi eksponowane są w sali zaprojektowanej przez samego malarza. We współpracy z dyrektorem Stanisławskim organizujemy sesję naukową poświęconą Strzemińskiemu, bo muzeum jest również rzecznikiem idei tego twórcy.

Dyrektor Stanisławski zawsze bardzo dba o powiększanie zbiorów. Ponieważ spora ich część poświęcona jest sztuce współczesnej, więc na bieżąco, gdy tylko pojawi się jakieś nowe zjawisko w twórczości plastycznej stara się, aby natychmiast wśród zbiorów pojawiły się eksponaty, które mogłyby je obrazować czy reprezentować.

Muzeum Sztuki poprzez liczne wystawy, które przygotowuje jest ambasadorem polskiej kultury (niewiele mamy takich instytucji w Łodzi), a również ambasadorem sztuki światowej u nas. Upowszechnia

nie tylko w sferze miejskiej, prowincjonalnej, a swoją oryginalność i wysoki poziom działalności zawdzięcza wysiłkom Ryszarda Stanisławskiego.

WIESŁAW JAŻDZYŃSKI: H-terat i dziennikarz:

W końcu ubiegłego roku ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego zbiór felietonów satyrycznych **WŁODZIMIERZA KRZEMIŃSKIEGO** pod tytułem „Pyszny, dziurawy plaster”, które w minionym dwudziestolecu drukowane były w „Odgłosach” w stałej rubryce „Lewym okiem”. Jest to znakomita i mądra książka. Autor pisał te felietony nie po to, aby jedynie zabawić czytających i popisać się lekkim piórem, ale starał się poddać materiał do przemyślenia, zastanowienia — kim my właściwie jesteśmy i do czego dążymy.

Włodzimierz Krzemieński jest kontynuatorem dobrej, polskiej tradycji tego gatunku felietonu reprezentowanej przez Boya, Kornela Makuszyńskiego, Zygmunta Nowakowskiego.

Bardzo cenię sobie całą prozę tego autora, która choć nie epatuje nadzwyczajnymi pomysłami, erotyzmem, jest głęboko ludzka. Dlatego właśnie **WŁODZIMIERZOWI KRZEMIŃSKIEMU** przyznałbym nagrodę „Odgłosów”.

HENRYK PAWLAK, redaktor naczelny „Karuseli”:

Do nagrody powinien kandydować **ZBYSZKO RZEŹNIAK**, prezes Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego

Prowadzi je już 27 lat i w dużym stopniu to jego własne zasługa, że mamy w Łodzi najlepszy salon fotografii w Polsce, a Towarzystwo działa tak prężnie — każdego roku

organizuje kilka interesujących wystaw, ma też na swoim koncie wiele sukcesów.

W ubiegłym roku na Ogólnopolskim Forum Sztuki Fotografii PFSF Uniejów 87 (na którym były przeprowadzone IX prezentacje i promocje fotograficzne) Towarzystwo zdobyło srebrny medal w konkurencji fototek stowarzyszeń.

Prezes sam jest doskonałym fotografikiem, ale nigdy nie starał się eksponować siebie, zawsze działał na rzecz kolegów i Towarzystwa. W najtrudniejszych momentach zawsze znajdował czas i energię dla propagowania sztuki, jaką jest fotografowanie.

RENATA SAS, kierownik działu literackiego „Dziennika Łódzkiego”:

Nad kandydatem do tej nagrody zastanawialiśmy się razem z kolegami z działu kulturalnego naszej gazety. W naszym wspólnym imieniu chciałabym zaproponować **PAWŁA NOWICKIEGO**, dyrektora Teatru Studyjnego w Łodzi.

Jego niekonwencjonalność, poszukiwania, próby tworzenia teatru kontrowersyjnego są warte wyróżnienia.

Red. JULIUSZ CYPERLING, dział literacki „Dziennika Łódzkiego”:

PAWEŁ NOWICKI nadał kierowaną przez siebie scenie bardzo wyraziste oblicze, które zdecydowanie wyróżnia ją i pod względem doboru repertuaru i kształtu inscenizacji spośród innych teatrów w Łodzi.

Proponuję Studyjnego, mimo że nie są adresowane do szerszej widowni zdobyły liczne grono widzów, najczęściej wśród ludzi młodych, którzy nie tylko zgadzają się na oferowaną „Inność”, ale jej wręcz oczekują.

Teatr kierowany przez Pawła Nowickiego zachęca do dyskusji, często ją prowokuje, wymaga od widzów aktywnego uczestnictwa w przedstawieniu. Można spierać się o definicję uprawianego teatru, zgadzać się z nim, lub go odrzucać, ale nie można pozostawać wobec niego obojętnym. A o to z pewnością chodziło i takie były założenia kierującego sceną Pawła Nowickiego, założenia dotychczas z powodzeniem realizowane.

ANTONI SZRAM, dyrektor Muzeum Kinematografii:

Wiemy wszyscy, jak ważny jest rozwój wzornictwa przemysłowego i jak wiele jeszcze

pozostało w tej dziedzinie do zrobienia. Dlatego nagrodziłbym **JERZEGO DERKOWSKIEGO** — głównego inicjatora akcji na rzecz wzornictwa przemysłowego w Łodzi.

Pracuje jako docent w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, przez kilka lat był również prorektorem w tej uczelni. Jest twórcą specjalizacji „metodologia oraz metodyka projektowania w ramach wzornictwa przemysłowego”, doprowadził do powstania w 1982 roku na uczelni Instytutu Form Przemysłowych i przez sześć lat był jego dyrektorem.

Również sam prowadzi działalność twórczą w zakresie projektowania — tylko w ciągu ostatnich dwóch lat 10 jego projektów było przyjętych do realizacji.

Za pracę dydaktyczną i swoją twórczość otrzymał już około dwudziestu nagród, przyznanych między innymi przez Prezesa Rady Ministrów, ministrów obrony narodowej, kultury i sztuki i rektora PWSSP w Łodzi.

W roku ubiegłym wybrany został przewodniczącym Rady Plastycznej przy Prezydencie Miasta Łodzi.

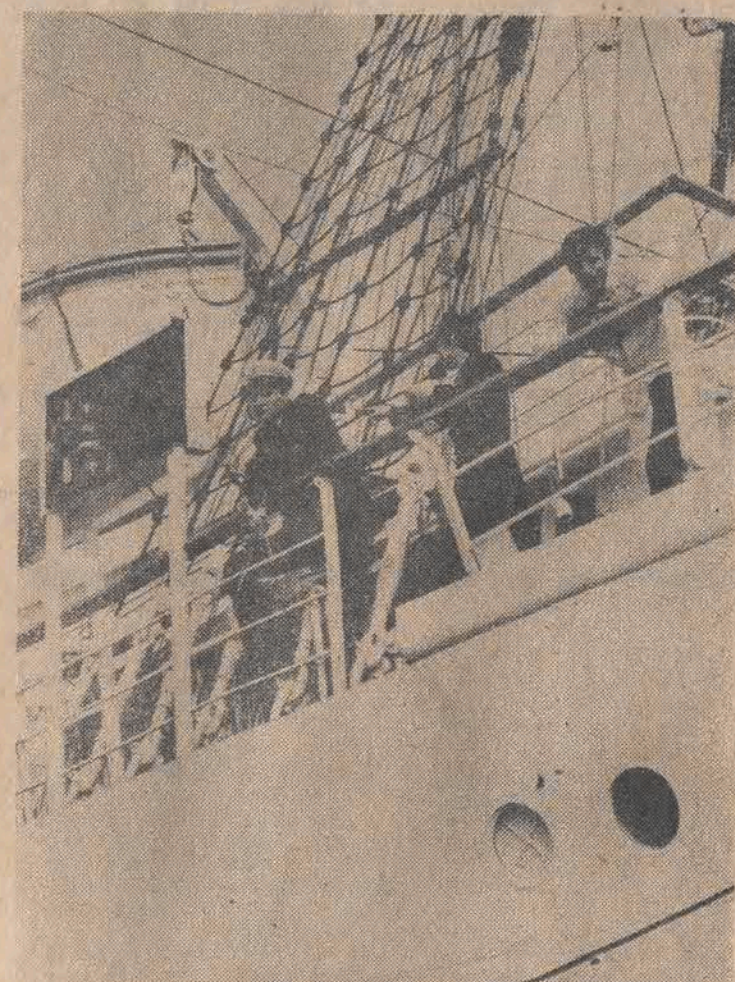
Jest inicjatorem i rzecznikiem utworzenia Łódzkiego Ośrodka Wzornictwa Przemysłowego, który prowadziłby dydaktykę społeczną w zakresie wzornictwa przemysłowego, pomagałby rozwijać współpracę między projektantem a przemysłem oraz mógłby dokumentować działania wzornicze w przemyśle łódzkim. Ta inicjatywa wydaje mi się szczególnie cenna. Jerzy Derkowski przygotował i opracował program działania dla tego ośrodka.

Swoją działalnością społeczną i pedagogiczną przyczynia się do rozwoju i upowszechniania kultury plastycznej w naszym mieście. Wierzę, że to właśnie Jerzy Derkowski otrzyma nagrodę „Odgłosów”.

Notowała:
ZOFIA KĘDZIÓRA.

„Dar Młodzieży”

WŁODZIMIERZ KAŁCZAK



Od lat prowadzimy swoją zabawę. I to tak wyrażanie, że nawet wpadki przednich i biegłych graczy przyjmowane są jak coś naturalnego, a w najlepszym razie z przymrużeniem oka.

Oto niedawno, jak to zwykle przed świętami bywa w naszych środkach, jak mówił kpiarz, masowego pokazu, namnożyło się wszelkiego rodzaju programów i audycji lekkich, wspominkarskich, w których powtarzały się rutynowe, a nawet bazarowe pytania świadczące o braku wyobraźni: jak się panu żyło, jadło, spało no i, rzecz zrozumiała, jak to będzie w nadchodzącym roku. Odpowiedzi przednich rozmówców były na tym samym mniej więcej poziomie.

Jednakże pewna audycja poruszyła mnie do głębi. Było to spotkanie przed mikrofonem tuż przed naszą żurnalistyką, obieżyświatów, którzy z różnych zakątków globu częstują nas najsmakowitszymi kaskadami z półmiskami wielkiego świata. Tych, którym wszyscy inni w zawodzie, i nie tylko, zazdrościli wysiadania miejsc w liniach lotniczych przedniej marki.

Otoż, jak przystało na czas i aktualne zapotrzebowanie, szanowni rozmówcy, pełni galanterii, łacie światowej swobody za-fundowali nam opowiadki, jak to się na Zachodzie żyje; że, owszem, zasobnie bo zasobnie, lecz niezwykle oszczędnie, gdyż zasada oszczędzania jest podstawową domeną w życiu nawet najbogatszych ludzi, a co dopiero pragnących bogactwa. Za-tem, wnioskowali uczenie, i my powinniśmy oszczędzać, jak przystało na ludzi pragnących czegoś tam i nie kierować się w życiu typowo polską zasadą: czym chata bogata. Tutaj posy-pały się liczne przykłady, którymi, ponoć, sam rozmówca był w pierwszych chwilach swojego zachodniego żywota zaskoczony.

Inny szanowny rozmówca przedstawił słuchaczom umoralnia-jącą opowiadkę, jakim to maleństwem w ludzkiej społeczności jest ten nasz nadwiślański kraj widziany z drugiej półkuli, krainą która, bywa, przeclętny światowiec wojażujący po mod-nych kurortach myli z naszymi sąsiadami i, ku zgorszeniu in-terlokutora, równie zdumiewa się, że my nie jesteśmy tymi, za których nas uważał i odwrotnie.

Kto nam powie: kim jesteśmy?

Jeszcze inny gość sprzed mikrofonu nadęty moralitet poświęcił naszej wiedzy o Zachodzie, w związku z tym i zachowaniu się rodaków, gdy im przyjdzie żyć wśród obcych. I wreszcie czwarty z rozmówców poczęstował słuchaczy równie pouczającą opowiadką mającą zilustrować różnicę paradoksy oraz wpadki, jakie przytrafiły się (dawniej oczywiście) naszym oficjalnym delegacjom (handlowym oczywiście) wyjeżdżającym za granicę.

Otoż miało on kiedyś okazję odwiedzić polskie stoisko na znaczącej wystawie handlowej w jakiejś europejskiej metropolii, czy gdzieś tam, i ku największemu zdumieniu spotkał gospo-darza naszego stoiska — oferowano ledwie, ha, ha! gwoździe i grabie! — który nie działał żadnym obcym językiem. A kie-dy spostrzegł jak nasz handlowiec próbuje na migi dogadać się z kimś zainteresowanym naszymi grabiami, wtedy, a jakże, wkroczył i próbował wprowadzić nieco europejskiego ład. Jed-nakże naszego reżolutnego żurnaliste zaskoczyło najbardziej to, iż gospodarz stoiska miast wysłuchać zachodniego klienta próbował mu tłumaczyć, oczywiście za pośrednictwem naszego świa-towca, jaką to my jesteśmy potęgą gospodarczą, hi, hi...

Wysłuchanie audycji mogłoby stanowić przednią zabawę, jak na przedświąteczny i świąteczny okres przystało, gdyby nie uno-siło się w tej rozmowie coś zawstydzającego, kompromitującego, owo przymrużenie oka, które wyraża się przecież pod różnymi postaciami, bodajby pod tym: „ha, ha! hi, hi! hmmm”.

Pod koniec audycji nasi rozmówcy już na dobre światowcy doszli snadź do punktu kulminacyjnego, w którym zwykli za-stanawiać się, czy aby nie zagalopowali się, więc by sprawę u-lagodzić przystąpili do wysnuwania wniosków.

Pierwszy, po głębokim namyśle stwierdził, iż czas najwyższy abyśmy zaczęli oszczędzać, bo tylko oszczędnością i pracą ludzie się bogacą, hi, hi, no i na pocieszenie orzekł ze znajomością świata i rzeczy, iż wielu dzisiejszych milionerów zaczynało od pucybuta.

Drugi najwyraźniej nawoływał, abyśmy obrali dla siebie wła-sciwe miary na życie i znali swoje dalekie miejsce w światowym zryku. Trzeci reżolut, na wyraźne pytanie, przyznał i pocieszył nas, że, owszem, zdarzają się Polacy, którym się powiodło, lecz natychmiast dodał: jakimż wysiłkiem, jakąż pracą! ho, ho! Czwarty wreszcie wysnuł prawdziwie odkrywczy wniosek, iż za granicę należy wysłać fachowców ze znajomością języków obcych, jak to się teraz dzieje i że, oczywiście, winniśmy za-prześcić handlowania byle czym, a tym tylko, co najlepsze i najprzedniejszej próby, bo tą tylko drogą możemy osiągnąć, po-kazać, ba! stać się...

No właśnie. Zabrakło mi tylko point. Bo otoż — na zakończe-nie zaznajom do końca — nie kto inny, jak ów czwarty roz-mówca opisywał kiedyś nasze osiągnięcia na tej anegdotycznej wystawie i naszą oszałamiającą ekspozycję, że znakomitymi gos-podarzami stoiska, w kółkowaniu dorównującym pierwszym postaciom japońskich potęg przemysłowych. Wszak to trzeci u-macniał mnie kiedyś w przekonaniu i wierze, że jesteśmy dru-gą potęgą w czymś tam, czwartą w jeszcze czymś innym, przewodnimy najciślej światowej dziesiątce czemuś tam i że łącznie, jak wyprzedzimy tych najlepszych. Drugi zaś krasnął kiedyś publicznie ze wstydu z powodu lapsusów, którzy — niczym szczyry — uciekają, gdy narodowi zaczyna być źle; że tylko tu, w kraju, należy jak należy... To wreszcie ten pierwszy był przecież kiedyś pierwszym, który ukazywał nam świetlaną przyszłość, nawoływał do wyzbycia się zaścian-kowego myślenia, zachowania jak bidule, do wypięcia piersi, jak przystało na to, kim jesteśmy i czas najwyższy nabzdyczyć się, jak ci z pierwszych potęg świata...

Kto nam wreszcie powie: kim my właściwie jesteśmy?! Spadkobiercami niegdysiejszej potęgi od morza do morza jak chcą niektórzy, czy też mieszkancami zadupia?

A może po prostu: zwyczajnym europejskim narodem pomie-dzy Tatrami i Bałtykiem, liczącym blisko 38 mln ludności i nieomal połową tej liczby żyjących na emigracji? Kto nam wreszcie powie: biedniśmy ze swoją nieudolnością, pijaństwem, wicherzycielstwem, czy bogaci — w szlachetne zrywy, talenty, tradycje kulturalne, konstytucyjne wzorce, po które sięgali naj-wiekszy, czy wreszcie bogaci w różniczne zasoby? Kimże jeste-my? Kto nam wreszcie powie, jak zwyczajnie żyć i pracować?

A może zacząć od tego, co nazywamy skromnością, kulturą — bycia, życia, pracy, higieny także? Tylko: aby uczyć trzeba być nauczonym, aby wychowywać — wychowanym.

MARIAN ZDROJEWSKI

1 Pod prąd

Jeśli chronić, to samotnych!

Szał przedpodwidykowych za-kupów powoli zaczął już jakow opadać. Co atrakcyjniejsze to-wary definitywnie zniknęły ze sklepów i prawdopodobnie nie pokażą się w nich znowu jak dopiero z nowymi cenami. Za to maki i cukru tym razem nie zabrakło. Wszystko wskazuje też na to, że zdecydowana większość społeczeństwa zda-żyła pogodzić się z myślą, że dochodzenie do stanu równowa-gi rynkowej będzie kosztować każdego z nas. Oczywiście je-dnych mniej, drugich więcej — jak to w życiu. Panuje przy tym dość powszechne prze-ko-nanie, że największą stratą eme-rycy i rencistów. Toteż o nich właśnie odzywają się zeszłą najgłośniejsze upomnienia, co na ogół budzi zrozumienie, gdyż już teraz sytuacja wielu tych ludzi jest nie do pozazdroszcze-nia.

„Ale „wielu” nie znaczy prze-cież „wszystkich”. Dlatego dzi-wię się temu, że najczęściej mowa jest o emerytach i renci-stach jako pewnej jednorodnej grupie obywateli, która jedzie na jednym wózku i najbardziej odczuć ma skutki zapowiedzia-nych na ten rok podwyżek cen. Dziwię się, gdyż w rzeczywisto-ści jest to grupa bardzo zo-żnicowana pod względem osią-gniętych dochodów i są w niej ludzie naprawdę biedni, jak i naprawdę bogaci. Przynajmniej jak na nasze warunki.

Wyodrębnianie jej z ogółu społeczeństwa uważam prze-to za przyrąk pomyłkę, którą na-leżałoby jak najszybciej wyja-snić i naprawić. Wbrew pozom granicą potencjalnego u-bóstwa nie jest bowiem wcale fakt pobierania przez kogoś renty lub emerytury. Łatwo przecież wyobrazić sobie na przykład rodzinę, w której żo-na jest rencistką otrzymującą, powiedzmy, dwanaście tysięcy złotych miesięcznie, zaś mąż — dyrektorem z poborami rzędu czterdziestu, pięćdziesięciu czy nawet więcej tysięcy. Czy ta-ka dwuosobowa rodzina jest i będzie w najbliższej przysz-łości w bardzo trudnej, tragi-cznej wręcz sytuacji finanso-wej? Na pewno nie. W stosun-ku do innych rodzin może być jej trudno, ale z całą pewnością da sobie jednak jakoś ra-de.

Jaka natomiast może mieć przed sobą perspektywę pięć-dziesięcioletnia rencistka rów-nież z dwunastoma tysiącami miesięcznie, ale będąca wdo-wą? Określa się to zazwyczaj: za dużo, żeby umrzeć, za mało, żeby żyć. I nie jest to wcale przesada. Wystarczy zapłacić dwa tysiące czynszu (w nowym budownictwie nie tak dużo), że trzysta złotych za prąd i gaz, następne trzysta za telefon plus jeszcze telewizor z radiem, niezbędne przejazdy komuni-kacją miejską... Po odliczeniu tych stałych i niezależnych od nas wydatków zostaje miesię-cie około dziewięciu tysięcy, które przy obecnym poziomie cen wystarczyć mogą w zasa-dzie jedynie na wyżywienie. A za co kupić odzież, obuwie, ga-zetę, książkę?

Znam kilka samotnych osób w średnim i trochę bardziej zaawansowanym wieku z taki-mi mniej więcej rentami i szczerze je podziwiam za to, że do tej pory potrafiły jeszcze zdobyć się na uśmiech przy po-witaniu. Co prawda, z roku na rok przychodzi im to coraz trudniej, ale fakt pozostaje fak-tem.

Podziw mój przy tym jest na tyle głęboki, że chętnie przy-lączyłbym się do społecznego komitetu budowy pomnika sa-motnego Polaka-rencisty — je-śli tylko taki kiedyś w przy-szłości powstanie — gdyż lu-dzie ci dokonują na co dzień zupełnie niewiarygodnych rze-czy, żeby z godnością dotrwać do śmierci.

Jeśli więc kogoś w Polsce Anno Domini 1988 należy rze-

czewić brać w obronę przed niektórymi zapędami reforma-torów naszej gospodarki, to przede wszystkim samotnych rencistów, a następnie samot-nych emerytów. Boję się tyl-ko, że kategorii samotności nie bierze się w ogóle pod uwagę. Ja w każdym razie jak dotąd o tym nie słyszałem.

JÓZEF RETMAN

P.S. Pragnę poinformować dyrektora „Ruchu”, iż w naszej redakcji jest do odebrania u-fundowana przeze mnie nagro-da w wysokości 10 złotych, któ-rą pozwoliłem sobie przyznać właśnie „Ruchowi” za refleks i operatywność w propagowa-niu czytelnictwa prasy. Bez-pośrednim powodem przyzna-nia wyżej wymienionej nagro-dy jest oferta „Ruchu” w po-staci naklejek (cena 5 złotych sztuka) reklamujących „Dzie-nik Popularny”, który od 1981 roku powrócił do dawnej na-zwy „Dziennik Łódzki”. Bra-wo!

J. R.

2 Spojrzenie z nad szachownicy

Książka dla każdego

Capo mafioso Frank D'Agri-cola oglądając po raz któryś tam z rzędu „Ojca chrzestne-go” ginie w jednym z podrze-dnych kin Nowego Jorku udu-szony zarzuconą od tyłu na szyję cienką miedzianą linką. Samochód, którym znany gangster Mark Stenewall wra-ca z więzienia do domu zo-staje zablokowany na odlud-nym objeździe i zalany stru-gami szybkoschnącego beto-nu.

Juan Fernandez, boss dziel-nicy portorykańskiej, ma sto-sunkowo najlepiej, znajduje bowiem śmierć dopiero po u-roczym obładowaniu z mis-trzynią wyrafinowanego ma-sażu Chinka Liu-Pei. Piękna Chinka nie jest jednak do końca miła: nakłania znużo-nego kochanka do kąpieli, pod-rzuca w łazience pojemnik z trującym gazem i zamyka drzwi z drugiej strony...

2.

Tymi oto monymi scenami francuski autor Serge Jacque-mard rozpoczyna swoją po-wieść „Requiem dla króla zbrodni” (KAW, Warszawa 1987, nakład 360 tys. egz.), któ-ra w czas jesiennej urolo-nu nabyłem za głupich 280 zło-tych. Przed świętami dzieło to pojawiło się w Łodzi i ku-powane je na wywródkę, a że w utworze dorachowałem się czterdziestu i kilku rozmaicie ukatrupionych ofiar, dla brata Polaka nie wypadło to drogo, nawet nie siedem złotych za nieboszczyka.

Czy zadanie natomiast, ile supermorderca Harry Schulz zaśpiewał za wyprawienie na tamten brzeg niejakiego Bar-ta Scalio, człowieka, który zaprzagnął przejąć kontrolę nad podziemnym światem USA i zachodniej Europy? Mi-lion dolarów, wprawdzie już z wliczonymi kosztami, ale za to bez podatków, na które tak narzekają zwiazdorzcy filmo-wi i wielcy mistrzowie spor-tu.

I Harry wykonał ten kon-trakt ku zadowoleniu czytel-ników, słamazarnych służb policyjnych, oraz biorących u-dział w składzie tych szefów zagrożonych gangów, którzy przeżyli aż do 323 stronicy. Niektórzy z udziałowców gi-na co prawda wcześniej, ale to już ich winy, nie dość bo-wiem uważali.

3.

Harry Schulz jest w ogóle ciekawa postać. Zna kilka-naście języków w tym ezot-ryczne, jak polski, malajski, jidysz i węgierski, choć polski — powiedzmy to ze smutkiem — nie przydał mu się do ni-czego. Słowny, lojalny, su-miennie przykłada się do pra-cy, jaka by tam ona nie by-ła, a choć zdaje się być sko-powany z „Dnia szakala”, am-

bitny autor nie poskaplił mu uszlachetniającego reżusu. Pisze o nim z prostotą: „Nienawidził zabijania, kie-dy to nie było konieczne. Mor-dowanie tylko wtedy akcepto-wał, kiedy był za to opłaca-nu, wychodził bowiem z za-łożenia, że jeśli ktoś płaci za-zabicie kogoś innego, to zna-czy, że ma poważne powody, żeby tak uczynić. I rzadko się zdarzało żeby wyznaczona o-fiara zasługiwała na życie. To zapewniało Harryemu czyste sumienie”.

4.

W tym miejscu czytelnik może wreszcie zapytać, po dia-bła i te powieści streszczam i to jeszcze z tak ślicznymi cy-tatami, kiedy w tych oto „Odciosach” poważni ludzie w poważny sposób piszą o po-ważnych książkach. Otoż jest powód i to wcale poważny.

Przeczytałem mianowicie rzecz do końca, choć cholera mnie brała, gdy piekielny Har-ry wypożyczył łódź podwo-dną, z łodzi wysadził desant na wojenny okręt zaciemowa-nu u tureckich wybrzeży, a ze zdobytego okrętu ostrzelał starożytny zamek, w którego baszcie akurat uczłował na-skuśny Scalio. Ten wpraw-dzie zdążył uciec w porę, sam jednak pomysł jest na miarę dardanejskiego osła, kto zaś nie wierzy, niech poczyta o sukcesach aliantów, którzy w czasie I wojny światowej pró-bowali z morza atakować Dar-danele.

Tak czy owak przeczytałem te książki, a moja nieszcze-sna żona uczyniła to również. Dorosłe dziecko, które uchodzi za osobę edukowaną, zmo-gło dzieło w wannie, trochę je brzy okazył mocz. Koleżan-ka pominięta, również uczo-na i wszechstronnie aktywna uniosła ze sobą ten właśnie utwór, a nie żaden inny. Po-tem zabrał się za niego mąż koleżanki, silnie — dodajmy — zaangażowany społecznie. Co dalej, to już nie wiem, pe-wno teraz czytują „Requiem” w jakimś przedszkolu albo przeciwnie — w domu star-ców.

5.

I o to właśnie chodzi! Obie-cywałem książkę dla każde-go, jest książka dla każdego, ciesząca zgodnie autora, czy-telników i wydawcę.

Czy jednak w dobie likwidowania dotacji nie stać nas na równie ambitną anty-impertowną produkcję? Czy wyprzedziłyśmy trochę spod ogo-na i nikt nie jest w stanie u-nieść lutni Marczyńskiego?

Do roboty, nieknie banie i szlachetni panowie, do robo-ty!

JERZY P.

3 Sport

Dlaczego okrzyk radości zwiądl mi na ustach?

Wśród dziesiątki wybranych przez czytelników „Przeglądu Sportowego” najlepszych spor-towców roku 1987 znalazł się też Marek Piotrowski. Nie po-winno to nikogo dziwić, gdyż w minionym 1987 roku zdobył wszystkie, co było do zdobyc-a w jego dyscyplinie. Wprawdzie on sam nie liczył, że znajdzie się w pierwszej dziesiątce na-jlepszych, co najwyżej w dru-giej, ale stało się. Jest się z czego cieszyć. A przecież jest w tym coś dziwnego.

Formalnie rzecz biorąc, to Marek Piotrowski nie powinien być na balu sportowców w Ho-telu Europejskim w Warszawie, a co więcej powinien być su-rowo osadzony przez władze sportowe i nie tylko. Wtrącony niemal do głębokiego lochu i ukarany chlebem i wodą. Za co? Jak to za co? Uprawia on

bowiem sport, którego nie ma, który — co więcej — jest za-kazany. Uprawia mianowicie kick-boxing.

Nie podejmuję się wyjaśnić, co to jest kick-boxing. Podej-rzuję, że bez powodu, że w Polsce mało jest ludzi, którzy podjęliby się wyjaśnienia reguł tej dyscypliny. Mogę jedynie powiedzieć, że jest to coś w rodzaju połączonego boksu z karate. Formalnie też sekcja kick-boxing należy do Polskie-go Związku Karate.

Uznanie wyrażone przez ki-biców sportowych Markowi Piotrowskiemu za jego między-narodowe sukcesy zmusiło mi-nistra Aleksandra Kwaśniew-skiego do zrewidowania dotych-czasowego stosunku do kick-boxingu i zapewnienia, że w przyszłości — chyba już nieda-tek — zdejmię się z tej dys-cypliny sportowej urzędowa-anatemę i powoła się nawet Polski Związek Kick-boxingu. Można w tym momencie z ra-dością wznieść okrzyk: — Hurra!!! Nowe idzie! Ale o-krzyk wędnie mi na ustach, bo mnie nasza myśl pewna.

Nim o niej opowiem, chcia-lbym przedstawić pokrótce syl-wetkę Marka Piotrowskiego. Dziwny to bowiem sportowiec, nietypowy jakiś taki.

Oto dwa fragmenty wypowie-dzi o sobie samym. Wypowie-dzi te zaczerpnęłam z rozmowy z Grzegorzem Krzemuskiem z Markiem Piotrowskim. Rozmowa ukazała się w „Przeglądzie Sportowym”, który prezentu-je laureatów swego plebiscytu. Oto wypowiedź pierwsza:

— „Jestem dobrze przygo-towany, wówczas jadę wygra-wać i to mówię. A swą drogą w sporcie, zwłaszcza sportach wal-ki, psychika odgrywa — moim zdaniem — najważniejszą rolę. Przydzielam jej 10 procent war-tości. Resztę — techniki i tak-tyki, można się przecież nau-czyć”.

Marek Piotrowski, choć osią-gnął wiele, nie jest z tego ani z siebie zadowolony. „Wy-grałem bezproblemowo — mó-wi — lecz wiem, że mogłem to uczynić w jeszcze lepszym sty-lu. Zdaję sobie sprawę, że wie-le mi brakuje do doskonałoś-ci, ciągle więc się uczę, pod-patruję”. Ech, iza się w oku kręci, gdy słyszy się takie pięk-ne słowa! Czyżby to był o-statni, który myśli tak pięknie wodził!

A oto wypowiedź druga, ale nim ona padnie potrzebny jest mały komentarz: Marek Pio-trowski wygrał w Budapeszcie „łade”, „PS” więc pyta, czy nią jeździ:

— „Nie, na razie nie, po pro-stu nie odczuwam takiej po-trzeby, a samochodem używam mój tata. Nie chce się przyzwyczaić do dóbr materialnych. Nie miałem samochodu do tej po-ry, więc i teraz wytrzymam. O-czywiście, jeżeli będę bardzo go potrzebował, wówczas go wezmę. Nie chcę stać się zbyt wygodny, to bowiem mogłoby niekorzystnie wpłynąć na mo-ją sportową działalność. Dla mnie liczy się tylko pasja”.

O święta maturo, gdzieś się taki młodzien uchował?

A teraz będzie o tej myśli, która mi przyszła do głowy, gdy chciałam wznieść okrzyk — Hurra!!! Otoż pomyślałam sobie, co się stanie, gdy już powoła się Polski Związek Kick-boxingu. Pojawi się zara-z cała plejada działaczy, którzy nigdy nie mieli nie wspólne-go ani z boksem, ani z karate, ani ze sportem w ogóle, a któ-ry znają się na wszystkim i wszystko wiedzą najlepiej. Po-jawia się trenerzy, którym za-swita myśl, że na kick-boxin-gu można zrobić karierę. Poja-wia się plejada młodych ludzi, którzy poczuja wiatr w noz-drach i pomyśla, że na kick-boxingu można będzie zro-bić niezły szmal. No, bo i wyjazdy zagraniczne, i diety, i stypen-dia, i dożywianie, i obozy tre-ningowe, i kontakty międzyna-rodowe i... tak dalej. Zrobi się zaraz tak nieciekawie, jak jest już wokół wielu innych dys-cyplin sportu. Trzeba więc będzie powołać zespoły ekspertów, którzy w sposób formalnie u-sankcjonowany powiedzą to, co wszyscy i tak wiedzą, i to od dawna. Będą z namaszczenia czynników wyższych mieli rację. Powstaną programy dla rato-wania tego, co sami zepsuli i zaczęnie się taka zabawa, jaka już przecież od lat obserwuje-my.

Ta myśl czarna zdusiła mój okrzyk entuzjazmu. Może bezpod-stawnie? Bo — zapytajmy ste-bie — czy tak koniecznie musi być? A może tym razem mo-głoby być inaczej?

BOGDA MADEJ

Wystarczył jeden rzut oka.
— Wszystko w porządku — oświadczyłem.
— Niczego nie brakuje?
— A dlaczego by miało? — odparłem pytaniem na pytanie.
Urzędnik uśmiechnął się przeprasząco.
— To całe nieporozumienie naraziło pana na wydatki. Należy się panu odszkodowanie. Proszę wpisać w tej rubryce ich wysokość albo też zgłosić w dowolnym terminie, a zostaną niezwłocznie pokryte. Oto numer telefonu. Zarząd Finnair przeprosza pana jeszcze raz.
— Nie zgłaszam żadnych roszczeń. Proszę przekazać pańskim przełożonym moją wdzięczność za pomyślne załatwienie sprawy. Dziękuję panu.
Fatygę dostawy bagażu chciałem wynagrodzić dwudziestodolarowym banknotem, ale spotkałem się ze stanowczą odmową. Już wcześniej spostrzegłem, że w tym kraju panują strasznie niecywilizowane obyczaje.
Kiedy zostałem w pokoju sam, sprawdziłem sztukę po sztuce zawartość nesesera. Nie potrzebuję dodawać czego w nim brakowało: oryginalny maszynopis „Orwelliady” oraz książeczki czekowej.
To było to. Od chwili otrzymania telexu o „trudnościach technicznych” oczekiwałem tego.

ROZDZIAŁ 4

Podnoszę obronnie ręce.
— No, thank you. No more! — dodaje grzecznie, ale stanowczo.
Powtórzyłem to kelnerowi roznoszącemu napoje jeszcze po fińsku i po szwedzku. Dostęć alkoholu. Nie odczuwam żadnych sensacji, bynajmniej. Pociągam martini z kroplą dżinu, konsekwentnie martini, od czasu do czasu sięgam po lekkostrawną kanapkę. Żadnych mocnych rzeczy więcej. Alkoholu mam na razie dosyć. Chcę przyjrzeć się temu zbiegowisku na trzeźwo. Jestem prywatnym gościem pana Kauko Uusitalo na wystawie maszyn i urządzeń produkowanych przez zakłady przemysłowe wchodzące w skład kierowanego przez niego koncernu Xetem.
Masa dobrze skrojonych garniturów kręci się wśród eksponatów. Executive Directors, managers — krew i sól interesu. W wielu rozpoznaję rezydentów z Kalastajatorppu. Wymieniamy ułkony. „To ten Amerykanin...” — doszło do moich uszu. Szastanie pieniędzmi przy rulecie, towarzystwo pięknej kobiety, bliskość gospodarza wystawy przydały mi znaczenia. Hochształperskiego. Staram się o zachowanie dystansu, ale to tylko pogarsza sprawę.
Nikt dla nikogo nie jest tutaj tajemnicą. Starmodnie przedstawianie się zastępuje wizytówką w kłapie marynarki, czytelna z daleka, wydrukowana przez xetemowską poligrafie. Pan, któremu prezes wraz z senatorem Huebenthalem poświęcają sporo uwagi, to przewodniczący delegacji radzieckiej. Kręci się wokół Rosjanina także osobnik, który z okazji uwolnienia pasażerów Lufthansy zaintonował w Kalastajatorppie „Deutschland, Deutschland”.
— Glaube, Doktor Friedrich Glaube z Europa-Ostasien Landspedition Hamburg — przedstawił się widząc w kłapie mojej marynarki czerwony goździk zamiast wizytówki.
Po jego występie w Kalastajatorppie oczekiwałem trzaśnięcia obcasami, ale nie takiego nie nastąpiło. Ten wieczny dwugłos we mnie. Kiedy z szampanem poderwał się od stołu, ujrzałem go o trzydzieści lat młodszego, z hełmem na głowie i pistoletem automatycznym w garści.
Uśmiechał się przyjaźnie jak do starego znajomego.
— Gdyby — ciągnął — pan miał coś do wyśnięcia z Europy na Daleki Wschód, jestem zawsze do dyspozycji. Gdyby zaś znalazł się pan kiedyś w Hamburgu, na karcie jest mój adres prywatny z numerem telefonu. Będzie pan mile widzianym gościem. O każdej porze dnia i nocy.
I znowu żadnego trzaśnięcia obcasami.
Czułem się zażenowany moim surowym osądem tego sympatycznego, jak się okazało, człowieka.

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

8

LEONARD

Wystawę koronował galowy bankiet wydawany przez Xetem w słynnej Alhambrze. Wstęp ściśle za zaproszeniami.
Chętnych do oklaskiwania specjalnie sprowadzonej na tę okazję ekipy brazylijskich tancerzek znalazłoby się w Helsinkach wielu. Goście zagraniczni zgłosili osoby towarzyszące już wcześniej, konieczność ograniczeń, jaką mimo wysiłków dyrekcji Alhambry musiano wprowadzić, ugodziła w tubylców.
Nieprzypadkowo postarałem się o dostęp do listy wybranych. Przewertowałem ją w układzie alfabetycznym i według firm przybyłych delegacji. Szczególną uwagę zwróciłem na przedział „Republika Federalna Niemiec”, znając jednak pomyślowo pewnej osobki, nie omieszkalem pomysłowość wśród nazwisk delegacji innych krajów. Ale tu natknąłem się na kurykę: przy niektórych nazwiskach widniał dopis: „and company” — zakłęcie otwierające wrota Szamu osobie towarzyszącej, nie wymienionej z nazwiska.

Wysiłki moje nie dały rezultatu. Poszukiwana osobka jak gdyby świadomie skazywała mnie na niepowodzenie. To do niej podobne.
Nie mogłem dłużej siedzieć przy Aino. Nie wytrzymałem jej cielecgo spojrzenia. Gdzie bym się nie obrócił, nadsiewałem się na jej wzrok. Ale nie tylko o nią mi chodziło.
Posadziłem mnie przy stole prezesa, naprzeciwko senatora z Hamburga i przewodniczącego delegacji radzieckiej. Nie było to dla mnie najszczęśliwiej wybrane miejsce. Wyobrażam sobie reakcję firmy, gdyby na zdjęciu w gazecie rozpoznała swego dezertera w towarzystwie Rosjanina; musiałem się wynieść.
Sala Alhambry pełna. Jeden stolik w sektorze dla oficeli stolicy, numer dwadzieścia dwa, jeszcze nie zajęty. Jacyś spóźniali się! Z cygarem w zębach robię wycieczkę po sali, donikąd; nie wróć na moje miejsce!
Przed opuszczeniem stołu prezes zaproponował mi zamieszkanie w jego bungalowie. Wypowiadał zdania powoli, ze swoją niewzruszoną flegmą nie przebudzonego jeszcze na dobre niedźwiedzia z fińskich podbiegunowych kniei. Pokrzykiwania wyfraczonych psów, piekielne wywołanie przez ich samickich, chichoty, toasty, tubalne głosy przy stołach rozstrzygające ostatecznie o przyszłym kształcie świata rozlegały się na innej planecie, on wpatrzony był w jeden punkt. Jest tam, ciągnął, las dokoła, miałbym wymarzone warunki do pisania. Sprawę omówił już z żoną. Jakko wyjeżdża na studia do Stanów, Aino będzie musiała przysiedzieć fald przygotowując się do matury, do świąt Bożego Narodzenia bungalow będzie całkowicie wolny.
— Przemyśl to — zaapelował po ojcowsku — sprawisz nam przyjemność.
Przyrzekłem mu to solennie. Oferta nie zawierała żadnych warunków wstępnych. Była uczciwsza niż podejrzałem.
Humor mi się poprawił. Byłem zbyt surowy dla Aino. Jakko wyjeżdża do Massachusetts Institute of Technology, dziewczyna straci oparcie w bracie. Przemyśl ofertę. Dużo spraw mam do przemyslenia ważniejszych od jej wiosennych przesileni; w końcu opuszczając ten kraj nie w zasadzie nie zyskam.
Zająłem się sektorem wydzielonym dla oficeli stolicy. Zagadka stołu numer dwadzieścia dwa. Bylibym zadowolony, gdyby pozostał nie zajęty do rana.
Zyczenie moje nie miało się spełnić. Na schodach pojawiły się dwie pary. Pierwszą tworzył Oskar Norderstedt ze starszą, obwieszoną perłami damą, drugą znalazłem już nadto dobrze.
Skłoniłem się z ostantacyjnym uszanowaniem.
— Frau Herta Glaube, małżonka pana doktora Friedricha Glaube — przedstawił mi Oskar swoją towarzyszkę. Minę miał uroczystą. Jego nieśmiałość wobec kobiet przydała mu chłopięcego wdzięku.

— Samolot z Hamburga miał małe opóźnienie — dodał mąż tej pani. — Już myślałem, że jakieś nowe porwanie... — Był w znakomitym nastroju. U jego boku, w imponującej kreacji wieczorowej stała Gabi.
Raczyła mnie laskawie zauważyć. Doktor i jej mąż wymieniali grzeczności z prezesem, zostaliśmy sami.
— Nie sprawiasz wrażenia szczęśliwego — powiedziała. W jej oczach błakał się wyzywający uśmiech. — Chciałam zobaczyć te Brazylijki, a ponieważ ty jesteś ostatnio tak zajęty... Na szczęście doktor Glaube pomyślał o nas.
Zagarnęła sobą uwagę mężczyzny. Czubkiem języka szukającym wiecznie czegoś na dolnej wardze grała na ich wyobraźni. Nie miałem ochoty powiększać grona jej wielbicieli.
— Nie wiedziałem, że go znasz.
— Senatora Huebenthala też, to w Hamburgu osobistość. — Wzniosła oczy ku niebu. — Doktora Glaube go łączą z moim ojcem sprawy handlowe. To niezwykle ustosunkowany człowiek.
Nie wątpiłem w to.
Skłoniłem się jak przed królową, ona odwzajemniła mi się majestatycznym dygłem i z ręką na ramieniu swego partnera popłynęła do stolika dwadzieścia dwa. Poczuliśmy się jak oszukani.

Ten dobrze odegrany przez nią akcik miał na sali tylko jednego widza, Aino. Nie potrzebowałem odwracać głowy, aby widzieć jej zadowolenie z mojej porażki.
Popiół z cygara strząsnąłem do popielnicy stojącej przy marmurowej kolumnie. Herr doktor Glaube i jego orszak — co mnie to obchodzi!
Nie miałem zamiaru powracać do towarzysztwa. Część oficjalna skończona, jutro wszyscy przyjeźdźni poodlatują. Moja obecność wśród nich jest zbędna. Pani Minna była ozdoba stołu. Dyskretny pomocnik swego męża, pierwsza dama dworu. Ale dla mnie się przede wszystkim matką Aino, baczącą na swoje piskle, więc dużo swej uwagi poświęcającej mnie. Nie poprawia to mego samopoczucia.
Przypomniał mi się człowiek, którego przez te kilka dni unikałem: Doug Wilson. Nie zauważyłem go na sali. Stół udekorowany brytyjskim proporczykiem jest w komplecie, lecz bez niego. Atmosfera przy tym stole — kropli w morzu Niemców, których jest połowa sali — ni jak. Inwazja Hunów. Nieobojętna sercu Douga. Na każdym przetargu melidują się chmarami, szastają pieniędzmi, oferują ceny i terminy dostaw swoich wyrobów nie do przebicza dla konkurentów. Jeszcze parę lat, a podobój Europy stanie się faktem. Czego nie dokonali orężem, osiągnęli z nadwyżką pracą. Nie dla wyzuczonego na nich Douga to towarzysztwo. Udałem się do ulubionego miejsca tego samotnika — baru. W Kalastajatorppie, jeżeli nie załatwiał spraw służbowych, znalazł go można było albo w barze, albo w jego apartamencie, z butelką. Firma Maxwell, którą reprezentuje, jest producentem tych samych urządzeń, jakie oferuje Xetem, jest on więc nie potencjalnym nabywcą, a patroliem rozpoznawczym konkurencji na obcym terenie. Nie dziwi więc, że oprócz uśmiechów gospodarze nic więcej dla niego nie mają.
Nie szukałem okazji do wysłuchania kolejnego upustu zółci na those bloody Bermans. Te wieczne animozje tutaj! Każdy nosi w zanadrzu jak nie ranę, to truciznę. Otwierając gębę, trzeba więc wpięć wywahać, a kim się ma przyjemność, w przeciwnym razie łatwo o guza.
Rzuciłem okiem na stoliki przy ladach barowych, na zanurzone w konspiracyjnych półciemnościach separalki, nigdzie go nie zauważyłem.
Zasłgnąłem języka u znajomego kelnera.
— Mister Wilson? Ależ jest! Znajdzie go pan tam. — Skinał głową na skrajną arkadę.
Wnętrze zaciemnionej niszki, graniczącej z salą, było puste.
— Nie ma go — powiedziałem.
— Musiał wyjść na chwilę, bo dopiero co podawałem mu papierosy. Proszę się rozgościć, pan Wilson zarezerwował dla siebie cały stolik.
Ten Doug! pomyślałem. Tyle w nim ostentacyjnej obojętności!
Na wystawie też robił bokami. Włóczył się od eksponatu do eksponatu, nie zadawał pytań, co było nie dość jasno opisane w prospektach — fotografował małym aparakiem. Na swój sposób

sób szukał dojścia do Rosjan otoczonych cały czas jak nie przez xetemowców, to przez Niemców, spośród których dużo aktywności wykazywał dyrektor Glaube. Rosjanie budują drugą nitkę kolejową przez Syberię. Stawiają nowy port na Morzu Japońskim, międzynarodowego spedytora nie może tam zabraknąć. A urzędzeń firmy Maxwell? Przy honorowym stole prezesa znalazło się miejsce dla szefa delegacji radzieckiej, dla panów Huebenthala, Sugawary z koncernu Mitsubishi, zabrakło dla Douga. Popłynę dziś rzeka whisky, nie wiem, czy nie byłoby lepiej zostawić go w spokoju.
Przyjrzałem się twarzom na sali. Musiałbym nie znać firmy, aby przejść do porządku dziennego nad jej oficjalnym desinterement wydarzeniami na tym zbiegowisku.
Zabawiłem się w zgadywanke.
Wobec tego kto? Który z tych wyfraczonych panów siedzi na dwóch stolikach?
Wpadła mi do głowy niedorzeczna myśl. On? — wykluczone! To byłoby poniżej jego angielskiej flegmy.
Pociągnąłem łyk ze szklanki. Ten stolik — w głębi arkady zarezerwowany tylko dla niego... Jaki wymarzony punkt do pracy z małym aparatem fotograficznym...
Na stole nie dopita herbata, napoczęta paczka papierosów, zapalniczka. Popędziło go dokąś. Postanowiłem poczekać.

ROZDZIAŁ 5

Wcześniej, Afryka nie interesowała dyrektora przedsiębiorstwa Africa-Aid, Davida Attentowna. Jego wiedza o tym kontynencie ograniczała się do zasobu wiadomości wyniesionych ze szkoły średniej.
Stany Zjednoczone są wielkie. Na północy sąsiadują z równą im obszarem Kanadą, na południu, poprzez Meksyk, z Ameryką Łacińską, znikąd nie były zagrożone — tak Attentowna uczono w szkole. Dopiero praca w CIA otworzyła mu oczy na niebezpieczeństwo zagrażające zewsząd jego wielkiemu krajowi, wzięcie z nią rozbrajało go do rozprężenia się za miejscem nie cieszącym się zbyt dużym zainteresowaniem tej organizacji.
Jego wybór padł na Afrykę.
Przed odlotem do Europy Attentown znalazł jeszcze czas na wymianę paru słów ze starym przyjacielem Peterem Kruegerem z Durbanu. Dla postronnego obserwatora spotkanie ich miało charakter przypadkowego — ot, dwóch ówczesnych pasażerów siada do tego samego stolika w ciemnym kącie baru na lotnisku i ucznia sobie okazują rozmówkę.
Peter Krueger nie znosi światła jupiterów. Jest to w dużej mierze zasługa zajęcej wargi, skrywanej pod rudym wąsem, nie ma ona jednak żadnego wpływu na jego postawę w działaniu. To człowiek szalenie zdecydowany, nieustraszone. Mieć z nim na pieńku, to lepiej zawczasu wybrać sobie kwatery na cmentarzu.
Poznali się, to stara historia. Poznali się i tyle. Było to gdzieś w Ameryce Południowej, na pewnym, powiedzmy, dobrze zorganizowanym pikniku. A serwowano tam cholernie gorące dania! Drogi ich, Davida i Petera, rozeszły się potem, lecz przyjaźń i wzajemne powiązania pozostały. Mieć do swojej dyspozycji takiego człowieka jak Krueger, to wielka rzecz, przyjaźń tę Attentown bardzo sobie cenił.
Rozmowa była krótka, rzeczowa, przyjaciele rozstali się w dobrym nastroju.

Podróż Davida Attentowna była owocna. Nowo wyzwolone kraje, które w swej błyskawicznej turze objechał, potrzebują też broni. Żywności i lekarstw potrzeba im jeszcze bardziej, ale jego rozmowy dawały mu do zrozumienia, że zginać na głodno, owszem, można, bez broni zginie się w Afryce na pewno. Więc bron, amunicja i — mówiąc zgodnie z szyldem Africa-Aid — specjalści. Ale warunek: wypróbowani!
Nie jest o nich tak łatwo, jak się w Afryce wydaje. I to pomimo rosnącego bezrobocia w Europie, także wśród ludzi o wysokich kwalifikacjach.
Boom na specjalistów. Popyt wielokrotnie przewyższa podaż. Skąd ich brać?
Attentown zastawił te myśli. Była jedenasta. Wczoraj o tej porze — z uwzględnieniem dwugodzinnej różnicy czasu — siedział w samolocie startującym z Johannesburga do Paryża, skąd po krótkim postoju samolotem British European Airways dotarł do Londynu.
Lot trwał w sumie szesnaście godzin, niczym nie zakłócony, David nad ranem znalazł się w łóżku. W ciągu niespełna tygodnia przeleciał ponad trzydzieści pięć tysięcy kilometrów, przeprowadził dziesiątki rozmów z ciekawymi ludźmi, zawarł kilka transakcji opiewających na grube pieniądze. Jego silny organizm był przyzwyczajony do przepracowanych nocy i napięcia nerwowego, reagował natomiast wewnętrznym rozmamianiem na londyńską wilgoć. Słynna tutejsza mgła to przesłłość. W Tamizie łowi się podobno już lososie. Ale ta cholerna wilgoć po każdym deszczu których tu nie brak!

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glane

